

AFERA W AGENCJI WYWIADU!
W TLE DUŻE PRZEKRĘTY FINANSOWE
I BRUDNE MEDIALNE OPERACJE



DODATEK:
SUKCESY
II RP

KONIEC EPOKI:
SZARANOWICZ
NA EMERYTURZE



SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE
Nr 13 (331) 2019
1–7 kwietnia
CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

CZY Z KUKIZEM DA SIĘ RZĄDZIĆ?

LIDER RUCHU W MOCNYM WYWIADZIE O TYM, JAKIE WARUNKI POSTAWI KOALICJANTOM I Z KIM NA PEWNO NIE WEJDZIE W ŻADNE UKŁADY. KOGO SZANUJE? KOGO UWAŻA ZA ZDRAJCĘ?

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

CYFROWY POLSAT

Najlepsze filmy, seriale i sport na start

3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

NOWOŚĆ! Oferta dostępna również w TV kablowej w technologii IPTV!









Promocje dla nowych Klientów dostępne przy umowach z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych. „Bez opłat" nie dotyczy sprzętu. W przypadku telewizji kablowej IPTV należy uwzględnić opłatę za transmisję danych zgodną z taryfą operatora usługi Internet. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie, dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. „Gra o tron" © Home Box Office, Inc. LaLiga Santander, Bundesliga, Serie A TIM i wyścigi Formula 1™ w ELEVEN SPORTS. Wszystkie prawa do powyższych tytułów zastrzeżone.

eprasa.pl jad24d143e

Wiosna Biedronia – co poszło nie tak?

Zaledwie na początku lutego Piotr Semka mówił ciekawie w „Salonie Dziennikarskim", by nie lekceważyć Wiosny Roberta Biedronia. I wskazywał, że był na inauguracyjnej konwencji na warszawskim Torwarze i choć jego osobiście hasła Biedronia raziły, to widział tam sporo młodych ludzi autentycznie poruszonych, widzących w tym pewien powiew świeżości, coś naprawdę innego, wymykającego się klasycznym podziałom, którymi mogą być zmęczeni.

Zgoda.

Warto zapytać, co z tej politycznej szansy po dwóch miesiącach zostało? Im więcej ludzie Wiosny i sam lider mówią, im bardziej odsłaniają karty kadrowe, tym wyraźniej pęka ten balon „świeżości". I wcale nie dlatego, że po powstaniu Koalicji Europejskiej i zarządzonym przez Grzegorza Schetynę zwrocie w lewo musiał Biedroń wejść w ostrą polityczną rywalizację, co zapewne go poraniło i trochę wykrwawiło. To wydaje mi się tylko elementem wzmacniającym wybór nowego partyjnego lidera, który najwyraźniej kopiuje teraz Ruch Palikota z późnego, schyłkowego okresu. Albo ujmując inaczej, choć wychodzi na to samo, przyjął na sztandary nagłówki Urbanowego „Nie" z wczesnego okresu tego ohydztwa.

Z całego wielkiego przemówienia Biedronia, który na Torwarze rysował wizję nowej jakości w każdym właściwie obszarze, od kultury, przez naukę, po zdrowie, zostały dziś jedynie dwa wątki: wściekły atak na chrześcijaństwo i Kościół katolicki (Kościołów protestanckich, prawosławnych, gmin żydowskich, Świadków Jehowy i innych oczywiście nie rusza) oraz (pro)homoseksualizm, tak „gęsty", że przypominający nocny klub dla tej orientacji.

Przykład najświeższy – Krzysztof Gawkowski woła: „Z Kościoła zabieramy na podwyżki dla nauczycieli". Przykład kilka godzin starszy – Śmiszek zapowiada, że będzie wsadzać „homofobów" do więzień.

Co więcej, z każdym dniem te dwa nurty wyrażane są coraz bardziej agresywnie, a nowymi twarzami stają się „zakapiory" od dawna znane z rewolucyjnego (w stylu sowieckim) ducha.

Obiecywane na Torwarze lekkość, uśmiech, łączenie, a nie dzielenie, poszły chyba do Słupska. Reszta kraju dostaje potrawę palikotowo-urbanową.

Czy to świadomy zwrot? Trochę tak, ktoś tam uznał, że lepiej być partią jednego tematu i kilku procent, niż nie być w ogóle. Ale też wyraźnie puszczają byłemu prezydentowi Słupska nerwy. Wszedł do dużej gry i chyba się zdziwił, że tu reguły są nieco inne. Nie umiał znaleźć w sobie wymaganej na tym poziomie dyscypliny, odporności, wytrwałości. Wybrał drogę na skróty.

Nie żebym płakał, ale warto zauważyć, że projekt pod tytułem „Wiosna dla młodych" jest już nieaktualny, teraz Biedroń realizuje wiosnę dla esbeków z IV Departamentu i fanów Urbana. A to już zupełnie inne zjawisko.

Michał Karnowski



58/0319/F

SIECI spis treści



34 *Desperat z Chobielina* — *Stanisław Janecki*



40 Fenomen niewiedzy — *Aleksander Nalaskowski*



53–64 Sukcesy XX-lecia międzywojennego — *dodatek historyczny*

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **KE-ROWNICY SĄ ROZGRZANI**
Krzysztof Feusette

12 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

14 **PROGRAM PO: PODDAŃSTWO**
Jan Pietrzak

15 **O NADRZĘDNOŚCI EUROPEJSKIEGO PRAWA**
Bronisław Wildstein

16 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

17 **GOSPODARKA OPARTA NA WIEDZY**
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

19 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

20 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

22 **Z PAWŁEM KUKIZEM**
rozmawiają Jacek i Michał Karnowscy

KRAJ

30 **DOJENIE AGENCJI WYWIADU**
Marek Pyza, Marcin Wikło

34 **DESPERAT Z CHOBIELINA**
Stanisław Janecki

37 **Z PAWŁEM SZEFERNAKEREM**
rozmawia Marcin Fijołek

40 **FENOMEN NIEWIEDZY**
Aleksander Nalaskowski

44 **INWAZJA PSEUDOEKOLOGÓW**
rozmowa Aleksandry Jakubowskiej

47 **OPOWIEŚCI Z INNEGO ŚWIATA**
Konrad Kołodziejski

50 **ŚWIATŁA GASNĄ I KONIEC SPEKTAKLU**
Maciej Rowiński

SIECI KULTURY

65 **ORŁY NA KONIEC WIELKIEJ PRZYGODY**
Jolanta Gajda-Zadworna

68 **ODWAŻNI INACZEJ**
Przemysław Skrzydelski

69 **HITLER, PIEWCA NORMALNOŚCI**
Dominik Zdort

70 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

71 **GENIALNY METEOR JAZZU I FILMU**
Adam Ciesielski

72 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

74 **POLECA I ODRADZA**
Łukasz Adamski

OPINIE

76 **REN WPADŁ DO TYBRU**
Grzegorz Górny

78 **KIERUNEK EUROPA**
Jan Parys

ŚWIAT

82 **„RUSSIAGATE", CZYLI NAJWIĘKSZE KŁAMSTWO DEMOKRATÓW**
Aleksandra Rybińska

85 **REWOLUCJA CYWILIZACYJNA W TRZECH KROKACH**
Maja Narbutt

88 **ORBÁN GRA NA WIELU FORTEPIANACH**
Jan Rokita

90 **SMOK MA POWAŻNY PROBLEM**
rozmowa Andrzeja Rafała Potockiego

GOSPODARKA

92 **O ZMIANACH W PRAWIE I W STYLU PROWADZENIA ROZMÓW**
Forum wGospodarce.pl

96 **STREFA EURO**
Jerzy Bielewicz

KUCHNIA

104 **MOJE SMAKI: AŁBENA GRABOWSKA**
Jolanta Gajda-Zadworna

105 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

106 **ROSYJSKI ŚLAD?**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **NAUKA W WOLNYM KRAJU**
Aleksander Nalaskowski

109 **1 WRZEŚNIA PO EUROPEJSKU**
Wiktor Świetlik

110 **WITAJCIE W ŚWIECIE NOWEGO KONSENSU**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **W KWESTII POMYŁKI**
Ryszard Makowski

113 **GDY KWIECIEŃ NASTAJE…**
Leszek Długosz

114 **KROK ZA KROKIEM**
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

partner działu gospodarka

Bank Pekao

eprasa.pl fad24d143e

4/0319/F | 42/0219/F

Pracownicze Plany Kapitałowe

Oszczędzaj na bezpieczną przyszłość ze swoim Pracodawcą i Państwem

Pracownik

Ty **2%** + dobrowolna składka do **2%**

Pracodawca

Składka **1,5%** + dobrowolnie dodatkowo do **2,5%**

Państwo

250 zł na dobry początek
+ **240 zł** rocznie

Pracownicze Plany Kapitałowe



- Proste i wygodne oszczędzanie na przyszłość
- Środki w pełni prywatne i dziedziczone
- Do każdej wpłaconej złotówki dokładają się Pracodawca i Państwo

W sumie się opłaca

www.mojePPK.pl

PFR Polski Fundusz Rozwoju
Ministerstwo Finansów
KANCELARIA PREZESA RADY MINISTRÓW

eprasa.pl fad24d143e



Sygnalista nadaje

Posłanka PiS i członkini Rady Mediów Narodowych Elżbieta Kruk w ciepłym i serdecznym tonie podziękowała pracownikom TVP za ich codzienny wysiłek. „TVP jest troszkę taka październikowa czasami właśnie w zakresie informacji. Nie chcę powiedzieć »propaganda«, tylko że to jest takie robione październikowo, nie bardzo umiejętnie" – elegancko oceniła, występując – co także nie jest bez znaczenia – w programie niemiecko-szwajcarskiego Onetu. Z pewnością codziennie opluwani, wyszydzani i zastraszani dziennikarze pionu informacyjnego TVP, którzy w przypadku zmiany władzy nie tylko stracą pracę, lecz i dostaną wilczy bilet, przyjęli te dobre rady z głęboką wdzięcznością.

W TVN „to" jest robione rzeczywiście bardziej umiejętnie, ale jak ktoś ma 20 lat na ćwiczenia (w szerszym sensie wręcz jakieś 60 lat), to pracownicy, wiedząc, że nie grozi im rola zwierzyny łownej mainstreamu i że swoi nie strzelają w plecy, są bardziej sprawni. Tak sprawni, że i w PiS nie ma odważnych do publicznej refleksji nad sobieniowszczyzną. Może pani poseł Kruk spróbuje w następnym odcinku Onet Opinie?

Dwa tygodnie po powołaniu do zarządu TVP Piotr Pałka zrezygnował z funkcji, której od tygodnia i tak nie pełnił, bo go zawieszono. Chwilę potem media obiegła wiadomość, że zarząd i tak ma być trzyosobowy, a do Jacka Kurskiego i Marzeny Paczuskiej dołączy Mateusz Matyszkowicz. Dzień później znowu zwrotka: Matyszkowicz nieaktualny, Kurski wygrał. Czy to koniec serialu, tego nie wiadomo, ale jedno trzeba powiedzieć: ktoś, kto próbuje wprowadzić TVP w stan rozedrgania w roku wyborczym, powinien dostać kwiaty od opozycji. Sun Tzu lepiej by tego nie zaplanował.

Ojciec Leon Knabit przestrzegł Polaków, co im grozi, jeśli oddadzą swoje dzieci pod opiekę ekspertów z LGBT. „Do czwartego roku życia nauczą się masturbacji, a eksperci od tych spraw rychło nauczą dzieci innych zachowań seksualnych" – przestrzega. W odpowiedzi dziwny ksiądz Wojciech Lemański rzucił siekierą: „Ojcze Leonie. A może już czas odpocząć? Starość ma to do siebie, że u wielu przytępia wrażliwość". Kolejny dowód, że obcowanie z tzw. salonem sprawia, że zadufany w sobie cham przestaje widzieć swoje chamstwo.

Lech Wałęsa zapowiedział inwazję kosmitów. „Przyślą nam Adama i Ewę i od nowa będziemy budować" – stwierdził na spotkaniu związanego z PO Klubu Obywatelskiego. Były prezydent zaprezentował nawet konkretny scenariusz: „Na innych galaktykach są trzy poziomy rozwoju intelektualnego. My jesteśmy najniżej. Wyższa cywilizacja przyjeżdża i przygląda się, co oni tu wyprawiają. Jak zagrozimy destabilizacją, oni nam przeszkodzą, przetną na pół, Ziemia się zwinie, wszystkich nas zgniecie, przytrzymają nas 5 tys. lat" – ogłosił, zadając kłam twierdzeniu, że nie czytał w młodości książek. Ericha von Dänikena na pewno czytał.

Wałęsa ogłosił też, że ma wątpliwości co do pochodzenia piramid. „Różne rzeczy znajdują, różne rzeczy wykopują w kamieniu, te piramidy nawet! Nie mam odpowiedzi, skąd to się wzięło!" – oświadczył, potwierdzając tym samym, że jego duchowe i intelektualne wnętrze pozostaje kosmiczną tajemnicą.

Marek Belka snuje prognozy nieco mniej ambitne czasowo, ale też kreśli je grubą kreską. Piątkę Kaczyńskiego podsumował tak: „Jeśli nam się nie poszczęści, a koniunktura w światowej gospodarce się zmieni zasadniczo na gorsze, to wtedy możemy mieć prob-

eprasa.pl fad24d143e

lemy typu »Grecja light«, czyli trudności ze sfinansowaniem potrzeb pożyczkowych państwa". Co na to Sygnalista? Po pierwsze, szczęście sprzyja lepszym, a po drugie, kto jak kto, ale ludzie dawnej PZPR powinni wiedzieć, że porządna partia rządząca zawsze ma pole manewru.

Belka zarzucił też rządzącym, że traktują Polskę „jak rosyjski uczony pająka w słynnym dowcipie": „Urwał mu jedną nogę, mówi: »Idź«, i pająk idzie. Urwał drugą, dalej idzie, urwał trzecią... i tak dalej. W końcu po urwaniu piątej pająk zamiast iść – po prostu zdechł. My jesteśmy obecnie na etapie urywania drugiej czy trzeciej nogi. I też, obawiam się, zdechniemy, oczywiście w sensie gospodarczym". To jednak prawda, że postkomuniści nigdy nie doceniali Polski, w tym także polskich pająków.



Wysypało nam ekspertów w sprawie Mierzei Wiślanej. Zdaniem Krzysztofa Bosaka można było przekopać kanał pod lasem. „Dzięki systemowi śluz statki zjeżdżałoby kilkanaście metrów poniżej poziomu morza i przepływały specjalnym, zalanym wodą tunelem. Niestety rząd nie jest otwarty na innowacyjne i proekologiczne projekty. A szkoda – cały świat by o tym mówił" – przekonywał. Jak wiadomo, narodowcy staliby w pierwszym szeregu obrońców rządu, który musiałby na to wydać nie miliard, ale dziesięć miliardów.



Z kolei zdaniem Małgorzaty ***Kidawy-Błońskiej***: „Gdyby natura chciała, żeby to był przekop, toby był". Można odpowiedzieć równie metafizycznie: skoro dobry Bóg postawił na czele obozu władzy zwolennika przekopu, to znaczy, że przekop ma być. I będzie.

„Uroczystości i obchody Narodowego Dnia Pamięci Polaków Ratujących Żydów pod Okupacją Niemiecką stają się smętną, żałosną farsą" – stwierdził prof. Jan Grabowski, sugerując, że w tym dniu władze powinny przede wszystkim mówić o przypadkach mordowania Żydów przez Polaków, zapewne tych prawdziwych i tych przez Grabowskich wymyślonych. Stosując metaforykę Grabowskich, można zaryzykować stwierdzenie, że kto wie, czy nie czują oni większej sympatii do Niemców niż do Sprawiedliwych. Wniosek jeden: inwestujmy w pamięć o Sprawiedliwych. To tarcza ważniejsza, niż myślimy.



„Krótki popis i opis przygotowania szynki w Zakładach Przetwórstwa Mięsnego »Płatek«. Opisuje Prezes Pan Janusz Zalarski, a prezentuje jeden z najlepszych Pracowników Firmy" – napisał na Twitterze prezydent Duda i zamieścił odnośnik do nagrania. Zareagowała Hanna Lis. „Oto człowiek, który własnoręcznym podpisem, od kilku lat, na odgórne zlecenie, demoluje państwo prawa. Nominalnie prezydent, faktycznie marionetka. Ale są też dobre wieści: poszerza kompetencje, nie tylko narty, teraz także szynka. Historia wystawi temu Panu rachunek. Srogi" – oceniła tonem osoby, która wie, jak żyć i jak urządzić Polskę. Sygnalista sądzi, że to jednak nie pani Hanna ani jej przyjaciele napiszą historię Polski, co będzie jasne już latem 2020 r.

Wicenaczelny „Wyborczej" ***Jarosław Kurski*** także wiąże nadzieje z wyborami prezydenckimi. Plan wygląda następująco: „My nie możemy wziąć od razu władzy, dopóki będzie Duda. Długopis Duda, który wszystko podpisuje, a potem będzie wszystko wetował. My musimy doczekać do momentu, w którym będziemy mieli naszego prezydenta, nasz Senat i będziemy mogli zbudować większość w Sejmie. I to będzie prawdopodobnie sierpień 2020 r.". W sumie proste jak plan „Barbarossa". Wystarczy tylko zająć Leningrad, Krym, Kaukaz, Moskwę i po sprawie.

Pytanie, czy do tego czasu tzw. salon dotrwa choćby w elementarnym zdrowiu psychicznym. Marcin Meller ujawnił, że nie jest z tym dobrze. „Byłem parę dni w Lizbonie. Z małżonką poznaliśmy pewną Polkę, bardzo miłą kobietę. Poszliśmy sobie nad rzekę, zamówiliśmy wino i nie minęło 15 minut i rozmawialiśmy o Kaczyńskim. Stwierdziłem, że z jednej strony jest w tym coś patologicznego, z drugiej, pomyślałem sobie, co on z nami zrobił?" – zwierzał się szczerze. Zawsze można milczeć. Kto umie milczeć, jest w zgodzie w światem. No ale bez wiary w Boga to bardzo trudne, a może wręcz niemożliwe.

Isabel odpowiedziała Kazimierzowi, który oskarżył ją o uporczywe nękanie, czyli stalking: „Oczywiście, że nie jestem stalkerką, bo stalker wysyła do kogoś esemesy non stop, pisze maile czy kogoś fizycznie śledzi. Ja tego nie robię. A pisanie na temat zaległości alimentacyjnych do stalkingu nie należy. Nie przejmuję się takim oskarżeniem. Przypuszczam, że mój były mąż starał się znaleźć jakieś określenie negatywne i być może wulgarne na mój temat. Nauczył się jednego angielskiego słówka i będzie je teraz powtarzał". Ta para przejdzie do historii. Ich historia jest lepsza niż film „Fatalne zauroczenie" i w sumie można ją uznać za najlepszą od dawna kampanię na rzecz wierności małżeńskiej.

Fot. praszkiewicz/Shutterstock.com, Julita Szewczyk, Adam Jagielak/REPORTER

eprasa.pl fad24d143e

KE-rownicy są rozgrzani

„Panie, ja bym ich wszystkich wysłał w kosmos” – zdradził mi sąsiad w rozmowie o wyborczych kandydatach koalicji Każdy z Każdym, czyli tzw. KE-rownikach. Tylko czemu akurat w kosmos, skoro Wałęsa nawiązał już kontakt z Obcymi, ale go „nie słuchały”? I co są Jowisz z Saturnem winne, że Scheuring-Wielgus spadła z księżyca akurat na Wiosnę? Dlaczego towarzysz Śmiszek, polujący z kajdankami na homofobów, ma wylądować w okolicach Czarnej Dziury, a nie pod Sikającym Chłopcem – symbolem Brukseli?



KRZYSZTOF FEUSETTE

Do Parlamentu Europejskiego ich wysłać – to będzie dopiero kosmos. Nie blokować drogi awansu, ale wprost przeciwnie – posłać pana Biedronia, żeby im w tej Brukseli tematy LGBT, wespół z dojeżdżającym Rabiejem, ostatecznie obrzydził. Żeby brukselscy eurokraci uciekali, gdzie pieprz rośnie, już na samo hasło walki o kolejne przywileje dla gejów, lesbijek, biseksów, transów oraz 52 pozostałych płci wyznaczonych przez amerykańskie organizacje homoseksualne.

Biedroń musi jechać, nie ma dwóch zdań. To jednak nie koniec totalnego dream teamu. Kompletnie nie rozumiem, dlaczego nikt w sytuacji wojny ideologicznej (konkretnie – ludzi mózgu z ludźmi przyrodzenia) nie chciał na listach wyborczych takiego intelektualisty jak Bartłomiej Sienkiewicz. Jak to możliwe, że nie znalazły uznania jego najnowsze analizy polityczne mówiące o tym, iż w sprawie edukacji seksualnej przedszkolaków „PiS walczy z masturbacją”? Tak się bidulek wystraszył, że nie dostrzegł wielkiej szansy, jaka otwiera się przed nim w związku z koalicją Każdy z Każdym. A przecież jego hasło o „ch..., d...i kamieni kupa” wytycza dziś KE-runki Programowe dla KE-rowników i KE-rowniczek! Pierwsza część jest jasna, kupa zaś kamienna powstała podczas polowań na dinozaury.

Jedyne zatem, o co apeluję do totalnej koalicji tęczowych chłopców z różowymi chłopami – nie zmieniajcie się. Otrzeźwić brukselskich eurokratów może tylko to samo, co otrzeźwiło potworną Meduzę w starogreckim micie. Jej spojrzenie zamieniało w kamień, wystarczyło więc, że ujrzała własne odbicie w wypolerowanej tarczy i od razu przestało jej odbijać. Wy też możecie być takim zwierciadłem, krzywym, bo krzywym, ale jednak. Pojedziecie, pokażecie parę sztuczek, kilka trików i happeningów, a „junckery” i „webery” padną na glebę, jak Diduszko w bitwie pod Sejmem.

Już widzę np. Różę Thun, jak na hulajnodze śmiga po brukselskich pomnikach, a choćby i wspomnianym już Sikającym Chłopcu do złudzenia przypominającym wczesnego Timmermansa. I ryje tą hulajnogą napis: „Gdy mówił o Polsce, to płakał” w 56 językach. Serdecznie namawiam państwa do głosowania na von Hohenstein. Chodzą słuchy, że nie nazywa się już Róża Maria Barbara, ale Rosamunda Marie Berta i że po polsku mówi wyłącznie w niemieckich filmach propagandowych – żeby zdjąć z siebie ostatni cień podejrzenia o szacunek dla wyroków polskiej demokracji.

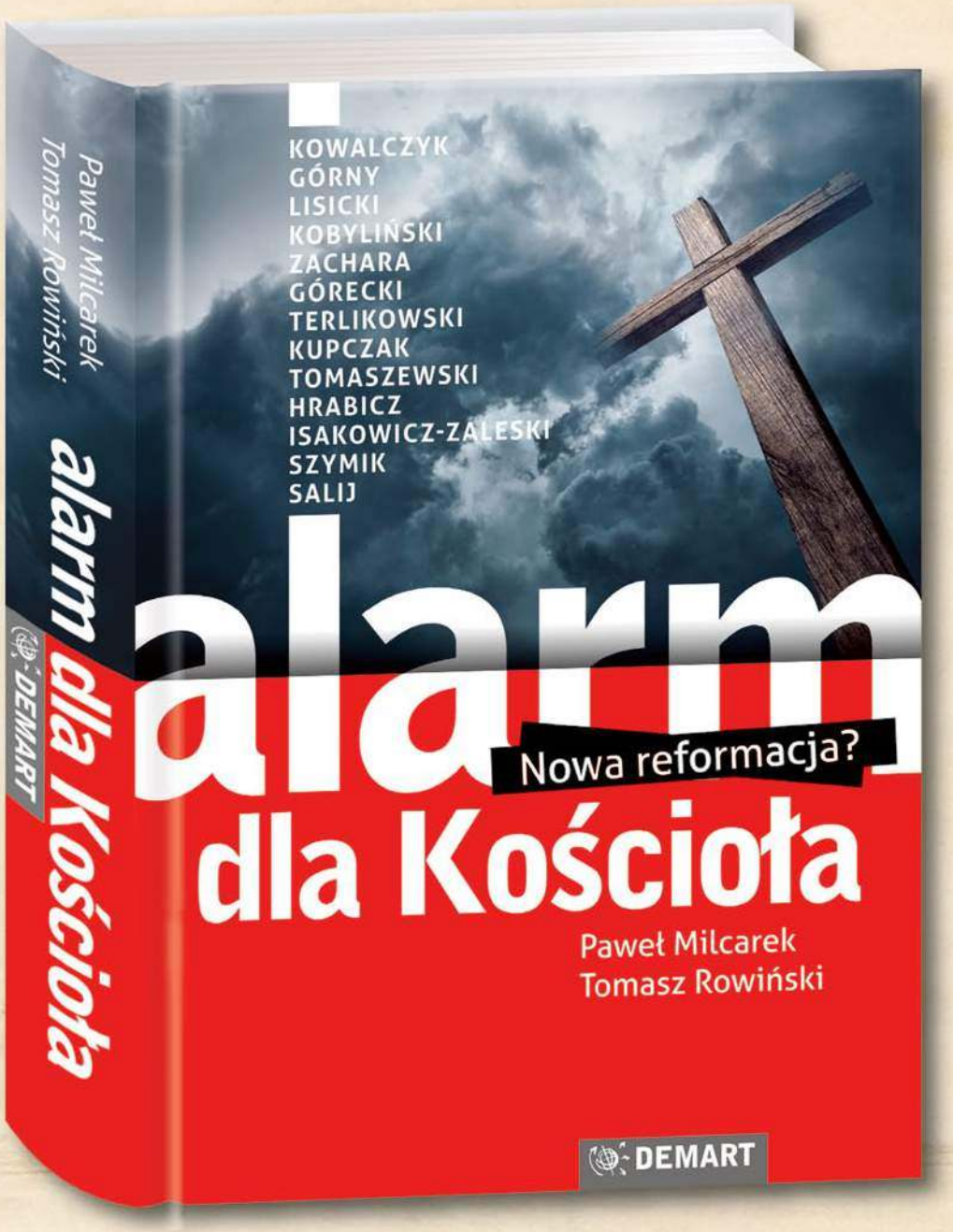
Wierzę, że wyślemy do Brukseli także panią Scheuring-Wielgus, która „jest przekonana, iż kościoły w Polsce w końcu opustoszeją”. Przynajmniej wiadomo, po co ta biedna, spocona od hipokryzji kobiecina śmigała w dżinsach do samego papieża. Tylko jak ona chce te kościoły „opustoszyć”? Musiałaby w każdym z nich co najmniej raz się pojawić, a to przy jednej wizycie dziennie i ponad 10 tys. polskich parafii kazałoby przeciwniczce dyktatury kobiet ruszyć w podróż trwającą ponad... 27 lat. To nie lepiej, żeby przez ten czas w Brukseli straszyła?

No i oczywiście – mistrzunio od zniekształceń własnościowych, pan Lewandowski, imię – Janusz, typ mężczyzny – „Janusz”. Ileż to już razy ten wielki Europejczyk wzywał do interwencji w Polsce zachodnie mocarstwa? I nawet powieka mu nie drgnęła, gdy twierdził, że Parlament Europejski w czasie rzezi w Syrii „patrzy na Aleppo, a powinien patrzeć na ulice Warszawy”. To i mnie nie drgnie podczas tej krótkiej petycji: komisarzu Lewandowski, i wy, i my, i nawet oni – wszyscy już wiedzą, co wyczynialiście w trakcie tzw. przekształceń własnościowych w firmach takich jak Wedel, Polcolor, Krak-Chemia czy Zakłady Celulozowo-Papiernicze w Kwidzynie. Rozumiemy też (tym razem tylko my, wy już nie), jak wielkie zadanie spada na wasze braki i barki jednocześnie. Czas, żebyście nareszcie ujawnili się jako polski patriota i udowodnili niewdzięcznym rodakom, jak bardzo się mylili, nazywając was sprzedawczykiem i złodziejem. A często i gorzej. Tak wam ślicznie szło przekształcanie publicznego w prywatniutkie, to teraz przekształćcie Unię Europejską. W cokolwiek – cyrk, zoo albo klub go-go. Polska będzie wam wdzięczna, gdy europarlamentarzyści przestaną się zajmować demokracją i przestrzeganiem traktatów wszędzie tylko nie w samej Brukseli, a zaczną tym, do czego wielu z nich naprawdę ma talent. Czyli – robieniem z siebie pajaca, tym śmieszniejszego, im bardziej przekonanego o własnej ważności dla Świata i Historii. Bo przecież program ci ludzie od lata mają nader czytelny: wepchnąć i wypchnąć. Dzieci w ramiona gejów i ludzi z kościołów.

56/0219/F

eprasa.pl fad24d143e

Już w kwietniu!



Spotkanie z autorami odbędzie się 8 kwietnia 2019 r. (poniedziałek) o godz. 18.00 w Auli Wielkiej Collegium Bobolanum przy ul. Rakowieckiej 61 w Warszawie.

Wstęp wolny.

Autorzy będą podpisywali książkę na XXV Targach Wydawców Katolickich w sobotę 6 kwietnia w godz. 11.00-12.00.

www.demart.com.pl

DEMART

eprasa.pl fad24d143e

W obronie życia i rodziny

„Polska rodziną silna”, „Czas dla życia, nie zabijaj” – z takimi hasłami tysiące warszawiaków przeszło w tym roku w Narodowym Marszu Dnia Życia. Upominali się o prawo do życia od poczęcia do naturalnej śmierci, o ochronę rodziny przed deprawacją i o prawo rodziców do wychowania swoich dzieci. To mocna odpowiedź na stołeczną Kartę LGBT+.

Do uczestników marszu list napisał prezydent Andrzej Duda. Podkreślił, że „dzień ten powinien stać się okazją do narodowej refleksji nad odpowiedzialnością władz państwowych, społeczeństwa i opinii publicznej za ochronę i budowanie szacunku dla życia ludzkiego”.

Wołanie o odpowiedzialność jest dziś wyjątkowo ważne. Przykład Warszawy pokazuje, że nawet jeśli na szczeblu centralnym nie ma zgody na rewolucję kulturową, samorządy rządzone przez Platformę Obywatelską szeroko otworzą drzwi ideologii gender, nie pytając mieszkańców o zdanie. Bez determinacji, obywatelskiej jedności i stanowczości nie uda się ich powstrzymać. Mimo że marsze dla życia i rodziny gromadzą nieporównanie więcej ludzi niż parady równości, zindoktrynowani urzędnicy, przynagleni przez lobby LGBT, zrobią swoje. Czy głos zatroskanych rodziców ma szansę się przebić? Okazuje się, że decyzja Rafała Trzaskowskiego na tyle mocno wstrząsnęła opinią publiczną, że wygenerowała konkretne działania. Coraz więcej samorządów podpisuje deklaracje o „wolności od ideologii LGBT+”. Coraz liczniejsze też są marsze w obronie życia i rodziny. Właśnie takich publicznych aktów potrzeba. Kolejna okazja już za kilka dni. 7 kwietnia ulicami Warszawy przejdzie Marsz Świętości Życia.

Marzena Nykiel

eprasa.pl/ad24d143e



Fot. Andrzej Wiktor

UE

Internet w kagańcu

Parlament Europejski po wielomiesięcznych bojach przegłosował dyrektywę o prawie autorskim na jednolitym rynku cyfrowym, określaną potocznie jako ACTA2. Najwięcej kontrowersji budzą dwa artykuły: 11 i 13. Artykuł 11 wprowadza tzw. podatek od linków, czyli opłaty za umieszczenie odnośnika do cudzej strony internetowej. Bez tej opłaty zamieszczanie linków będzie nielegalne. Pomysłodawcy tłumaczą, że dzięki temu rozwiązaniu wytwórcy nie będą tracić pieniędzy na podkradaniu ich materiałów przez inne serwisy i użytkowników.

Kolejnym budzącym obawy przepisem jest artykuł 13, który nakazuje użytkownikowi prewencyjną kontrolę zamieszczanych materiałów. Artykuł 13 wprost nawiązuje do pomysłów sprzed kilku lat, gdy próbowano wdrożyć międzynarodową umowę handlową dotyczącą zwalczania obrotu towarami podrobionymi, znaną powszechnie jako ACTA. Na jej podstawie państwo delegowało na prywatne podmioty swoje kompetencje w zakresie ochrony praw autorskich. W ten sposób posiadacze tych praw mieli arbitralnie decydować o tym, co można publikować w internecie, a czego nie można. Inaczej mówiąc, oddawano prywatnym koncernom kontrolę nad przepływem informacji.



Fot. Shutterstock

O jakich koncernach mowa? Nie jest tajemnicą, że najsilniejszą presję na zaostrzenie praw autorskich wywierały Francja i Niemcy – tu w szczególności Axel Springer SE. Jak informowało zajmujące się tematyką unijną pismo „New Europe", Axel Springer wykorzystuje swoje wpływy wewnątrz niemieckiej CDU do przepychania na forum unijnym korzystnych dla siebie projektów. Do grona przyjaciół koncernu należą m.in. Günther Oettinger pełniący do 2016 r. funkcję komisarza ds. gospodarki cyfrowej, Manfred Weber – przewodniczący Europejskiej Partii Ludowej w PE (i prawdopodobny kandydat na następcę Jeana-Claude'a Junckera), oraz sprawozdawca projektu dyrektywy Axel Voss.

Utrudnienie dostępu do treści (bo usunięcie linków jest ogromnym utrudnieniem) i nakaz autocenzury publikowanych materiałów (pod kątem bardzo szeroko rozumianych praw autorskich) mogą doprowadzić nie tylko do pogorszenia kondycji finansowej mniejszych wydawnictw i portali oraz faktycznego wyeliminowania z obiegu informacyjnego wielu indywidualnych użytkowników, lecz również – w dalszej perspektywie – do stworzenia monopolu ekonomicznego i informacyjnego największych graczy na rynku. Konsekwencją tego monopolu może być ideologiczna kontrola internetu, który – przynajmniej w Unii Europejskiej – przestałby być przestrzenią wolnej wymiany myśli i informacji.

Konrad Kołodziejski

Hiszpania

Uczynić Hiszpanię wielką!

28 kwietnia Hiszpanie wybiorą nowy parlament. Już po raz trzeci w ciągu zaledwie czterech lat. Niespełna miesiąc później czekają ich wybory do Parlamentu Europejskiego. Lewicowy gabinet premiera Pedro Sáncheza przetrwał tylko osiem i pół miesiąca. Pogrążyli go katalońscy separatyści, z którymi Sánchez usiłował zawrzeć deal w zamian za ich poparcie dla ustawy budżetowej. Zostało to uznane za zdradę przez wielu Hiszpanów sfrustrowanych pobłażliwym stosunkiem rządu do separatystów i wszechobecną korupcją. Niektórzy już wcześniej zaczęli szukać alternatywy na prawicy. I znaleźli ją w postaci partii Vox Santiago Abascala, odwołującej się do konserwatywnych wartości, którym niegdyś hołdowała także Partia Ludowa, zanim – jak wszystkie partie chadeckie w Europie – przesunęła się na lewo.

Vox chce bronić tradycyjnego modelu rodziny, sprzeciwia się migracji oraz opowiada się za likwidacją autonomii hiszpańskich prowincji. W grudniu 2018 r. partia odniosła sukces w wyborach do autonomicznego parlamentu Andaluzji, tradycyjnego bastionu socjalistów, zdobywając 12 ze 109 mandatów. Sondaże dają jej 11 proc. poparcia w skali kraju. To niezły wynik jak na partię, która w wyborach parlamentarnych 2014 r., tuż po swoim powstaniu, uzyskała zaledwie 1,57 proc. głosów.

Lider Vox Santiago Abascal wywodzi się z establishmentu. Karierę polityczną rozpoczynał w Partii Ludowej, której członkiem był także jego ojciec. Drażniła go jednak zbyt umiarkowana postawa chadeków, szczególnie wobec kryzysu katalońskiego. Gdy był radnym w baskijskim Llodio, stał się celem pogróżek i ataków separatystów z ETA. Potrzebował policyjnej ochrony. Wówczas – jak mówił w wywiadzie dla dziennika „El Mundo" – dostrzegł potrzebę powołania ruchu, który skupi hiszpańskich patriotów i sprzeciwi się separatyzmom.

Abascal chce bronić jedności Hiszpanii, tradycyjnej rodziny oraz postawić tamę masowemu napływowi imigrantów. Proponuje m.in. wprowadzenie całkowitego zakazu aborcji oraz chce, wzorem Trumpa, „uczynić Hiszpanię znów wielką".

Jedna jaskółka wprawdzie wiosny nie czyni, ale to, że ludzie masowo przybywają na wiece Vox, a partia dziesięciokrotnie zwiększyła na przestrzeni kilku lat swój elektorat, to najlepszy dowód na to, że w Hiszpanii nadal są odbiorcy takich politycznych treści. Jak podkreślają eksperci, sukces takich ugrupowań jak Vox czy Podemos pokazuje, że ludzie tęsknią za wartościami w polityce, o których partie głównego nurtu już dawno zapomniały.

Aleksandra Rybińska

eprasa.pl fad24d143e

Holandia

Emeryci? Niech umierają!

Holenderska posłanka Corinne Ellemeet z partii Zielona Lewica złożyła w parlamencie wniosek, by ograniczyć leczenie pacjentów powyżej 70. roku życia. Przypomniała, że stanowią oni ponad 70 proc. wszystkich pacjentów w niderlandzkich szpitalach. Jeśli w ich przypadku konieczna okaże się operacja, to – w myśl przedstawionego projektu – szpital będzie mógł odmówić jej wykonania. Nieistotna stanie się więc wola pacjenta, który chce walczyć o swe zdrowie lub życie, lecz prognoza geriatry oceniającego „jakość życia" chorego. Pomysł poparło już stowarzyszenie Clinical Geriatrics. Jego prezes Hanna Willem stwierdziła, że zaprzestanie leczenia przełoży się na zwiększenie jakości życia pacjenta, którego nie będzie się już dłużej męczyć uciążliwymi procedurami medycznymi.

Za humanitarnymi hasłami kryje się jednak brutalna rzeczywistość finansowa. Wskutek kryzysu demograficznego system opieki socjalnej trzeszczy w szwach. Na dłuższą metę państwa nie stać na utrzymywanie rzeszy emerytów. Analizy pokazują, że połowę wszystkich kosztów służby zdrowia w Holandii stanowią wydatki na leczenie osób powyżej 65. roku życia, których liczba stale rośnie, ponieważ społeczeństwo gwałtownie się starzeje. Dziś chodzi o sumę 28 mld euro wydaną na 3,3 mln starszych ludzi. Są oni nieproduktywni i nie generują żadnych zysków dla budżetu, a przynoszą jedynie straty. Na dodatek średnia długość życia wynosi 81 lat, co nie wróży dobrze dla finansów państwa. Jak wobec tego zredukować koszty? Najlepiej redukując liczbę seniorów poprzez ograniczenie im możliwości leczenia.

Obecnie Holendrzy przechodzą na emeryturę, licząc 67 lat i trzy miesiące. Gdyby projekt Ellemeet został zaakceptowany, oznaczałoby to, że ludzie niecałe trzy lata po osiągnięciu wieku emerytalnego byliby przy poważniejszej chorobie pozbawiani opieki medycznej państwa. Zimna, bezlitosna kalkulacja podlana mdłym sosem humanitaryzmu. Teraz pozostaje tylko przeprowadzić ileś tam kampanii, by urobić społeczeństwo i przekonać je do zmian.

Grzegorz Górny



Fot. Shutterstock

Wielka Brytania

Seks według Monty Pythona

„Edukacja seksualna w szkole nie wystarcza. Rodzice muszą wziąć władzę we własne ręce!" – czy to fragment jakiegoś prawicowego manifestu? Nie tym razem. Sprawy w swoje ręce oraz w inne części ciała wzięły wyjątkowo mocno wyzwolone mamuśki. „Mums Make Porn" („Mamuśki kręcą porno") – taka produkcja powstała w Wielkiej Brytanii. Mówimy tu o państwie, w którym edukacja seksualna zaczyna się już w przedszkolu, a mimo to ciąże u nieletnich i choroby weneryczne wśród nastolatków występują w zastraszających liczbach.

Reportaż o akcji mamusiek nakręcił Channel 4. Pięć pań w średnim wieku (w języku „branżowym" określanych skrótem MILF) zdecydowało się nakręcić film pornograficzny, który będą pokazywały swoim dzieciom. 40-letnia Sarah Sadler przekonuje, że jej dwie córki – 12-latka i 16-latka – przyklasnęły pomysłowi. Dodaje, że nie umiała rozmawiać z córkami o seksie, więc wolała im po prostu pokazać, jak on powinien wyglądać. Mamy przypominają, że dziś większość dzieci swoją wiedzę o seksie czerpie z filmów porno, które uprzedmiotowiają kobiety (oj, niebezpiecznie ten feminizm zbliża się do poglądów katolików na kobiecość) i uczą mężczyzn agresji. Podobno w 90 proc. filmów pornograficznych ukazywane są przemoc wobec kobiet i – uwaga – rasizm. Kobiety mają być uczone, że należy pałać większym entuzjazmem do rozebranych i dobrze wyposażonych czarnoskórych. A to już rasowa segregacja!

W wywiadzie dla BBC Sadler przekonywała, że jej córki są uczone przez pornografię uległości wobec wszystkich zachcianek chłopaków. Gdy więc inne mamy zaproponowały jej udział w „etycznym filmie pornograficznym", zgodziła się od razu. Panie w etyczny sposób uprawiają na ekranie seks, pokazując swoim dzieciom, jak wygląda szacunek do kobiet w łóżku. Chcą też uświadomić swoim dzieciom, że seks w filmach porno jest wyreżyserowany i nierealistyczny. Ich film będzie natomiast w pełni prawdziwy. „Czuję się teraz spokojniejsza, że moje dziewczynki będą lepiej poinformowane" – mówi Sadler. I ma nadzieję, że do akcji dołączą wkrótce inni rodzice.

A może lepiej po prostu wynająć nauczyciela, który przyjdzie do szkoły z żoną albo mężem i na oczach uczniów będzie uprawiał etyczny seks? Brytyjczycy nie będą tym zaskoczeni, jeżeli wychowali się na Monty Pythonie, który w 1983 r. w swoim arcydziele „Sens życia według Monty Pythona" pokazał skecz, w którym w takiego nauczyciela wcielił się John Cleese. Na taką lekcję to i ja bym poszedł. Byłoby przynajmniej zabawnie.

Łukasz Adamski

eprasa.pl fad24d143e

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Program PO: poddaństwo



Jan Pietrzak

Jak było do przewidzenia, elitarny polityk PO Graś, zeznając przed komisją VAT-owską, przez kilka godzin wyjaśniał, że nic nie pamięta z czasów, kiedy był w Polsce członkiem rządu... Wie jedynie to, że nigdy nie rozmawiał o gigantycznym złodziejstwie (260 mld zł) ze swoim szefem Tuskiem. Pamięta doskonale, że w ciągu wielu lat z Tuskiem nie zamienił ani słowa na ten temat.

Z tego, co dotarło do opinii publicznej z nagranych w knajpie Sowy rozmów, wynika, że Graś jednak dysponował istotną wiedzą o VAT-owskim przekręcie do tego stopnia, że odradzał rozmówcy handel narkotykami, bo jest mniej opłacalny od przewalania faktur. To nie była powierzchowna plotkarska uwaga, lecz głęboka wiedza o rynku nielegalnych przekrętów.

Prawdę mówiąc, mało kto z przesłuchiwanych przez komisję Horały urzędników ówczesnego rządu cokolwiek wiedział. Nawet pozujący na brytyjskiego dżentelmena minister finansów nie wstydził się przed komisją zachowywać jak tabaka w rogu. Do historii przeszła jego kwestia „piniędzy ni ma" rzucona na pożegnanie resortu. To była jakaś szczególnie nieporadna umysłowo ekipa.

Obecnie ponownie szykują się do objęcia władzy w Polsce, w składzie rozszerzonym o zwiędłe autorytety z pobocznych nurtów lewackich. Upraszani przez dziennikarzy o ujawnienie programu dla Polski obsesyjnie opowiadają o odsunięciu PiS od władzy i o absolutnej miłości do Unii Europejskiej, rozumianej jako korporacja biurokratów na usługach Brukseli i Berlina. To ich jedyny punkt programowy: maksymalna uległość i dyspozycyjność. Szlak mają przetarty przez Tuska i Grasia. Konfitury do odbioru przy Bramie Brandenburskiej.

Niemców nawet dwie straszliwe wojny światowe nie odzwyczaiły od tęsknoty za wielką Rzeszą. Utwierdzanie ich w tym fałszywym przekonaniu nie służy nikomu. Unia Europejska nie jest Rzeszą Niemiecką – należy im przypominać przy każdej okazji, zwłaszcza w Parlamencie Europejskim. Z wielu powodów, ale również dlatego musimy tam wysłać ekipę dzielnych Polaków, a nie miernoty o lokajskiej naturze. Polacy pragną być w Unii, ale nie chcą żyć w Rzeszy. Czy to jest jasne?



Fot. Jacek Dominski/REPORTER

Żarty się skończyły

Z aktorem Przemysławem Stippą rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Wierzy pan w znaki?

Przemysław Stippa: Absolutnie tak. Pojawiały się w wielu momentach mojego życia. Były prognozą czegoś, co się bardzo często realizowało.

Co prognozują „Znaki" w najnowszej premierze Teatru Telewizji?

To chwilami zabawna, ale groźna w przekazie tragifarsa. Jej autorem jest Jarosław Jakubowski, reżyserem spektaklu Artur Tyszkiewicz; w obsadzie są też Marta Ścisłowicz i Grzegorz Małecki. Opowiadana historia dotyczy pisarza w kryzysie twórczym. Pewnego dnia przychodzi do niego Wysłannik Centrali z informacją, że od teraz nie używa się znaków diakrytycznych. Czyli odjęta zostaje ważna sfera tożsamości językowej, tak istotnej zwłaszcza dla człowieka zawodowo operującego słowem. Zabiera mu się narzędzie pracy, odcina część jego przestrzeni twórczej. Komplikuje to także jego życie prywatne.

Sytuacja kafkowska?

Ma to taki klimat. W tekst jest też wpisane specyficzne poczucie humoru, zresztą jak u Kafki. Jest dużo mrocznego świata, który można porównać z klatką. Do tej klatki trafia grany przeze mnie bohater.

Premiera „Znaków", spektaklu bardzo na serio, odbywa się 1 kwietnia. To też coś znaczy?

Jest w tym coś przewrotnego. Ten dzień kojarzy się z psikusami. Tu żarty są na poważnie. W finale pada nawet zdanie Wysłannika: „Żarty się skończyły". Od sytuacji komicznej, absurdalnej, niewyobrażalnej przechodzimy do tonu na serio. I tym zamykamy nie tylko primaaprilisowy dzień.

eprasa.pl fad24d143e

BRONISŁAW WILDSTEIN

O nadrzędności europejskiego prawa



Trybunał Konstytucyjny potwierdził zgodność wyboru członków KRS z polską konstytucją. Potem było jak zawsze. Wojciech Sadurski ogłosił, że jest to początek polexitu. „Bo gdy TSUE uzna niezgodność KRS z kryteriami niezależności sądownictwa, a rząd PiS wyciągnie dzisiejszy »wyrok« tzw. TK o neo-KRS, będzie to wypowiedzenie pierwszeństwa prawa UE. Czyli warunku członkostwa".

Sadurski zakłada więc, że TSUE, nie licząc się z polskim prawem, parł będzie do konfrontacji, czego przy wszystkich zarzutach, jakie można mu czynić, dotąd w stosunku do żadnego państwa nie robił, i nie tylko łamać będzie zapisy traktatów, co w stosunku do nas już zademonstrował, lecz prowadził będzie do eskalacji konfliktu. Co, naturalnie, zdaniem Sadurskiego jest winą PiS.

„Wojtku, nie wprowadzaj w błąd. Przecież »zasady pierwszeństwa prawa UE przed prawem państwa członkowskiego« NIE MA I NIE JEST to war. członkostwa w UE. [...] Za to JEST art. 8 Konstyt. RP: »Konstytucja RP jest NAJWYŻSZYM prawem w RP«" – odpisała mu Krystyna Pawłowicz.

„Krystyno, koniecznie doucz się. Ta zasada została ustanowiona w orzecznictwie ETS w 1964 (sprawa Costa/Enel), a w traktacie lizbońskim potwierdzona Deklaracją nr 17 dołączoną do traktatu" – to Sadurski.

Równocześnie odezwał się cały chór profesorów, którzy powtarzają to samo. „Rząd powołuje się na art. 8 konstytucji, który mówi, że konstytucja jest najwyższym prawem RP. Ale ten przepis musi być stosowany z art. 90 konstytucji, który mówi, że RP przestrzega prawa międzynarodowego, a więc także prawa unijnego. Polska musi zatem dostosować prawo konstytucyjne do wymogów prawa unijnego" – cytat z Władysława Czaplińskiego.

Pora więc douczyć profesorów. Deklaracja nr 17 dołączona do traktatu lizbońskiego nie jest częścią traktatów i nie ma mocy wiążącej prawnie. Nigdzie w traktatach nie jest zapisana nadrzędność prawa unijnego w stosunku do prawa krajowego. To wniosek wypływający z charakteru UE i, przede wszystkim, z praktyki prawnej stosowanej na początku przez ETS, a obecnie przez TSUE. Wyrok, na który powołuje się Sadurski, to konkretna, gospodarcza sprawa i trudno traktować ją jako precedens, który jednoznacznie ma rozstrzygać o „nadrzędności". Uznawanie zresztą prymatu precedensów w prawie unijnym samo jest interesującym precedensem.

A to fragment orzeczenia polskiego TK (w pełnym składzie) z 11.05.2005 r. pod przewodnictwem jego przewodniczącego Marka Safjana. Tak, tak, tego, który jest dziś członkiem TSUE.

„Trybunał Konstytucyjny stoi na stanowisku, że ani art. 90 ust. 1, ani też art. 91 ust. 3 nie mogą stanowić podstawy do przekazania organizacji międzynarodowej (czy też jej organowi) upoważnienia do stanowienia aktów prawnych lub podejmowania decyzji, które byłyby sprzeczne z Konstytucją Rzeczypospolitej Polskiej. W szczególności wskazane tu unormowania nie mogą posłużyć do przekazania kompetencji w zakresie, który powodowałby, iż Rzeczpospolita Polska nie może funkcjonować jako państwo suwerenne i demokratyczne. W tej kwestii pogląd Trybunału Konstytucyjnego pozostaje zbieżny, co do zasady, ze stanowiskiem Federalnego Sądu Konstytucyjnego Niemiec oraz Sądu Najwyższego Królestwa Danii" – warto, aby przypomnieli go sobie profesorowie w rodzaju Czaplińskiego i sam Safjan. A w konstytucji polskiej zapisane jest, że o konstytucyjności prawa czy działania państwa rozstrzyga TK i nikt inny. Naturalnie, można sobie przed nim pisać „tzw.", ale jest to wyłącznie wyrazem bezsilności.

Nie znaczy to, że nie istnieje domniemanie pierwszeństwa prawa unijnego, ale, jak wskazywało to choćby orzecznictwo polskiego TK, dzieje się tak w określonym, ograniczonym zakresie i w odniesieniu do ujmowanych w traktatach spraw. To prawda, że dominujące dziś w UE środowiska usiłują działać metodą faktów dokonanych. W ten sposób próbowano zafundować nam „europejską" konstytucję, w której prymat prawa unijnego zapisany został expressis verbis. Przypuszczalnie było to główną przyczyną odrzucenia tego projektu w krajowych referendach.

Rozpychanie się TSUE było jedną z istotniejszych przyczyn głosowania Anglików za brexitem. Mimo tej skłonności europejski sąd unikał dotąd ostrzejszej konfrontacji ze „starymi" członkami Unii. Być może polski kazus wykorzysta, aby próbować zasadniczo rozszerzyć swoje uprawnienia? Już samo zajęcie się polską wewnętrzną sprawą, regulowaną rozmaicie w różnych krajach UE, i to w oparciu o Europejską Kartę Praw, której Polska nie podpisała, świadczy, że członkowie TSUE w stosunku do nas przestali się liczyć z pozorami. Czy zachęcani przez totalnych posuną się jeszcze dalej?

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fad24d143e

OGNIEM NA WPROST

A miał być świętoszkiem



Przywódca Białorusi Aleksander Łukaszenka dał ognia w jednym z gospodarstw rolnych, które odwiedzał z gospodarską wizytą. Jako jedyny syn Kaciaryny Trafimauny, niezamężnej dojarki z kołchozu, a później sam dyrektor kombinatu rolnego w rejonie szkłowskim, znał się na rzeczy i wiedział, co mówi. Zauważywszy bardak połączony z dręczeniem zwierząt w gospodarstwie, które wizytował, zareagował. „Ta krowa ledwo żyje – rozpoczął. – Czy ty widzisz, jak ona się porusza? Po co żeście mnie tu przywieźli? Żebym teraz służbie bezpieczeństwa nakazał założyć wam kajdanki? – dziwił się prezydent. – Jeśli człowiek nie rozumie, że to Oświęcim! Jeśli są chore, to tu powinno być czysto i sucho. A ty spójrz na to bydło! Ona jest cała obs... na, na sierści jej wszystko zaschło". Po obrazowym porównaniu gospodarstwa do niemieckiego obozu zagłady w Auschwitz przyszła pora na wnioski: „Minimum wywalam z pracy! Winnych natychmiast w kajdanki i do aresztu". I to jest program Cela+, a nie jakieś tam pitu, pitu układ gdański!

Àpropos Trójmiasta. Właśnie minęła kolejna, niegdyś hucznie obchodzona, rocznica tzw. wyzwolenia Sopotu. 23 marca 1945 r. od strony Kolibek do miasta wkroczyła sowiecka piechota i wjechały czołgi, ziejąc ogniem do widocznego we mgle pancernika „Lützow" oraz niszczycieli Z-31 i Z-34. Potem rozpoczęła się seria gwałtów, rabunków i podpaleń, jak w każdym zdobytym poniemieckim mieście. Druga grupa krasnoarmiejców wkroczyła dzisiejszą ulicą 23 Marca z tymi samymi „efektami". To właśnie od tych wydarzeń wzięła się nazwa drogi. Weszła ustawa dekomunizacyjna i trzeba było ulicę przechrzcić. Rajcy miejscy długo się zastanawiali, jak obejść przepis. Przecież to taka ładna nazwa. Łączyła w sobie dwa najważniejsze dla serca każdego prawdziwego radnego z układu gdańsko-sopockiego wydarzenia z nowożytnej historii kurortu. Radość z powodu wkroczenia władzy radzieckiej, ale też smutek z powodu odejścia Niemców. Myśleli i wymyślili. Dzień 23 marca od jakiegoś czasu jest Dniem Przyjaźni Polsko-Węgierskiej. Nazwa sopockiej ulicy więc pozostała.

Gwiazdor liberalnej demokracji premier Kanady Justin Trudeau, piewca zabijania nienarodzonych dzieci, eutanazji i innych „praw człowieka", został bohaterem skandalu korupcyjnego. Okazało się, że ten świętoszek z parnasu przedstawicieli światowego postępu działał wspólnie i w porozumieniu z biznesowym gigantem – firmą budowlaną SNC-Lavalin. To największy pracodawca w Quebecu, prowincji, z której pochodzi Trudeau. Firma jest oskarżana o korumpowanie libijskich władz i brudne interesy z reżimem Kaddafiego. „Dla kanadyjskich liberałów i w rzeczy samej dla wszystkich tych, którzy wciąż dbają o takie staroświeckie idee jak praworządność i liberalno-demokratyczne wartości, obserwowanie tego skandalu było jak patrzenie na jednorożca rozjeżdżanego przez ciężarówkę" – bolała w brytyjskim „Guardianie" kanadyjska dziennikarka Leah McLaren. „Lider, którego uważaliśmy za wyjątkowego, okazał się tak samo skorumpowany jak jego poprzednicy". Notowania Liberalnej Partii Kanady lecą w dół ku uciesze konserwatystów, bo wybory za pasem, podobnie jak w Polsce. Co ciekawe, zarzuty w tej sprawie postawiła prokurator generalna i minister sprawiedliwości w jednej osobie Jody Wilson-Raybould. Tak, tak, w postępowej Kanadzie te dwie funkcje naraz również pełni jedna i ta sama osoba. Już niedługo będą ją tam nazywać „kanadyjską Ziobro".

Amerykanie testują swoją obronę antyrakietową. Z eksperymentalnego centrum na Wyspach Marshalla na Pacyfiku, 6,5 tys. km od zachodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych, odpalono międzykontynentalny pocisk balistyczny ICBM. Niedługo później z bazy sił powietrznych Vandenberg w Kalifornii w odstępie kilku sekund w powietrze wzbiły się dwie rakiety przechwytujące. Jak poinformowała w komunikacie amerykańska Agencja Obrony Przeciwrakietowej (MDA), jedna zniszczyła głowicę rakiety ICBM, a druga – inne części, które jej system pokładowy uznał za niebezpieczne. „Uderzyły w nią precyzyjnie, dokładnie tak, jak zostały zaprojektowane. To było pierwsze »przechwycenie salwą« przez przeciwrakiety (Ground Based Interceptors, GBI) złożonego, stanowiącego zagrożenie celu w postaci ICBM, i było to kluczowe osiągnięcie" – oświadczył dyrektor MDA gen. Samuel Greaves. Przydałoby się wreszcie takie urządzonko w Redzikowie i nie tylko.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl fad24d143e

Gospodarka oparta na wiedzy

Naukowcy z Wydziału Chemii Uniwersytetu Gdańskiego opracowali szybki i bezinwazyjny test diagnostyczny do wykrywania choroby nowotworowej nabłonka układu moczowego. Nowa metoda, stanowiąca alternatywę dla obecnie stosowanych, wykazała ok. 90 proc. skuteczności wśród 600 osób. Zestaw diagnostyczny składa się zaledwie z dwóch składników, które pod wpływem czynników wydzielanych przez komórki nowotworowe ulegają rozpadowi, umożliwiając ich wykrycie. Wynalazek trójmiejskich chemików został opatentowany na terenie Unii Europejskiej i na świecie.



Marta Kaczyńska-Zielińska

Nowa metoda wykrywania raka to jeden z wielu dowodów na to, że polscy naukowcy mają w sobie ogromny potencjał. Rząd Prawa i Sprawiedliwości wychodzi im naprzeciw. W ostatnich dniach Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego zapowiedziało stworzenie uczelni badawczych wybranych dyscyplin naukowych. Placówki mają realizować przede wszystkim cele naukowe – z odpowiednio mniejszą liczbą studentów wyselekcjonowanych spośród międzynarodowego grona kandydatów, kształconych na wyższym niż przeciętny poziomie i zaangażowanych w prowadzenie badań, począwszy od pierwszego roku. Uczelnie badawcze będą realizować program studiów I i II stopnia, a także tworzyć szkoły doktorskie zapewniające stypendia wszystkim abiturientom.

Rozwojowi polskiej nauki sprzyjać ma także możliwość nawiązywania nowatorskiej formuły współpracy naukowej opartej na najnowocześniejszych technologiach. Z powstałego w Banku Gospodarstwa Krajowego Funduszu Polskiej Nauki mają być powoływane wirtualne instytuty badawcze umożliwiające wspólne prowadzenie badań przez naukowców z różnych ośrodków, a także – i przede wszystkim – usprawniające proces komercjalizacji innowacyjnych pomysłów i ich wdrażanie na rynkach krajowym i zagranicznym. Przepływ wiedzy pomiędzy naukowcami a przedsiębiorcami – także tymi najmniejszymi, wykorzystującymi ich nowatorskie rozwiązania – ma zostać usprawniony. Fundusz BGK to wsparcie nie tylko dla naukowców, lecz także dla innowacyjnych start-upów i rozwoju gospodarki. W ostatnich dniach minister nauki i szkolnictwa wyższego wezwał do ponadpartyjnego sojuszu w sprawie systematycznego wzrostu nakładów na naukę i szkolnictwo wyższe w szybszym tempie niż przewidziane przez ustawodawcę.

W czerwcu 2006 r. w trakcie uroczystości wręczenia nominacji profesorskich prezydent Lech Kaczyński apelował o sukcesy w nauce. Mówił: „Musimy osiągać jak najwięcej sukcesów, jak najwięcej sukcesów we wszystkich możliwych dziedzinach, w naukach stosowanych, a także teoretycznych, w naukach technicznych, ścisłych i humanistycznych, w końcu w naukach społecznych, czyli naukach prawnych czy ekonomicznych. To jest dzisiaj olbrzymie zadanie dla kraju, który chce się liczyć w Unii Europejskiej. Proszę pamiętać, że [...] traktowanie obecnych stosunków międzynarodowych, także wewnątrz Unii, jako niekonkurencyjnych jest dużą naiwnością. I powtarzam – to nie cytat ze mnie, to cytat z polityka bardzo znanego, którego zaangażowanie w sprawy Unii, entuzjazm dla Unii znacznie większy jest od mojego. Tam stosunki mają również charakter konkurencyjny, tyle tylko, że wykluczona jest konkurencja z bronią w ręku, że nie jest możliwe, żeby między dwoma państwami Unii doszło do wojny, że zasada współpracy jest zasadą podstawową, ale to konkurencji nie wyklucza, a sukcesy w nauce są jedną z podstawowych jej dziedzin. Oczywiście ta konkurencja odbywa się przede wszystkim w sferze gospodarczej, ale także nauki, także osiągnięć w sztukach pięknych, także w sporcie – to też się bardzo istotnie liczy. I musimy tutaj się mobilizować. Zdaję sobie sprawę z mizerii – mówię to z całą otwartością – nakładów na rozwój nauki, z mizerii – tak to trzeba określić. One są bardzo nikłe. Ja ze swojej strony w ramach tego, co wolno prezydentowi Rzeczypospolitej, w ramach konstytucji będę walczył o to, żeby te wydatki rosły”.

Z głębokim smutkiem zawiadamiam,
że 21 marca 2019 roku zmarł w Newark w USA

ŚP

PŁK JANUSZ KRZYŻANOWSKI

urodzony 13 lipca 1921 r. w Buczaczu.
W maju 1940 r. aresztowany przez NKWD,
następnie więziony w Starobielsku i łagrach Workuty.

Zwolniony na mocy traktatu Sikorski-Majski,
wstąpił do formowanej w ZSRR
8. Dywizji Piechoty Polskich Sił Zbrojnych.
Od kwietnia 1942 r. służył na Bliskim Wschodzie,
następnie odbywał służbę w Wielkiej Brytanii
w Samodzielnej Brygadzie Spadochronowej
oraz Oddziale Specjalnym Sekcji Dyspozycyjnej
Sztabu Naczelnego Wodza.
Po wojnie pozostał na emigracji.

Współorganizator i wieloletni Prezes Zarządu Głównego
Stowarzyszenia Polskich Kombatantów w USA.
Działacz Kongresu Polonii Amerykańskiej.
Od 1978 roku czynny w Radzie
Instytutu Józefa Piłsudskiego w Ameryce.

Uhonorowany Krzyżem Komandorskim z Gwiazdą
Orderu Odrodzenia Polski oraz innymi odznaczeniami.

Niech odpoczywa w Pokoju Wiecznym.

Cześć Jego Pamięci!

Jan Józef Kasprzyk
Szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

56/0319/F

eprasa.pl fad24d143e

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Edukacja po francusku

Miejska biblioteka w Paryżu zorganizowała warsztaty dla dzieci w wieku od 7 do 14 lat w ramach tzw. Queer Week. Feministyczne stowarzyszenie Les Flux zaprosiło na „warsztat autochirurgii transwyłącznej". Były lusterka, latarki i wzierniki. Jak donosi m.in. portal pch24.pl, były też zajęcia zatytułowane „The Antrum Fessue", czyli jak grać pupą z przyjaciółmi, gdy jesteś antykapitalistą. Prezydent stolicy ma się na kim wzorować!





943 tys. zł

– taką karę nałożył Urząd Ochrony Danych Osobowych na jedną ze spółek za niespełnienie obowiązku informacyjnego dotyczącego przetwarzania danych.

1,5 mln

– tyle deklaracji złożono w ciągu niespełna dwóch tygodni funkcjonowania usługi Twój e-PIT.

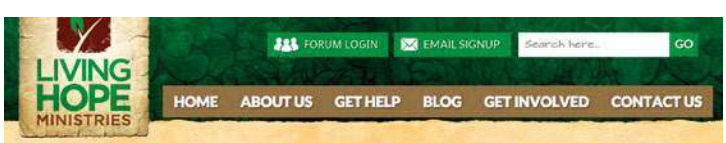
ok. 979 metrów

– to wysokość najwyższego wodospadu świata Santo Angel, który zdobyli Polacy. W ciągu trzech lat pięciu członków drużyny chce zdobyć koronę wodospadów, czyli 10 najwyższych kaskad na świecie.

Postęp po duńsku

Przybywa Duńczyków zainteresowanych zmianą płci. Tamtejsi lekarze ostrzegają, że ich liczba będzie się zwiększała. „Te opinie znajdują potwierdzenie w danych statystycznych Centrum Identyfikacji Płciowej oraz największych duńskich szpitali. W 2018 r. centrum skierowało do kliniki w Aalborgu 357 osób, które z powodu odczuwania dyskomfortu swojej biologicznej płci zadeklarowały chęć jej zmiany. Dwa lata wcześniej do tej samej kliniki skierowano tylko 19 pacjentów" – informuje radioszczecin.pl. Jeśli miarą postępu w danym kraju jest liczba osób, które zmieniły płeć, Dania jest awangardą tegoż postępu.





Co z tą równością?

Jak informuje portal dobreprogramy.pl, organizacja Truth Wins Out (TWO), zajmująca się głównie walką o prawa osób homoseksualnych, zażądała od Google'a usunięcia prochrześcijańskiej aplikacji Living Hope Ministries ze Sklepu Play. Lobby homoseksualne uważa, że aplikacja przedstawia homoseksualizm w złym świetle. Living Hope Ministries zawiera zbiór audiobooków z fragmentami Pisma Świętego, modlitwami i katechetycznymi prelekcjami. Problem dla działaczy TWO stanowią te ostatnie. Lektorzy w bardzo bezpośredni sposób krytykują pociąg do osób tej samej płci i zachęcają do zmiany stylu życia. Ach, ta osławiona tolerancja! Dziś trudno się oprzeć wrażeniu, że najbardziej dyskryminowani są biali heteroseksualiści, będący chrześcijanami.

eprasa.pl fad24d143e

Zbrodnia i kara

Pedofil Thomas Goodman został skazany na 260 lat więzienia. „Wysokość kary zaskoczyła nawet oskarżyciela. Prokuratura Okręgowa Rhode Island żądała 100 lat więzienia dla 45-letniego Thomasa Goodmana. Sędzia John J. McConnell uznał jednak taki wymiar kary za zbyt łagodny dla oskarżonego. Goodman zemdlał po usłyszeniu wyroku: 260 lat pozbawienia wolności" – informuje o2.pl. Mężczyzna wykorzystywał dzieci w wieku 6–12 lat, a także niemowlęta. Nawet gdy wyjdzie po 200 latach za dobre sprawowanie, i tak już nikogo nie skrzywdzi. To jest prawdziwa zbrodnia i adekwatna kara. Dostojewski byłby dumny.



Uprzejmie proszę Rafała Trzaskowskiego o niekolportowanie nieprawdziwych informacji. NIKT startujący do Parlamentu Europejskiego z rekomendacji SLD, z list Koalicji Europejskiej NIE PRZYSTĄPI do EPP" – napisała Anna Maria Żukowska na Twitterze. I to byłoby na tyle w kwestii spójności programowej Koalicji Europejskiej.

Dobra wiadomość

Odrobina dobrych wiadomości jeszcze nikomu nie zaszkodziła, więc dzielę się z państwem tymi, które posiadam. Miesiąc temu pisałam o zbiórce pieniędzy, którą prowadzi stowarzyszenie Paczka dla Bohatera w związku z kolejną edycją Ferii dla Bohatera. I właśnie się okazało, że na wypoczynek kombatantów udało się już zebrać 115 100 zł, więc do potrzebnych 150 tys. zł niewiele brakuje. Aż 55 tys. zł wpłynęło na konto stowarzyszenia od trzech tajemniczych sponsorów. Dziękuję państwu za pozytywną odpowiedź na mój apel i proszę o jeszcze. Wielki Post to dobry czas na hojność. Oni walczyli za wolną Polskę, teraz potrzebują państwa wsparcia.



Fot. Andrzej Wiktor, Shutterstock (x3), mat. prasowe (x3)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Palec papieża



Dominik Zdort

Sanktuarium maryjne w Loreto, 25 marca 2019 r. Franciszek przyjmuje pielgrzymów. Każdy przez parę sekund ściska dłoń Ojca Świętego, przyklęka, całuje papieski pierścień. Papież się uśmiecha, ale gdy podchodzi któraś z rzędu osoba, zaczyna wyrywać dłoń, nie pozwala ucałować pierścienia...

Film, na którym zarejestrowano tę sytuację, obiegł cały świat. Komentował go i amerykański „Washington Post", i rosyjski „Sputnik". Progresywiści piali z zachwytu, a tradycjonaliści rozdzierali szaty z rozpaczy.

Przypominano, że obecny papież po wyborze odmówił przyjęcia złotego Pierścienia Rybaka, zgodził się jedynie na pozłacany. „Tej tradycji papież musi wyjątkowo nie lubić" – zatytułował tekst portal deon.pl. I cytował jezuitę Russela Pointa podkreślającego, że „trzeba porzucić ten obyczaj".

Z drugiej strony przypominano, że za każde ucałowanie pierścienia można uzyskać odpust 50 dni dla dusz cierpiących w czyśćcu. Fronda.pl pytała: „Co robi papież? To koniec całowania pierścienia?", a portal wmeritum.pl dorzucał: „Katoliccy publicyści są zaskoczeni, ponieważ zwracają uwagę na fakt, iż nie są to wymysły pielgrzymów, lecz wieloletnia tradycja".

Na pytanie, czy ten gest Franciszka coś oznacza, odpowiedziała pośrednio Marie Collins, Irlandka, znana z tego, że w dzieciństwie padła ofiarą molestowania i została przez Franciszka powołana do Papieskiej Komisji ds. Ochrony Nieletnich, a później z niej wystąpiła. Stwierdziła, że kolportowane w sieci wideo nie pokazuje, iż „wcześniej przez kwadrans papież był całowany w rękę zupełnie normalnie".

A więc to kolejny przypadkowy gest Franciszka bez zrozumienia, że czyny i słowa mogą mieć konsekwencje? Papieża po prostu znudziła ceremonia i chciał ją przyspieszyć? Podobnie jak nudzi i męczy go wiele innych, uświęconych tradycją katolickich zwyczajów oraz obowiązków, ważnych dla większości katolików i dla funkcjonowania Kościoła. Zamiast się spotykać z klękającymi przed nim prostymi wiernymi, wolałby pewnie samolotowe dyskusje z siedzącymi w wygodnych fotelach nowoczesnymi dziennikarzami...

Choć oczywiście teraz, gdy jego gest wzbudził tyle komentarzy, Ojciec Święty może znudzenie uściskami wiernych wpleść w swój plan zmiany Kościoła. Tylko czy akurat tym należy się martwić? Czy głęboko wierzący katolicy rzeczywiście powinni ubolewać nad tym, że nie będą mogli ucałować pierścienia na palcu Franciszka?

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl fad24d143e

RZECZY POSPOLITE

Ajschylos rasista



Tomasz Łysiak

25 marca na scenie teatralnej paryskiej Sorbony miał się odbyć spektakl teatralny „Błagalnice" Ajschylosa. Ale się nie odbył. Grupa studentów zablokowała przedstawienie, argumentując, iż jest to tekst propagujący rasizm i stanowi „propagandę kolonialną". Lewicowych aktywistów rozwścieczyła dodatkowo kwestia kostiumów – część aktorów grała w białych maskach, część w czarnych. Protestujący studenci zostali zainspirowani francuską Radą Związku Osób Czarnoskórych, która negatywnie zaopiniowała spektakl. Na nic się zdały wyjaśnienia uniwersyteckich władz, że sztuka została przygotowana wedle wszelkich dawnych prawideł i stanowi część klasycznego przeglądu teatralnego. Przedstawienie zdjęto z afisza przed premierą.

Pomyślałem od razu o strasznym braku równości (jedno z haseł lewicowych bojowników o lepszy świat) i sprawiedliwości (kolejne hasło ze sztandarów lewicy, ciągle podnoszone i nigdy niewprowadzane przez nich w życie) w podejściu do prezentowanych ostatnio dzieł kultury scenicznej. Oto u nas w najlepsze można wystawiać na deskach teatralnych sztuki, w których w obrazoburczy sposób traktuje się religię, chrześcijaństwo i święte postaci Kościoła (vide „Klątwa"), a nawet dokonuje zbiórki na zabójstwo jednego z najważniejszych w Polsce polityków. Nikt się nie przejmuje protestami, prośbami, artykułami. Wrażliwość konserwatywnej strony całkiem się nie liczy – prawica nie ma żadnych praw, nie może się czuć dyskryminowana czy obrażana. Za to, nie daj, Boże, skrytykować geja ani czarnoskórego, nawet w ramach spektaklu teatralnego: wtedy zlatują się Furie i rozszarpują bez litości. Taka to „równość" i taka to „wolność" panuje w świecie kultury.

Jednocześnie ze zdumieniem odkrywa się w tym, trudnym do zrozumienia dla logicznie myślącego człowieka, takie luki w salonowym zbiorowym „systemie ideowym", że aż dziw bierze. Oto ci sami celebryci, którzy na co dzień walczą o to, by kobiety mogły zabijać nienarodzone dzieci z powodu wykrycia zespołu Downa, gdy nadchodzi dzień poświęcony ludziom cierpiącym na tę chorobę – egzaltują się i na znak solidarności zakładają różnokolorowe skarpetki na nogi. Może lepiej czasem byłoby coś założyć na głowę? Żeby słońce tak nie dogrzewało?

Ryśtyś po polskamu



Piotr Cywiński

W samym centrum Szczecina jest taki dom, który z woli jego obecnych użytkowników nazywa się Willa West-Ende, czyli Koniec Zachodu. Objaśniam, bo po naszemu tej nazwy nie ma. W języku polskim można natomiast wyczytać z wielkiej planszy przed bramą, że znajdują się tam: „Restauracja, wyśmienita kuchnia polska, pokoje gościnne, śniadania stoły szwedzkie". Dzisiejsza ul. Wojska Polskiego to „za Niemca" arteria prowadząca do Sokolego Lasu – Falkenwalderstrasse, a że podobno tę dzielnicę nazwano kiedyś West End, stąd niby teraźniejsze miano tego hoteliku. Tak dla zachowania tradycji, którą Stettin pielęgnuje bardzo, co widać już po logotypie naszego najbardziej zachodniego z zachodnich miast. Pisała o tym nawet „Gazeta Wyborcza", że np. Wrocław wydał na swoje logo 3,5 tys. zł, Kraków – 4 tys., a Szczecin, stylizowany na Stettin, słownie: czterysta osiemdziesiąt osiem tysięcy złociszy.

Różne dziwy występują w grodzie gryfa. Na placu Lotników zainstalowano już po upadku komuny pomnik... włoskiego kondotiera na kobyle, będący de facto kopią rzeźby z Wenecji, odsłoniętej tam w XV w. Z placu Lotników widać też było stojącą 100 m dalej „ruską pałę" – jak szczeciniacy nazywali betonowy obelisk wdzięczności dla Armii Czerwonej, usunięty po wielkich sporach dopiero w 2017 r. Teraz temu miejscu w centralnym punkcie Szczecina patronować będzie – uwaga! – mający tyle wspólnego z tym miastem, co włoski kondotier Colleoni, Paweł Adamowicz. Bo tak postanowili radni z większości. „Taki gest Gdańskowi i jego prezydentowi się należy" – skwitował ktoś tam z klubu wnioskodawców – Koalicji Obywatelskiej. W kwestii formalnej, na plac im. Pawła Adamowicza wytyczono część deptaka pomiędzy jezdniami alei Papieża Jana Pawła II.

„Się należy" – to wytyczyli. Dla równowagi nadano też jednemu z rond imię Jana Olszewskiego. A że na wylotówce ze Szczecina (tablica oznaczająca koniec miasta stoi ze 2 km dalej)? W końcu premierem był krótko, to trudno upamiętniać go w takim miejscu jak prezydenta Gdańska, który urzędował długo. A, jest też w Szczecinie pomnik prezydenta Lecha Kaczyńskiego, który po lokalnej wojnie stanął przy ul. Wojska Polskiego. Tej samej, przy której znajduje się Willa West-Ende. Tyle że również ze 2 km dalej, upchnięty na prywatnej posesji przynależnej do NSZZ „Solidarność".

Ot, taki paprykarz szczeciński, ryśtyś po polskamu, przy stole szwedzkim, z kuchni polskiej na poniemieckim West-Ende...

eprasa.pl fad24d143e

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY:
ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE:
ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI – KIEROWNIK
ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL,
MACIEJ MAJTCZAK, LIDIA SŁOWIKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA:
ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

FRATRIA grupa medialna

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.
EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL
BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, AGNIESZKA SNIEZKO/EAST NEWS, SHUTTERSTOCK

eprasa.pl fad24d143e

Gdybym został prezydentem, rzuciłbym się do Wisły



Jacek i Michał Karnowscy rozmawiają z ***Pawłem Kukizem****, posłem na Sejm RP, twórcą i liderem Ruchu Kukiz '15*

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

eprasa.pl fad24d143e

Na wicepremiera czy ministra się nie nadaję. Do żadnego rządu nie chcę osobiście iść. Moim zadaniem jest doprowadzenie do zmiany ordynacji wyborczej, obniżenia podatków, wprowadzenia referendum, którego wyniki będą dla władzy obligatoryjne. Mnie nie interesują żadne stanowiska

Przeżyjecie? Kukiz '15 przetrwa?

Paweł Kukiz: Nie ma żadnych wątpliwości, że przetrwamy.

Wirtualna Polska twierdzi, że nie zdołacie zebrać podpisów pod listami do Parlamentu Europejskiego.

Piramidalna bzdura. Wyssana z palca albo pisana na zlecenie. Za chwilę ogłoszę nasze jedynki do PE. Ale wcześniej zadam „rzetelnym redaktorom" pytanie: co by było, gdybym na podstawie „anonimowych źródeł z redakcji" ogłosił publicznie, że jeden czy drugi redaktor sypia z kozą? Te akcje głoszące nasz koniec to nic nowego. Przypomnę skromnie, że w dniu wejścia do Sejmu zostaliśmy uznani za formację tymczasową, która przetrwa maksymalnie kilkanaście tygodni. Dziś zbliżamy się już do końca kadencji i nadal jesteśmy i działamy. W tym samym czasie Nowoczesna została spacyfikowana, PSL też praktycznie nie istnieje jako samodzielny byt polityczny. Zostali politycznie pożarci przez Grzegorza Schetynę, a my, którzy mieliśmy się rozpaść w gruzy, trzymamy się nieźle. Szkoda, że media tego niemal nie zauważyły.

Może dlatego, że mają wątpliwości, a niektórzy pewnie nadzieję, czy i wy przetrwacie między dwoma wielkimi blokami politycznymi. Macie wyraźną zadyszkę sondażową, jedno czy dwa badania pokazały, że spadliście poniżej progu wyborczego. To się nie zdarzało wcześniej.

Jasne, zdarzają się różne sondaże, tak jak przed wyborami prezydenckimi, kiedy niektóre badania dawały mi 3 proc. poparcia, a było ostatecznie siedmiokrotnie więcej. Tym się nie przejmuję. Bardziej bym się obawiał, gdybym czuł złą atmosferę w klubie, gdyby tam się sypało. Ale jest odwrotnie. Paradoksalnie, dzięki temu, że odeszło od nas sporo ludzi, choć mniej niż połowa, poważnych konfliktów już nie ma.

Dlaczego odeszli?

Bo przyszli do nas nie ze względów ideowych, ale w celu realizacji swoich własnych interesów, ambicji, planów. Zostali przy mnie, jak to często mówię, zahartowani i dzielni spartanie. Dokonała się weryfikacja charakterów i prawdziwych intencji. Niektórzy z tych, co odeszli, mimo wszystko zachowują się przyzwoicie. Np. Robert Winnicki, z którego wieloma postulatami się nie zgadzam, którego część haseł jest dla mnie zbyt radykalna, nadal głośno mówi o konieczności zmiany ordynacji wyborczej. Ale inni poszli na służbę do tych, których w kampanii krytykowali, korzą się przed mechanizmami, które mieli zmienić. Za tych się wstydzę.

Na przykład?

Skoro panowie dopytują: jeżeli taki Adam Andruszkiewicz idzie do obozu politycznego, daje się zatrudnić do opcji, która JOW-y neguje, która podwyższa podatki, która wycofuje się z ustawy o IPN na żądanie USA i Izraela, to jak to nazwać inaczej niż oszustwem? Oszukał wyborców i mnie. Jeżeli Jakub Kulesza idzie do partii Korwin, która całkowicie neguje JOW-y, która w ogóle sprzeciwia się demokracji, i jeszcze zostaje tam wiceprezesem, to czym to jest? Jak to połączyć z jego słowami wypowiedzianymi przed naszą komisją przed wyborami, gdzie dał piękny wykład, jak ważne są JOW-y, jak on kocha demokrację bezpośrednią? Co to jest?! To są dla mnie ludzie, którzy zdradzili ideę, wyborców, siebie też.

Może miał pan za ciężką łapę?

Odwrotnie, jak dzisiaj na to patrzę, to być może za lekką, może tego pluralizmu jak na klub parlamentarny było za dużo.

Nie krzywdzi pan tych ludzi? Oni powiedzą, że mają własną wizję polityki, chcą ją realizować – w pełni, na własnych warunkach. Co w tym złego?

Przypomnę, jak budowaliśmy nasze listy wyborcze. Każdy kandydat przechodził przez tzw. weryfikację wewnętrzną, gdzie nie ja osobiście, ale komisja, rozmawiała z ludźmi. Był tam Dominik Kolorz ze śląsko-dąbrowskiej Solidarności, był Kornel Morawiecki i nawet lekarz psychiatra Paweł Kukiz-Szczuciński [zbieżność nazwisk przypadkowa – red.], bo jak się tworzy ruch od zera, to różne dziwne osobniki przychodzą. Ta procedura trwała kilka miesięcy i każdy wiedział, na co się pisze, każdy zaakceptował nasze zasady. Przecież to powstawało od podstaw, musieliśmy się oprzeć na jakichś regułach. Oni byli w polityce nowi i ja także – nie miałem wiedzy, jak to wszystko dokładnie funkcjonuje.

Bez przesady, pamiętamy, jak rozmawialiśmy dla tygodnika „Uważam Rze" w 2012 r. – całkiem nieźle się pan orientował.

Nie mówimy o orientowaniu się, ale o wiedzy, kto jest kim, jak to w trzewiach, wewnątrz funkcjonuje, jak się buduje listy wyborcze, zbiera podpisy, jakie są powiązania i zależności itp. Tego się musiałem nauczyć.

eprasa.pl fad24d143e

I jak to wygląda od wewnątrz? Tak źle, jak pan to opisywał przed wyborami?

Potwierdza się podstawowy mechanizm patologiczny, wynikający z fatalnej, najgorszej z możliwych, ordynacji wyborczej. Otóż kandydatów na posłów nie wystawiają obywatele, tylko szefowie partii politycznych w porozumieniu z oligarchią partyjną, a czasami nawet i bez tego. Z tego wynika logiczny wniosek, że poseł ponosi odpowiedzialność nie przed obywatelem, ale przed wodzem partii. Nie zajmuje go, by ludzie go doceniali, ale ten wódz, od którego zależy jego dalszy los. Zrobi więc wszystko, wykona każdy rozkaz, nawet najgłupszy, by się nie narazić.

Gdyby nie listy partyjne i obecny mechanizm wyborczy, to Ruch Kukiz '15 wprowadziłby w 2015 r. nie 42 posłów, ale żadnego. A nie, przepraszamy, w systemie okręgów jednomandatowych mógłby pan osobiście wygrać w Opolu.

Gdybyśmy mieli ordynację jednomandatową, to z radością bym sobie z Sejmu poszedł. Mam co robić, mam z czego żyć, mam swoje plany. Jestem tu właśnie dlatego, by ludzie sami mogli wskazać i wybrać swojego posła – bez nominacji partyjnego bossa. I jeśli ceną za to byłby mniejszy lub nawet żaden klub Kukiz'15 – to biorę taki układ natychmiast! Nie o nas tu chodzi, ale o zmianę ustroju Polski.

Sztandar JOW-ów nadal, jak widzimy, wysoko powiewa nad Ruchem Kukiz '15?

A jak mogłoby być inaczej? Dlaczego miałby nie powiewać?

Bo słychać, także w samym Ruchu Kukiz '15, że to hasło trochę się już zużyło, nie jest już tak świeże.

Żartują panowie? Trzy cele są dla nas najważniejsze: zmiana ordynacji wyborczej oraz wprowadzenie referendum, którego wyniki będą dla władz obligatoryjne, które będą musiały wdrożyć. Dziś żadnego referendum nie mamy, to jest właściwie sondaż, który władza może – ale nie musi – uznać.

Bo mamy demokrację pośrednią, a nie bezpośrednią.

Bo mamy partiokrację. Bez urazy, ale naród może dziś tylko jedno – wskazać partię, której wódz już resztę ustawia, o reszcie decyduje. Bez zmiany tego stanu rzeczy szans na naprawdę sprawiedliwą i uczciwą Polskę nie będzie. Inna sprawa, że po trzech ponad latach pobytu w Sejmie zaczynam rozumieć, że klimatu do radykalnej rewolucji w tym obszarze w Polsce nie ma – to trzeba jednak robić krok po kroku. I byłbym dzisiaj skłonny negocjować ordynację mieszaną, gdzie część posłów wybieralibyśmy z okręgów jednomandatowych, a część z list partyjnych, jak to jest teraz. Natomiast będę się upierał przy referendum obligatoryjnym dla władz.

> Nie interesowałaby mnie koalicja, bo to jest zwykle głównie dzielenie łupów, ale umowa na rząd. To jest zupełnie inna rzecz

Na każdy temat?

Z wyjątkiem spraw moralnych, etycznych. O karze śmierci nie powinno się jednak decydować w referendum, podobnie o aborcji. Ale już o nauce religii w szkołach – tak. Jako osoba wierząca chętnie bym w takim głosowaniu wziął udział i zagłosował przeciwko nauce religii w szkołach. Uważam, i mówię to od lat, że to szkodzi religii.

Wedle jakich zasad mielibyśmy głosować?

Po pierwsze, milion podpisów obliguje władze do rozpisania referendum. Dziś możesz zebrać 500 tys. podpisów, a Sejm może powiedzieć, że się nie zgadza. Nawet jak Solidarność przyniosła 3 mln podpisów pod wnioskiem rozpisania referendum w sprawie podwyższenia wieku emerytalnego, to Platforma to utopiła i nikt nie mógł jej nic zrobić. Po drugie, próg ważności jest obniżony do 30 proc., a nie jak dzisiaj – 50 proc. To zaporowy wymóg. Zwróćmy uwagę – nie ma takiego progu, gdy wybieramy swoich przedstawicieli. Idźmy dalej: załóżmy, że ludzie zbierają pół miliona podpisów, górnicy z kilofami wpadają do Sejmu i zmuszają posłów, by referendum rozpisali, do urn idzie następnie 99 proc. uprawnionych. I co się dzieje? Może nic się nie zdarzyć – Sejm może, ale nie musi uznać wyniku referendum. To musimy zmienić!

I co tydzień chodzić głosować? Pewnie ciągle w tych samych sprawach.

Absolutnie nie. Możemy się umówić, że raz w roku głosujemy we wszystkich tych sprawach, które ludzie uznają za ważne, w których zebrano po ponad milionie podpisów. Ale sądzę, że efektem wprowadzenia tej instytucji byłaby radykalna i dobra zmiana sposobu rządzenia Polską. To byłby straszak, który powodowałby, iż rządzący by się zawsze trzy razy zastanowili, zanim zrobiliby coś wbrew ludziom. Gdy miałem 14 czy 15 lat, to poszedłem na pierwszą w życiu imprezę z chłopakami, gdzie było też piwo. Jak wróciłem do domu z kilkoma promilami, to ojciec tak mnie złoił, taki dostałem łomot – takie były czasy – że po kolejnej imprezie wróciłem czyściutki jak łza. A kiedy wychodziłem, to przypadkowo lub nie ten pas wisiał przy wyjściu. Referendum ma być takim pasem. Władza musi go widzieć i o nim pamiętać. Każda władza. Bo kiedy przez cztery lata wiedzą, że ludzie nic im nie mogą zrobić, to hulaj dusza, piekła nie ma.

Trzeci cel zasadniczy, o którym pan wspomniał?

Obniżenie podatków. Najlepiej w sposób najprostszy – poprzez podwyższenie kwoty wolnej od podatku do 30 tys. zł do dla każdego.

Paweł Kukiz wszedłby do rządu?

Ja?!

Tak. Przewodniczący Ruchu Kukiz '15.

eprasa.pl fad24d143e



Nie lubię, jak do mnie ktoś tak mówi, ale faktycznie, przewodniczącym jestem. Na jakie stanowisko w rządzie?

Wicepremier?

Absolutnie się do tego nie nadaję.

Minister kultury?

Też nie. Do żadnego rządu nie chcę osobiście iść. Moim zadaniem jest doprowadzenie do zmian ustrojowych, moim celem jest wymuszenie obniżenia opodatkowania, a nie jakieś stanowiska.

W ogóle nie wejdzie pan do żadnego rządu?

Może jak stworzą ministerstwo polskiej piosenki? Kto wie. Ale nie planuję. Mnie nie interesują żadne stanowiska.

Koalicje dzielą także stanowiska. To znaczy, że z wami nie da się rządzić?

Nie interesowałaby mnie koalicja, bo to jest zwykle głównie dzielenie łupów, ale umowa na rząd. To jest zupełnie inna rzecz. Bo jak to wygląda w Polsce od 1989 r.? Jak wygra jakaś większa partia i potrzebuje do rządzenia mniejszego, to siadają razem i negocjują koalicję. I właściwie nie rozmawiają o wspólnej linii ekonomicznej, politycznej itd., ale o tym, kto dostanie jeden koncern państwowy, a kto inny.

Krzywdzące trochę. Niektórzy nie tylko o tym rozmawiają.

Nawet jeśli to krzywdząca opinia, to tylko trochę. Mamy przykład PSL, które od 100 lat miało hasło „Bóg, Honor, Ojczyzna", a teraz idzie pod tęczowym sztandarem.

Władysław Kosiniak-Kamysz twierdzi, że to sztandar spółdzielczości.

Właśnie, i jeszcze kpią sobie z wyborców. Ja z moich wyborców nigdy nie kpię i nie zakpię. Dorzucili te swoje ludowe sztandary do tęczowych tylko dlatego, że kilku ludzi chce mieć stanowiska w Parlamencie Europejskim. Tylko i wyłącznie. Na takie deale nie pójdę. Jeśli ktoś kiedykolwiek będzie chciał z naszym ruchem współrządzić, a my będziemy mieli posłów, którzy to umożliwią, to musi wiedzieć, że rozmawiać będziemy o trzech sprawach. Po pierwsze – referendum jako skuteczne narzędzie dla obywateli. Z tego wynikanie druga sprawa – referendum w sprawie ordynacji, JOW-ów, bo o tym też muszą zdecydować ludzie, nikogo na siłę przecież uszczęśliwiać nie będę. I trzecia – obniżenie opodatkowania. To nasze programowe minimum.

I ktokolwiek przyjdzie, to samo usłyszy?

„Ktokolwiek" to raczej nie. Przypominam, że bardzo mocno wspierałem Platformę Obywatelską 12 lat temu, kiedy wygrała wybory. Nie wspierałem jej dlatego, że mi się Tusk podobał albo nogi Schetyny, ale dlatego, że na sztandarach mieli napisane obniżenie podatków, wprowadzenie jednomandatowych okręgów wyborczych, o czym osobiście rozmawiałem ze Schetyną na Opolszczyźnie. Zbierali nawet podpisy pod tymi postulatami, ale jak potem przyznał jeden z trzech tenorów, czyli założycieli PO, pan Olechowski, to były tylko takie ćwiczenia. Nie brali tego na serio ani przez chwilę, a podpisy ostatecznie zmielili.

Czyli z PO by już pan nie rozmawiał?

Niech każdy sobie wyobrazi taką sytuację: kocha kobietę, daje jej całego siebie, haruje dla niej, a ona wielokrotnie zdradza i jeszcze pokazuje się z tymi kochankami publicznie? I co – udajemy, że nic się nie stało? Że miłość kwitnie?! No nie da się. To są dla mnie poważne sprawy, bo dla tych spraw wszedłem do polityki! Nie dla pieniędzy przecież, bo zarabiałem dużo więcej niż dzisiaj. A minęło zaledwie 12 lat i zostałem ostatnim platformiarzem głoszącym hasła, z którymi oni w 2007 r. wygrali wybory! Dalej walczę o obniżenie podatków, zmianę ordynacji wyborczej, likwidację Senatu. A oni wszystko zrobili odwrotnie. Ba, przez ostatnie trzy lata ani razu nie podnieśli, nie wsparli, żadnego z tych postulatów! Mam ich więc rozpatrywać jako potencjalnego partnera do umowy na rząd?

Ta niechęć jest zresztą chyba wzajemna. Jest w nich nienawiść za kampanię prezydencką 2015 r., kiedy pana start zdemolował plan wyborczy Komorowskiego.

I dobrze, bo przecież wiedziałem, że prezydentem raczej nie zostanę. Przede wszystkim chciałem im zamknąć drogę do dalszej władzy, bo były to rządy dla Polski szkodliwe.

I za to pana nienawidzą.

Są i w PiS tacy, którzy mnie nienawidzą. Też o tym wiem.

eprasa.pl fad24d143e

Wróćmy do tej umowy na rząd. Ona by dotyczyła kilku spraw, może kilkudziesięciu. A głosowań są setki.

Wbrew naszemu programowi w imię żadnej umowy rąk nie podniesiemy. Za żadną podwyżką podatków nie zagłosujemy.

A za 500+ na każde dziecko? A za trzynastką dla emerytów?

Gdybyśmy byli potrzebni większości rządowej, to starałbym się wytłumaczyć partii władzy, że 500+ można wprowadzić w innej formie. Jestem zwolennikiem wyrównania nierówności, które narosły przez lata, od komuny po PO. Wiem, jak jest w Polsce, wiem, że jest dużo biedy, którą nawet wolnorynkowiec taki jak ja dostrzega i chce to zmienić. Trzeba ludziom przywracać godność. Wolałbym jednak, by było to poprzez system podatkowy. Nie widzę też sprawiedliwości w tym, że 500+ dostaje także bogaty. Jakiś próg dochodowy, np. 150 tys. rocznie, warto rozważyć. Wiele rzeczy, które proponuje PiS, mnie się podoba, ale już wykonanie często nie. I tu znowu dochodzimy do systemu politycznego: dziś partia, która ma o dwóch posłów więcej niż inni, może przez cztery lata z nikim poważnie nie rozmawiać, może na nikogo się nie oglądać.

Co jest alternatywą? Ciągłe negocjowanie każdej ustawy? Anarchia?

Stwórzmy system prezydencki z ordynacją jednomandatową do Sejmu. Mamy dwa w jednym: silny ośrodek władzy i rzeczpospolitą szlachecką z silnym Sejmem.

Wróćmy do rządu. Jest pan za prywatyzacją spółek z udziałem skarbu państwa?

Nie. Uważam, że pewne strategiczne gałęzie gospodarcze powinny być w rękach państwa, tak jak to jest w Niemczech czy we Francji. Natomiast na pewno nie powinni sprawować tam funkcji ludzie z nadania partii, którzy otrzymują stanowiska za wierność, np. byli posłowie, dostając pensje rzędu nawet miliona złotych rocznie. Właśnie złożyliśmy projekt ustawy antykorupcyjnej, gdzie jest zakaz pracy dla posłów w spółkach skarbu państwa, także w okresie 12 miesięcy po wygaśnięciu ich mandatu. Wcześniej stworzyliśmy projekt ustawy antysitwowej, zgodnie z którą kandydaci na takie stanowiska musieliby ujawnić wszystkie powiązania rodzinne z politykami. Wykuwa się też projekt ustawy kompetencyjnej, który obliguje ministra czy rady wystawiające kandydatów do spółek, by poddali ich weryfikacji przez organizacje pozarządowe, posłów, związki zawodowe itp. Żeby wykluczyć nepotyzm, zminimalizować ryzyko objęcia funkcji przez osobę nienadającą się na daną funkcję.

> Stwórzmy system prezydencki z ordynacją jednomandatową do Sejmu. Mamy dwa w jednym: silny ośrodek władzy i rzeczpospolitą szlachecką z silnym Sejmem

Poprze pan Andrzeja Dudę w wyborach prezydenckich? Czy wystartuje sam?

Za wcześnie o tym mówić. Zobaczymy, co będzie miało sens polityczny. Choć sama prezydentura... Nie wiem, czy tego nie wykreślę z wywiadu, ale czasem myślę, że gdyby zdarzył się cud i jednak zostałbym prezydentem, to widząc, jaka to robota, chyba rzuciłbym się do Wisły. Masakra. Ale to bez znaczenia. Jestem tu po to, by doprowadzić do zmian ustrojowych, demokratyzować państwo. Wprowadzać instytucje, takie jak sędziowie pokoju. Partyjniactwo mnie nie interesuje.

A polityka zagraniczna? Często i mocno zabiera pan głos w sprawach polsko-ukraińskich, polsko-żydowskich.

Bo niestety nasza polityka zagraniczna wciąż prowadzona jest z pozycji kolan. My robimy Izraelowi ważną dla nich konferencję w Warszawie, a ich minister spraw zagranicznych rzuca nam w twarz, że wyssaliśmy antysemityzm z mlekiem matki. Co by się działo, gdyby ktoś w Polsce rzucił, że oni wyssali komunizm z mlekiem matki?

Awantura na pół świata. To nie szef dyplomacji Izraela Israel Katz nam to rzucił w twarz, ale imperium amerykańsko-izraelskie. Bo to tak działa.

Jak nie będziemy reagowali, to będzie tylko gorzej. Testują nas, sprawdzają, na co można sobie pozwolić. Dlatego zaproponowałem, by uznać pana Katza za persona non grata w Polsce. Ale rząd propozycję odrzucił. Za mało się postawiliśmy. I dopóki się ostro nie postawimy, to będzie eskalowało. Przekonanie, że można tu przyjechać i napluć nam w twarz, będzie narastało. Jeśli będę miał wpływ na rząd, będę to mocno stawiał.

Gazeta Michnika rzuciła w pana kamieniem antysemityzmu, że walczy pan tym narzędziem o głosy.

Nie czytam tej gazety, szkoda czasu na te konfabulacje. Ale ponieważ ten zarzut poszedł w świat, to jest już złożona sprawa do prokuratury przeciw dziennikarzowi Czuchnowskiemu, który nazwał mnie „antysemitą" i „świnią". To określenia nieprawdziwe i obraźliwe dla mnie. Dzielę ludzi na dobrych i złych, a nie wedle narodowości. Natomiast to nie oznacza, iż nie mogę mówić o przynależności narodowej sprawców poszczególnej zbrodni.

Ów Czuchnowski dopytywał też pana o alkohol.

Jak widzą panowie, jest już wieczór, a mnie udało się powstrzymać od alkoholu [śmiech].

„Wyborcza" dowodzi, że pytać o to musi, bo to może zagrażać bezpieczeństwu państwa.

Jak tacy troskliwi, to mogli przepytywać w tych sprawach prezy-

eprasa.pl fad24d143e

denta Kwaśniewskiego. A nie pytali, co chyba wszystko mówi o intencjach.

A kto mógłby być premierem w układance z Kukiz'15?

Za wcześnie o tym mówić. Mamy jasny cel – dostać się do parlamentu w takiej sile, by być potrzebnymi do rządzenia – i na tym się skupiamy.

A co z Unią Europejską? Być? Wyjść?

Oczywiście być i walczyć o zmiany wewnątrz. Prowadzimy rozmowy z Ruchem Pięciu Gwiazd, mamy wspólny manifest europejski. W największym skrócie idea polega na tym, żeby w przypadku dostania się do Parlamentu Europejskiego stworzyć nową frakcję, która dążyłaby do równouprawnienia państw, do powrotu do idei Europy ojczyzn. A to najlepiej zrobić przez wzmocnienie roli Parlamentu Europejskiego, który powinien być władczy w stosunku do Komisji Europejskiej, a nie, jak dzisiaj, jej sługą. Obecna Komisja to jakiś związek współczesnych arystokratów, którzy dogadali się i rządzą narodami bez pytania ich o zgodę na cokolwiek. Takie rozwiązanie zakończyłoby ten nieznośny duopol Francja–Niemcy.

Kto mógłby jeszcze wejść do tej frakcji?

Oprócz nas i Włochów zapewne także partie z Francji, Finlandii, Chorwacji, Grecji, Belgii czy Estonii. Oczywiście wszystko zależy od tego, kto się dostanie do PE.

Hasło polexitu?

Absurd! Nikt poważny w Polsce żadnego polexitu nie chce.

Jak widzi pan relacje polsko-ukraińskie? Obawia się pan Ukrainy?

Nie obawiam się, ale płaczę nad Ukrainą. Jest bliska memu sercu, spędziłem na Majdanie wiele dni, gdy walczyli o wolność. Ale to, co dzisiaj wyczyniają – robienie bohaterów z oprawców Polaków i Żydów, stawianie bandytów na pomnikach – z tym się nie mogę zgodzić.

Jak pan widzi tę debatę wokół LGBT? Przywileje nadane tej grupie przez prezydenta stolicy Rafała Trzaskowskiego?

W wielkim skrócie: sytuacja, kiedy rodzice ciężko chorych dzieci w Centrum Zdrowia Dziecka muszą koczować w samochodach, jeśli nie stać ich na hotel, a jednocześnie ogłaszanie budowy darmowych hosteli dla osób LGBT, jest dla mnie skandaliczna. Nie chcę w ogóle o tym rozmawiać, ileż można to mędlić? Czy to najważniejsze sprawy na świecie? Współpracowałem kiedyś ze Stowarzyszeniem Lambda skupiającym osoby homoseksualne, mam kolegów o orientacji homoseksualnej, nic nie mam przeciwko nim. Ale oni nie oczekują, żebym ich podziwiał, afirmował, uznawał za lepszych. To, że to poszło w tym kierunku, to szaleństwo.

W jednym z produktów Agory wyczytałem wyznanie: „Żałuję, że nie jestem gejem jak mój syn".

Możliwe, skoro dostają takie prezenty, to może to się staje jakąś ścieżką kariery? Dla mnie to jest niezrozumiałe, jakaś autosegregacja się dokonuje, jakieś getto sami sobie tworzą.

Ma być to getto rządzące.

Nieważne, żadne takie wyodrębnienia nigdy się dla nikogo dobrze nie kończą. Prędzej czy później wybuchają.

Co by pan doradził rządowi w sprawie protestu nauczycieli?

Trudno doradzić, bo rząd tyle naobiecywał, że nie dziwię się, iż kolejne grupy chcą coś wyrwać dla siebie.

Za dużo obiecano?

Tak uważam. Program 500+ wdrożony trzy lata temu to już było bardzo dużo. Zamiast kolejnych transferów socjalnych warto by właśnie pomóc budżetówce, aparatowi urzędniczemu, ale przez podwyżki stopniowe, kilkuprocentowe co roku. Bez wątpienia obóz rządzący ma duży problem. Doprowadzono do sytuacji, w której nawet moja żona, dobrze życząca reformom edukacji, pójdzie na ten strajk. I to nie ze względu na ZNP czy Broniarza, ale jej ocenę tego, co się dzieje w oświacie. Tu jest jeszcze inny problem: za duży jest udział samorządu w finansowaniu szkół, to buduje ogromne różnice w płacach, bo dodatek za wychowawstwo dla nauczycieli wynosi w niektórych miejscach kilkadziesiąt złotych, a w innych kilkaset.

Jak radzi sobie prezydent Andrzej Duda?

Jak można sobie radzić w systemie, w którym prezydent ma rolę tak nijaką? To jest właśnie dobry przykład, jak bardzo chory mamy system polityczny. Od razu, niezależnie jakie osoby pełnią te funkcje, mamy spór między prezydentem a szefem MON. I tej ekipie też się to zdarzyło. To wciąż jest prowizorka, w sensie ustrojowym, kontynuacja tego, co było w PRL. Kiedyś PZPR zawłaszczyła państwo na pół wieku, a teraz kolejne partie robią to na cztery lata. I nic im obywatele w międzyczasie zrobić nie mogą.

Jakaś sterowność państwa musi jednak być! Jak każdy będzie miał prawo weta, nigdzie nie ruszymy.

Nie mówię o prawie weta, ale o tym bałaganie, który relacje prezydent–MON dobrze ilustruje. Szkoda, że PiS porzuciło projekt zmiany konstytucji i wprowadzenia systemu prezydenckiego.

Żałuje pan, że odszedł z rządu minister Antoni Macierewicz?

Widocznie był za słaby, skoro dał się odsunąć.

Grzegorz Schetyna może poprowadzić opozycję do zwycięstwa?

Schetyna to jest świetny konstruktor partyjnych gier, doskonały w spiskach, knuciu i tym podobnych rzeczach. Ale nie ma tego czegoś, co jest potrzebne liderowi politycznemu, nie ma charyzmy. Bywają też tacy muzycy – świetni technicznie, którzy nigdy nie będą wirtuozami.

Jednak Koalicję Europejską spiął.

Zobaczymy, czy to przetrwa. Jedno mnie pociesza – Schetyna się tak naharował przy tym połykaniu Nowoczesnej, PSL, SLD i innych, że on w życiu tego nie odda Tuskowi. Zwłaszcza po tym, jak ten go przez lata przeczołgiwał, upokarzał.

eprasa.pl fad24d143e

Czyli Tusk nie wróci do krajowej polityki?
Zobaczymy. Wydaje się, że kombinuje coś wokół samorządów.

Ruch Kukiz'15 ma poczucie, że walczy z Biedroniem o rolę trzeciej siły politycznej?
Gdzieżbym miał śmiałość walczyć z LGBT?

Pytanie jest poważne: kto weźmie tych, którzy nie mieszczą się w podziale PiS-PO?
Panowie, poczekajmy jeszcze z ocenami Biedronia. Wcale nie jestem pewien, czy jeśli on się dostanie do Parlamentu Europejskiego, a startuje, zrezygnuje z tej przygody. Znam ten typ ludzi, oni lubią te kolacyjki, podróże, luksusy. Zwłaszcza jeśli będzie tam mógł być ze swoim panem Śmiszkiem. Na marginesie: wyobrażacie sobie, co by się działo, gdyby ktoś ze mną rodzinnie związany kandydował z pierwszego miejsca na listach mojego ruchu? Albo Schetyna z małżonką? Zjedliby nas!

Jest jakiś plan Kukiza na kampanię? Majową i jesienną?
Pewnie, że jest. Ale takie plany się wykonuje, a nie o nich mówi.

Może częścią tego planu jest uzyskanie wpływu na TVP?
To, co o tym piszą media, to bzdury. Jest faktem, że pan Maciej Stanecki był kiedyś przez nas rekomendowany, ale szybko się nasze drogi rozeszły. Potem już nikt z mojej rekomendacji do zarządu TVP nie wszedł.

Także pan Pałka?
Także pan Pałka.

Podobno o tym rozmawia pan z prezesem Jarosławem Kaczyńskim?
Nie. Trudno, bym dążąc do realizacji swojego programu, np. ustawy antykorupcyjnej, sędziów pokoju, nie próbował przekonywać do tych pomysłów także szefa partii rządzącej. Ale to wszystko. To, że liderzy dwóch ugrupowań parlamentarnych z sobą rozmawiają na temat projektów ustaw, to rzecz normalna w każdej demokracji. Tylko u nas, przez wojnę polsko-polską, budzi to niezdrowe emocje.



> Minęło zaledwie 12 lat i zostałem ostatnim platformiarzem głoszącym hasła, z którymi oni w 2007 r. wygrali wybory!

Podsumowując ten wątek: da się rządzić z Kukizem?
Odpowiem tak: da się zawrzeć z Kukizem umowę na zmianę Polskę z uwzględnieniem naszych postulatów.

Subwencji dla partii politycznych Ruch Kukiz'15 nie weźmie?
Nie, honor ma się jeden. Podkreślam – istniejemy dopiero trzy lata i wszystko jeszcze przed nami. Taki np. Ruch Pięciu Gwiazd, który w tej chwili ma największą liczbę parlamentarzystów we Włoszech, na swoją pozycję pracował przez 12 lat. Ja też się absolutnie nie poddam – nawet gdybym w najbliższych wyborach nie znalazł się w Sejmie, dalej będę robił swoje, jeździł po Polsce, walczył o zmianę ordynacji wyborczej, przywrócenie Polakom instytucji referendum i niskie podatki.

Nie wraca pan do muzyki?
Jestem w muzyce cały czas, cztery miesiące temu z zespołem wydałem płytę „Wyspa Zielona" ze składem Pervedos.

Mówimy o powrocie na całego.
To teza, że jestem tu dla kariery i jak się nie uda, to wracam na starą ścieżkę. Nie. Wszedłem do polityki, by zdemokratyzować państwo, uczynić nasze życie normalniejszym. Bo wiecie, panowie, jak to dzisiaj działa? Dobrze pokazuje to epizod z mojego spotkania z mieszkańcami Olkusza. Przyszła tam także hałaśliwa grupa kodowców. Na dzień dobry zmieszali mnie z błotem, usłyszałem, że jestem szmatą, faszystą, gnojem... Typowa prowokacja. Przetrzymałem to wszystko, poprosiłem, byśmy się nie obrzucali inwektywami. Mówię, że domyślam się po znaczkach, że są z Komitetu Obrony Demokracji. I jeden, największy i najważniejszy w grupie, mówi: „Tak, jestem z KOD, będę bronił demokracji do końca życia!". Odpowiadam mu: „Dobrze, niech mi pan wskaże jeden instrument, który po wyborach może być użyty przez obywateli i ma wpływ na władzę – może ją zatrzymać, może ją do czegoś zmusić? Jeden". On mi odpowiada: „Referendum". No to mu powiedziałem to, co wam przed chwilą, że to nie działa, że to jest sondaż co najwyżej, z którym władza może zrobić to, co zechce.

Dał się przekonać?
Poczekajcie panowie. Pytam dalej: „Czy to jest demokracja? Za to chce pan walczyć do upadłego? Czy godzimy się na to, by proces demokratyczny trwał raz na cztery lata przez kilkanaście godzin, a potem partia mogła robić z narodem, co chce?". Słuchał, słuchał, a na końcu rzucił: „Nieważne, czego bronię, ja po prostu PiS nienawidzę!". No tak, może od tego trzeba było zacząć. Jestem w polityce po to, by z takim podejściem, nakręcaniem ludzi przeciwko sobie skończyć.

eprasa.pl fad24d143e

Huawei mówi: Sprawdzajcie nas śmiało!

Osoby zagrażające bezpieczeństwu zaatakują tego, na kogo nie patrzą rządy

Z Johnem Suffolkiem, starszym wiceprezesem Huawei, odpowiedzialnym za cyberbezpieczeństwo i prywatność, rozmawia Maksymilian Wysocki



37/0218/F

Co należy robić, by cyberprzestrzeń była bezpieczna? Jaka jest w tym rola rządów?

John Suffolk: Rozpocząłbym od rzeczy podstawowej – cyberhigieny, czyli m.in. niebagatelizowanie uaktualnień oprogramowania. Warto korzystać z najlepszych praktyk opracowanych przez brytyjski SANS czy australijskie ACSC. Rządy mają w tej dziedzinie ważne zadanie. Państwa powinny dojść do porozumienia w sprawie standardów bezpieczeństwa i wymagać ich od dostawców infrastruktury. Potrzebujemy też międzynarodowych programów certyfikacji.

Jak wygląda podejście do cyberbezpieczeństwa w Wielkiej Brytanii na tle Europy? Czy brexit będzie miał na nie wpływ?

Wielka Brytania ma podobne rozwiązania jak inne kraje UE. Posiadamy zestaw kontroli cyberbezpieczeństwa, ale nie jest on wymuszany na zewnętrznych dostawcach. Na Wyspach nie używamy jednego standardu certyfikacji i mimo że jeszcze jesteśmy w Unii, nie korzystamy ze wspólnych kryteriów bezpieczeństwa. UE, dzięki Europejskiej Agencji ds. Bezpieczeństwa Sieci i Informacji (ENISA), jest liderem, jeżeli chodzi o wypracowanie najlepszych praktyk bezpieczeństwa, tworząc ramy weryfikacji i certyfikacji dla całej branży. Mam nadzieję, że Wielka Brytania będzie się na nich wzorowała, nawet po brexicie.

Jak ocenia pan podejście Huawei do bezpieczeństwa jako osoba zajmująca się wcześniej bezpieczeństwem w Wielkiej Brytanii? Co odpowie pan na zarzuty, które padają pod adresem spółki?

Najlepiej pokazać bezpieczeństwo naszych produktów przez otwartość i przejrzystość. Bardzo cieszy mnie, że zachęcamy rządy, ekspertów bezpieczeństwa, klientów i media do oceny naszych działań, sprawdzenia deklaracji i bezpieczeństwa produktów. Wierzymy w koncepcję „wielu oczu i wielu rąk". Im więcej osób testuje nasze produkty, tym więcej zagadnień możemy rozwiązać i ulepszyć. Produkty stają się w ten sposób bezpieczniejsze.

Jak wygląda sprawa z chińskim prawem, czy istnieje jakiś wymóg współpracy z rządem?

Monitorujemy stan prawny w wielu krajach. Widzimy, że powstają przepisy mające pogodzić bezpieczeństwo narodowe z prywatnością (np. Cloud Act w USA czy tzw. snoopers charter w Wielkiej Brytanii). Od czasów Snowdena firmy stosują szyfrowanie, które ma zapewnić im poufność przed legalnym lub nielegalnym wpływem rządów. Rządy natomiast próbują zdobyć te dane, wprowadzając nowe regulacje.

Chińskie prawo ma mały wpływ na ich działalność, w przeciwieństwie do innych państw. Podlegają mu wszystkie firmy działające na terenie Chin – w tym IBM, Microsoft czy Apple. Przedstawiciele rządu chińskiego i niezależni prawnicy z innych krajów potwierdzili jasno, że nie ma żadnego wymogu prawnego, by Huawei czy inna firma przekazywały władzom prywatne dane użytkowników.

Jak rządy powinny traktować niezależne podmioty technologiczne? Jakie standardy powinny zostać wprowadzone?

Jeżeli państwa chcą poważnie podejść do kwestii bezpieczeństwa, powinny stworzyć standardy i certyfikacje oraz wymagać od wszystkich dostawców. Nie można się skupiać nad regulacją jednego podmiotu – osoby zagrażające bezpieczeństwu zaatakują tego, na kogo nie patrzą rządy. UE powinna być światowym centrum postępu, jeżeli chodzi o powszechne wdrożenie standardów dla wszystkich firm, dostawców i państwa. W ten sposób zwiększymy bezpieczeństwo, nie zaś poprzez fragmentację zasad i skupienie się na jednym dostawcy.

John Suffolk w Huawei nadzoruje implementację systemów cyberbezpieczeństwa Huawei, w tym monitoring i ulepszenia systemów bezpieczeństwa informacji. Jest również odpowiedzialny za edukację i komunikację związane z kwestiami cyberbezpieczeństwa w sektorze rządowym i u operatorów telekomunikacyjnych. Ma ponad 30 lat doświadczenia w obszarze technologii i telekomunikacji. Związany z Huawei od 2011 r. Przedtem przez ponad siedem lat pracował dla rządu Wielkiej Brytanii jako główny przedstawiciel rządu ds. transformacji cyfrowej i implementacji rządowej strategii transformacji cyfrowej.

eprasa.pl fad24d143e

Dojenie Agencji Wywiadu

Defraudacje pieniędzy w Agencji Wywiadu i dziwna sieć powiązań między szefem służby, popularnymi ekspertami ds. bezpieczeństwa i mediami. W tle – pytania o werbowanie dziennikarzy przez polski wywiad i zagadkowe dymisje na szczytach służb specjalnych w 2016 r. Ujawniamy szczegóły sprawy, nad którą właśnie głowi się prokuratura



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

Po wygranych przez PiS wyborach jesienią 2015 r. szefem Agencji Wywiadu zostaje płk Grzegorz Małecki. Jedną z pierwszych jego decyzji było mianowanie na dyrektorskie stanowisko (pion kadrowo-finansowy) Agnieszki Okrzei-Wolny (do niej jeszcze wrócimy). To żona Sławomira W., który w poniższej historii odgrywa kluczową rolę. To były funkcjonariusz AW, który zanim trafił do Agencji, przeszedł m.in. przez służbę kandydacką w ZOMO (lata 1988–1989), potem pracował w policji, Urzędzie Ochrony Państwa oraz w AW (do 2013 r.). W orbitę Agencji Wywiadu ponownie ściąga go – tym razem w charakterze konsultanta (miał otrzymać niejawny etat) – Małecki.

Z dokumentów, do których dotarliśmy, wynika, że w pierwszej połowie 2016 r. Sławomir W. dostał od AW zlecenie zorganizowania i prowadzenia „instytucji przykrycia" na potrzeby działania Agencji. Miał zarejestrować spółkę pod nazwą „Polska Agencja Informacyjna Interpress – PAII". Pojawił się problem, bowiem spółka o takiej nazwie już istniała, więc W. zmodyfikował zadanie. Zdecydował, że będzie dążył do przejęcia podmiotu, który miał działać w formule agencji informacyjnej lub think tanku. Czy chodziło o zaangażowanie do współpracy z Agencją Wywiadu dziennikarzy? Zabrania tego prawo, więc wszystko musiało się odbyć potajemnie, a PAII miała być tzw. legendowanym podmiotem. To wtedy zaczęło się wyprowadzanie pieniędzy z funduszu operacyjnego AW. Płk Małecki zaakceptował 9 maja 2016 r. raport otwarcia, w którym określono, że na start projektu potrzeba 61,5 tys. zł, a każdy kolejny miesiąc będzie się wiązał z kosztami stałymi w wysokości 86 tys. zł. W ciągu roku legendowany podmiot miał się stać samowystarczalny finansowo.

Udziałowcami istniejącej Polskiej Agencji Informacyjnej – Interpress sp. z o.o. byli wówczas Maciej Gierej i Mariusz Gierej, obecnie ceniony komentator m.in. Telewizji Republika, przypisywany do redakcji portalu mPolska24.pl. Jako osoba, która miała sobie także rościć prawa do znaku towarowego PAII, zidentyfikowano dr. Wojciecha Szewkę, ostatnio popularnego eksperta ds. bezpieczeństwa i Bliskiego Wschodu (Szewko był współwłaścicielem i prezesem PAII w latach 2008–2010, a także od września 2016 r. do ogłoszenia likwidacji spółki w 2018 r.). Te osoby jeszcze się w naszej historii pojawią, gdy pójdziemy tropem pieniędzy wyprowadzanych z Agencji Wywiadu. Najpierw jednak należy stwierdzić, że nie ma właściwie żadnego śladu, by zaproponowana przez Sławomira W. operacja przejęcia spółki się powiodła. Mówiąc wprost, wydano z budżetu operacyjnego kilkaset tysięcy złotych na zbudowanie legendowanego podmiotu, który nigdy nie powstał. A pieniądze poszły...

KAŻDY SOBIE ZAROBI

Z analizy, którą poznaliśmy, wynika, że w tej sprawie „rozliczono" w AW wydatki na ponad 323 tys. zł. Kluczowe jest ustalenie, że właściwie żadne z przedstawionych przez W. faktur ani rachunków nie powinny być zaakceptowane. Dlaczego? Choćby dlatego, że nie dokumentowały wydatków poniesionych

eprasa.pl fad24d143e



przez przedsiębiorczego współpracownika AW, tylko przez PAI Interpress sp. z o.o., a jak już wspominaliśmy, spółka nie była ani własnością, ani nie była w skuteczny sposób kontrolowana przez AW, ani osobiście przez W. Sprawa wygląda więc tak, że Agencja Wywiadu zafundowała jakiejś firmie solidne wyposażenie biura i przez dłuższy czas płaciła wynagrodzenia pracownikom. Kompletny absurd. Na „wynagrodzenia inne z umów cywilnoprawnych" wydano ponad 67 tys. zł, na „wynagrodzenie redaktorów i sekretarza redakcji" (tę funkcję pełnił Grzegorz Jakubowski) poszło ponad 43 tys. zł, na sprzęt komputerowy blisko 40 tys., czynsz za biuro – 34,5 tys. zł, meble ponad 17,5 tys. zł. Na liście wydatków ciekawi szczególnie jedna z drobniejszych kwot – 4 735 zł wydanych na udział Sławomira W. i Grzegorza Jakubowskiego w Forum Ekonomicznym w Krynicy. Nie wiadomo, w jaki sposób miałaby na tym skorzystać Agencja Wywiadu.

Z daleka czuć tutaj fikcją i pozorowanymi działaniami, dlatego warto uważnie spojrzeć także na listę tzw. wydatków nierzeczowych poniesionych podobno przez PAII, które zrefundowała później Agencja. Okazuje się, że głównym beneficjentem pieniędzy wyprowadzanych z funduszu operacyjnego AW był Wojciech Szewko, na pierwszym miejscu zestawienia (73,8 tys. zł) znajdziemy jego spółkę cywilną Nemo Consulting. W sprawie legendowanego podmiotu rozliczono trzy faktury. Za „przygotowanie struktury, strategii i systemu zarządzania firmy" – dwa razy po 12,3 tys. zł i za „przygotowanie koncepcji przedsiębiorstwa" – kolejne 12,3 tys. zł. Co ciekawe, za podobne usługi Agencja zapłaciła już wcześniej Sławomirowi W., a jeszcze ciekawsze jest to, że nie ma po tej pracy śladu. Mimo wielokrotnych pytań i ponagleń W. nigdy nie przedstawił AW biznesplanu, ani autorstwa własnego, ani Szewki. Agencja Wywiadu pokrywała jeszcze wynagrodzenie tego ostatniego, który w międzyczasie został prezesem zarządu spółki PAII. Podpisano z nim (podpisał Mariusz Gierej jako „pełnomocnik zarządu") kontrakt menedżerski (obok działalności spółki Nemo Consulting) z wynagrodzeniem miesięcznym 10 tys. plus VAT, co również daje 12,3 tys. zł. Doktor miał widocznie taką stawkę, bo jest jeszcze jedna faktura, także na 12,3 tys., ale nie wiadomo za co, bo nie jest opisana.

Byłoby dziwne, gdyby przy tak dobrze prosperującym biznesie niczego nie uszczknął dla siebie jego mózg, czyli Sławomir W. W dokumentach znaleźliśmy potwierdzenie, że Agencja Wywiadu płaciła, jak podaliśmy powyżej, za wynajem biura w Warszawie dla PAII w apartamentowcu przy ul. Pańskiej 96. To nowy budynek, w centrum miasta. Oficjalnie lokal wynajmowano (płacąc 34,5 tys. zł za pięć miesięcy) od Fundacji Międzynarodowej Współpracy i Rozwoju, której prezesem jest Wojciech Szewko (od 2018 r. i wcześniej

eprasa.pl fad24d143e

– w latach 2015–2017). Umowę ze strony PAII podpisał Mariusz Gierej, a ze strony fundacji Daniel Nowakowski – występujący tutaj jako „prezes", choć według zapisów w KRS został nim dopiero w połowie 2017 r. (na kilka miesięcy). We wspomnianych zestawieniach znajdujemy potwierdzenie wypłaty blisko 22,5 tys. zł dla firmy Nowakowskiego Dan sp. z o.o. Skoro pojawia się w tej historii już kilka razy Mariusz Gierej, to i jego szukamy w zestawieniu i... jest! Do firmy M.N.F. Mariusz Gierej poszło 14 tys. 760 zł, zapłaciła de facto Agencja Wywiadu. Dla pełnego obrazu zawieranych wzajemnie umów dodajmy, że gdy fundacja Szewki zawierała umowę z PAII Giereja, ten ostatni... zasiadał w radzie fundacji MWiR.

Ale wróćmy do wynajmowanego lokalu, który, jak się okazuje nie był własnością fundacji, lecz... Sławomira W. i jego małżonki Agnieszki Okrzei-Wolny, tak wynika z wpisów do księgi wieczystej i składanych w AW oświadczeniach majątkowych (składał je W. jako funkcjonariusz agencji do 2013 r.).

UROCZY CZŁOWIEK

Zapytaliśmy Wojciecha Szewkę, skąd PAII miała pieniądze na swoje funkcjonowanie w 2016 r. W odpowiedzi usłyszeliśmy: – Pan Sławomir W. opowiadał – nie tylko mi – bo to nie ja podpisywałem z nim umowę, ale Mariusz Gierej – że ma jakiegoś inwestora. Miała to być grupa biznesmenów – katolickich, co wielokrotnie podkreślał, zwłaszcza gdy nie podobały mu się różne nasze propozycje kadrowe, jeśli chodzi o plany zatrudniania dziennikarzy. Kiedyś mówił nawet o jakimś asystencie biskupa. Nigdy nie spotkał nas z tymi swoimi partnerami, mimo że wielokrotnie o to prosiliśmy. Do dziś nie mam pojęcia, skąd on miał te pieniądze. Rozstaliśmy się w dość dziwny sposób, a ja zostałem ze wszystkim sam – z dziennikarzami, którym trzeba było zapłacić, czynszem do uregulowania etc.

Dopytujemy dr. Szewkę, czy nie zapaliła mu się czerwona lampka, gdy w tle biznesu pojawili się tajemniczy inwestorzy. – To nie było dla nas żadne ryzyko, bo pan W. podpisał z nami umowę, kupował od nas treści i za nie płacił. Każdą umowę z tego punktu widzenia można by więc uznawać za podejrzaną. Gdy ktoś mnie wynajmuje czy zatrudnia uczelnia, też nie wiem, skąd mają pieniądze. Moja zdolność zweryfikowania tego jest żadna. Wyobraźmy sobie, że idę do kontrahenta i mówię: „Jeśli pan chce mi zapłacić, to ja chcę wiedzieć, skąd pan ma pieniądze" – broni się Szewko.

Jak dodaje, W. wydawał się wiarygodnym człowiekiem: – Pracował w MSZ – później z przecieków prasowych dowiedzieliśmy się, że nie tylko – ale był urzędnikiem państwowym. Nie było nic podejrzanego w jego działalności. Sprawdziliśmy w KRS, że działał w jakiejś firmie konsultingowej z bardzo zacnymi ludźmi – byłym szefem Agencji Wywiadu panem Nowkiem i ówczesnym, panem Małeckim. A do tego sprawiał niezwykle urocze wrażenie. Z całą pewnością miał dużą wiedzę o sprawach biznesowych i międzynarodowych.

> Z budżetu operacyjnego Agencji Wywiadu wydano ponad 323 tys. zł na zbudowanie legendowanego podmiotu, który nigdy nie powstał. A pieniądze poszły...

I to co najmniej w drugim pokoleniu. Ojciec Sławomira, Marian Wolny, przeszedł imponującą ścieżkę w służbach PRL. Jak wynika z bogatej dokumentacji Instytutu Pamięci Narodowej, 15 września 1953 r. rozpoczął karierę na stanowisku referenta w departamencie VII Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego w Warszawie. W kolejnych latach szkolił się i piął w hierarchii – w kwietniu 1956 r. zostaje oficerem operacyjnym wydziału I Komitetu ds. Bezpieczeństwa Publicznego (KdsBP). To naczelny organ administracji PRL pełniący funkcję służby specjalnej (obejmującej wywiad, kontrwywiad i policję polityczną, a w latach 1955–1956 również kontrwywiad wojskowy).

W latach 1968 i 1973 ma odnotowany etat niejawny w MSW. Na stronie BIP IPN znajdujemy zapis: „W okresie od 02.08.1968 do 7.06.1970 pracował w rezydenturze polskiego wywiadu we Francji, oficjalnie był konsulem w Konsulacie Generalnym PRL w Paryżu. Od 1.09.1973 do 15.07.1978 oficer operacyjny rezydentury w Szwajcarii, oficjalnie mianowany przez instytucje przykrycia I sekretarzem Ambasady PRL w Bernie". W latach 1978 i 1980 przechodzi „cykl nauk operacyjnych" w Ośrodku Kształcenia Kadr Wywiadowczych MSW w Starych Kiejkutach. Po co, to wyjaśnia kolejny zapisek z akt: „Od 15.08.1984 do 2.10.1987 oficer operacyjny rezydentury w Kolonii, oficjalnie I sekretarz, a następnie radca Ambasady PRL w Kolonii".

W 1984 r. Marian Wolny zostaje, już w stopniu pułkownika, zastępcą naczelnika Departamentu I MSW w Warszawie, odchodzi ze służby w lipcu 1988 r.

(NIE)SKOŃCZONA ZNAJOMOŚĆ

Wiele pytań w tej sprawie zadaliśmy rzecznikowi ministra koordynatora specsłużb. Otrzymaliśmy lapidarną odpowiedź. „Potwierdzam, że prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie podejrzenia defraudacji środków z funduszu operacyjnego Agencji Wywiadu oraz prowadzenia nielegalnych działań operacyjnych z udziałem dziennikarzy. Zawiadomienie w tej sprawie złożył obecny szef AW w porozumieniu z Ministrem Koordynatorem Służb Specjalnych. Jednocześnie informuję, że osoby podejrzewane o próbę stworzenia stałego mechanizmu wyprowadzania pieniędzy z funduszu operacyjnego AW zostały ze służby usunięte" – napisał Stanisław Żaryn.

O komentarz do sprawy poprosiliśmy również byłego szefa Agencji Wywiadu. – Pompowanych jest mnóstwo historii, które mają mnie dyskredytować. Uderzają w autorytet państwa i Agencji Wywiadu. Rzucane są oskarżenia, do których nie mogę się odnieść, bo nie

eprasa.pl fad24d143e

mam prawa komentować żadnej działalności Agencji. Nie znam sprawy, o którą pytacie, ale nawet gdybym coś o niej wiedział, to nie mogę nic oficjalnie powiedzieć – mówi nam płk Grzegorz Małecki.

Nie ma wątpliwości, że pomiędzy Małeckim a jego byłym zastępcą Piotrem Krawczykiem (dziś szefem AW, który złożył zawiadomienie o przestępstwie defraudacji pieniędzy) był konflikt. Szeroko pisały o nim media. Spekulowano nawet, że powodem odejścia Małeckiego ze służby mogła być historia związana z wypadkiem samochodowym Krawczyka z 2016 r., który miał obnażyć nieprawidłowe przewożenie niejawnych dokumentów. Tych doniesień nigdy nie potwierdzono. Natomiast sam Małecki opowiadał publicznie o uniemożliwieniu mu reformowania służby. „Większość gruntownych zmian, które udało mi się wprowadzić w AW, została po moim odejściu odwrócona i przywrócono stan sprzed rozpoczęcia mojej misji" – mówił przed rokiem w Onecie. W tym samym wywiadzie zarzekał się: „Znałem go, oczywiście. Nie był jednak nigdy moim wspólnikiem. Współpracowałem z nim przy różnych projektach w okresie poprzedzającym objęcie urzędu. Ale potem poszliśmy swoimi drogami".

Czy można w to uwierzyć w kontekście faktów, o których pisaliśmy na wstępie, a także losów spółki Binase? To nieistniejąca już wywiadownia gospodarcza. Wśród jej udziałowców i władz znajdujemy szefów kilku służb specjalnych – Zbigniewa Nowka (kiedyś UOP i AW), Andrzeja Pawlikowskiego (BOR) i właśnie Małeckiego. Ten ostatni był jej prezesem od 2013 r. do momentu objęcia sterów w AW. Na stanowisku prezesa Binase zastąpił go... Sławomir W.

Małecki zarzeka się w rozmowie z „Sieci": – Z W. nie mam żadnego kontaktu od czasu, gdy zostałem szefem Agencji Wywiadu.

OD AFERY DO AFERY

Z naszej wiedzy wynika, że sprawa defraudacji najprawdopodobniej nigdy nie wyszłaby na jaw, a Sławomir W. mógłby spać spokojnie, gdyby nie wybuch w lipcu 2016 r. afery związanej z firmą Sensus Group. Uzyskała ona bez przetargu zlecenia od PKP na usługi szkoleniowe związane z ochroną dworców w czasie Światowych Dni Młodzieży. Dopiero wtedy w AW zażądano od W. dowodów poniesionych kosztów na operację legendowanego podmiotu. Następujące po sobie numery seryjne dokumentów świadczą o tym, że papiery mogły być naprędce dorabiane, gdy okazało się, że ktoś może się do tego przyczepić.

> Rzecznik ministra koordynatora specsłużb: „Potwierdzam, że prokuratura prowadzi śledztwo w sprawie podejrzenia defraudacji środków z funduszu operacyjnego Agencji Wywiadu oraz prowadzenia nielegalnych działań operacyjnych z udziałem dziennikarzy"

W aferze PKP akt oskarżenia skierowano przeciwko jedenastu osobom, w tym członkom zarządu spółki transportowej, Sławomirowi W., właścicielowi i prezesowi Sensus Group, oraz współpracującym z nim osobom. Grupa opracowywała procedury, przeprowadzała rekonesanse na dworcach i organizowała szkolenia, które miały zwiększyć bezpieczeństwo obiektów kolejowych podczas Światowych Dni Młodzieży. Dochodzenie wykazało, że z PKP do firm zewnętrznych wyprowadzono na ten cel blisko 2,5 mln zł. Po pierwsze – odbyło się to z pominięciem ustawy Prawo zamówień publicznych, po drugie – pominięto to, że takie działania należało wykonać, angażując do tego m.in. Służbę Ochrony Kolei oraz już zakontraktowane do ochrony dworców firmy, a także wspierając się doświadczeniem policji. Pieniądze popłynęły jednak do spółki, która w tej branży miała zerowe doświadczenie. Być może dlatego, by zachować pozory profesjonalizmu, Sensus angażował ekspertów. I tutaj znów pojawia nam się nazwisko Wojciecha Szewki.

– Prowadziłem takie szkolenia, zresztą nie tylko tutaj, jako podwykonawca tego projektu, również dla wielu innych instytucji w tym czasie – miałem kontrakty np. dla miasta Częstochowa, dla urzędów wojewódzkich. To był pakiet kilkunastu szkoleń, w których brali udział administratorzy obiektu, służby im podległe, czasami Służba Ochrony Kolei i strażnicy agencji ochrony. Za każdym razem był to pewien zestaw osób odpowiedzialnych za chronienie obiektu – mówi nam Szewko.

Osoby, o których piszemy, związane są ze specyficznym środowiskiem dziennikarskim. Wspomniany wyżej Grzegorz Jakubowski, sekretarz redakcji PAII, pracuje również w periodyku „Służby Specjalne". Wchodząc na jego stronę internetową, można odnieść wrażenie, że mają tu obsesję na punkcie Mariusza Kamińskiego i jego najbliższych współpracowników.

Z tym pismem współpracował też m.in. Wojciech Szewko. Jego redaktorem naczelnym jest dziś Jan Piński, a jego zastępcą Tomasz Szwejgiert. Ten ostatni przesiedział rok w areszcie po usłyszeniu zarzutów uczestnictwa w tzw. gangu przebierańców. To rozbita w ubiegłym roku grupa przestępcza, której członkowie podszywali się pod funkcjonariuszy specsłużb i powołując się na wpływy w administracji, obiecywali roztaczanie parasola ochronnego nad biznesmenami. Jednym z zatrzymanych był Andrzej K., były minister sprawiedliwości. „Gazeta Polska Codziennie" twierdziła, że tytuły, w których publikuje środowisko Jana Pińskiego, czyli „Gazeta Finansowa" czy „Służby Specjalne", były powiązane z gangiem przebierańców.

eprasa.pl fad24d143e



Fot. Andrzej Wiktor

Start w wyborach do Parlamentu Europejskiego jest dla Radosława Sikorskiego ostatnią szansą odbudowania dawnej pozycji. Czy ma szanse wrócić do wielkiej polityki?

Desperat z Chobielina

STANISŁAW JANECKI

Ci, którzy spotykają Radosława Sikorskiego (na różnych imprezach, najczęściej o polityce zagranicznej), mają nieodparte wrażenie, że obcują z dekadentem. Niektórym kojarzy się wręcz z kloszardem, który kiedyś należał do towarzyskiej śmietanki Paryża. Widać to nawet po stroju, który niby jest wciąż „angielski" (tweedy, kratki, brązy, róże), ale coraz bardziej niedbały i „niedokompono-

eprasa.pl fad24d143e

wany". Na takich imprezach Sikorski bez angielskiego umiaru raczy się obfitością poczęstunków (w różnym stanie skupienia), co powoduje stopniowy zanik klarowności wywodów i arystokratycznej, angielskiej aury.

Jeszcze rok temu stanowczo deklarował, że nie wraca do polityki, ale gdy pojawiła się szansa startu w wyborach do Parlamentu Europejskiego, chyba żaden inny kandydat Koalicji Europejskiej nie był tak wniebowzięty jak Sikorski. Przede wszystkim dlatego, że ma już dość bycia mężem swojej sławnej żony – Anne Applebaum. To przecież ona załatwiła mu zajęcia na Uniwersytecie Harvarda oraz doradcze fuchy w Eurasia Group (zajmującej się oceną politycznego ryzyka i zarządzaniem nim), w Center for Strategic and International Studies czy Komitecie Sterującym Grupy Bilderberg. Ale teraz żona i menedżerka Sikorskiego skupia się na karierze naukowej, więc nawet prywatnie nie ma dla niego czasu.

Niegdysiejszy kandydat na sekretarza generalnego NATO, przewodniczącego Rady Europejskiej, prezydenta Polski, a w najgorszym wypadku Wysokiego Przedstawiciela Unii Europejskiej ds. Polityki Zagranicznej i Obronnej snuje się po imprezach bardzo przeciętnej rangi, nudzi się i wpada w dekadenckie nastroje. Może dlatego, że nie ustawiają się do niego kolejki chętnych do składania hołdów, a nawet do zdawkowego zagadywania. Odizolowanie i poczucie osamotnienia pogłębia to, że żona przebywa głównie w USA i Wielkiej Brytanii, synowie studiują również w Wielkiej Brytanii, a Radosław Sikorski zwykle jest sam w Chobielinie. Pieniądze otrzymywane dzięki fuchom załatwionym przez żonę przeznacza podobno na stałe wydatki związane z opłacaniem kilku mieszkań i edukacji synów, więc niewiele mu zostaje na prywatne potrzeby. Perspektywa przeniesienia się do Brukseli i Strasburga jest więc dla niego zasadniczą odmianą losu. Tym bardziej że brylowanie tam zamiast w Warszawie lub Bydgoszczy jest nieporównywalne. No i jest szansa wyrwania się z zaklętego kręgu samotności, który nie sprzyja intelektualnemu rozwojowi, a raczej gnuśnieniu przy winie i wspominaniu dawnej wielkości.

CZTERY LATA ODSTAWIENIA

Po wyrzuceniu z wielkiej polityki (formalnie 23 czerwca 2015 r.) w związku z aferą taśmową Radosław Sikorski nie osiągnął niczego znaczącego ani jako polityk, ani ekspert, ani celebryta. Ma „zwyczajowe" magisterium z Oksfordu (przyznawane po latach, gdy ktoś ma na to ochotę), ale formalnie tylko licencjat, co w wielu instytucjach i uczelniach jest zbyt skromnym wykształceniem, żeby prowadzić normalną działalność naukową, tym bardziej że obcy jest mu warsztat badacza. Dzięki znajomościom żony jest rodzajem rentiera, ale ta zależność chyba mu coraz mniej odpowiada i coraz trudniej ją znosi. Tym bardziej że skromnie uważa się co najmniej za mędrca i wyrocznię w sprawach dyplomacji oraz polityki zagranicznej.

Od partyjnego kolegi i prawie rówieśnika Rafała Bruskiego, prezydenta Bydgoszczy, Sikorski dostał synekurkę w radzie nadzorczej Bydgoskiego Parku Przemysłowo-Technologicznego. Pieniądze z tego tytułu zadeklarował przekazywać dla uczniów liceum w Bydgoszczy, do którego sam uczęszczał (potem jeszcze dzieciom z domów dziecka). Przed wyborami samorządowymi w 2018 r. Sikorski przestał zasiadać w radzie nadzorczej BPPT, gdyż ta funkcja na nic się nie przekładała. Ale w kampanii do europarlamentu zapewne nie omieszka podkreślić swego zaangażowania na rzecz dzieci i sierot – jak na angielskiego dżentelmena przystało.

Na użytek polskiego wyborcy Sikorski chciał uchodzić za gracza wagi ciężkiej na świecie, twórcę koncepcji Partnerstwa Wschodniego (razem z szefem MSZ Szwecji Carlem Bildtem) jako oficjalnej unijnej polityki na tzw. kierunku wschodnim. Ta koncepcja miała być porównywalna z tzw. planem Rapackiego z 1957 r. (koncepcją peerelowskiego szefa MSZ Adama Rapackiego utworzenia strefy bezatomowej w Europie Środkowej). Szybko wielki gracz Sikorski (jego ego urosło do kosmicznych rozmiarów, gdy 28 listopada 2011 r. zaproponował Niemcom podjęcie się roli zbawcy Europy) został sprowadzony do kieszonkowego wymiaru. Był potrzebny, gdy chodziło o posadzenie za negocjacyjnym stołem ukraińskiej opozycji i ówczesnego premiera Wiktora Janukowycza. I strasząc opozycję („Albo podpiszecie, albo wszyscy będziecie martwi"), doprowadził do porozumienia 21 lutego 2014 r. Nie było ono nic warte, gdyż rozgrywającym była Rosja, a nie Janukowycz. I gdy Rosja weszła do gry, czyli kiedy rozpoczęła się agresja Putina na Ukrainę, Sikorski był całkowicie zbędny. Wtedy przywódcy Rosji i Ukrainy rozmawiali już wyłącznie z kanclerz Niemiec oraz prezydentem Francji. Nic dziwnego, że pod tzw. porozumieniem mińskim (o warunkach przywrócenia pokoju na Ukrainie) z 12 lutego 2015 r. nie ma podpisu Radosława Sikorskiego. Sam uważa porozumienie z 21 lutego 2014 r. za przełomowe, choć jedynym jego skutkiem było danie czasu premierowi Janukowyczowi na przygotowanie się do ucieczki z Ukrainy.

Innych dyplomatycznych osiągnięć Sikorski nie ma, chyba że chodzi o zadrażnianie stosunków z USA. W Waszyngtonie pamięta się jego słowa o tym, że „polsko-amerykański sojusz jest nic niewart. Jest wręcz szkodliwy, bo stwarza Polsce fałszywe poczucie bezpieczeństwa". Zapewne dlatego jako szef MSZ tak negocjował sprawę bazy w Redzikowie, że ta amerykańska inwestycja w polskie bezpieczeństwo była zagrożona.

Jako minister spraw zagranicznych Sikorski rozmawiał z mocarstwowych pozycji z władzami Litwy i Białorusi, psując i tak nie najlepsze relacje z tymi państwami. W wielu przypadkach dyplomata Sikorski był zwyczajnym arogantem, chyba że chodziło o Niemcy czy Francję, gdyż wtedy mocno spuszczał z tonu.

W kampanii wyborczej do europarlamentu będzie jednak występował jako mistrz dyplomacji oraz znawca stosunków międzynarodowych. Zapewne z myślą o powrocie do polityki pisał książkę „Polska może być lepsza". Jak na mistrza dyplomacji przystało, ujawnił w niej rzeczy, których raczej nie powinien upubliczniać, skoro jest tak biegły w dyplomacji, jak o sobie sądzi, np. na temat „więzienia CIA" w Starych Kiejkutach, w sprawach dyplomatów będących agentami wywiadu czy propozycji Władimira Putina dla Donalda Tuska o rozbiorze Ukrainy.

eprasa.pl fad24d143e

WYKIWANY PRZEZ TUSKA

Właściwie do dziś Radosław Sikorski nie zrozumiał, jak bardzo został wystrychnięty na dudka przez Donalda Tuska. Przez co najmniej dwa lata obecny przewodniczący Rady Europejskiej łudził ówczesnego szefa MSZ, że negocjuje dla niego funkcję, którą obecnie sam zajmuje, a przynajmniej stanowisko Wysokiego Przedstawiciela Unii Europejskiej ds. Polityki Zagranicznej i Obronnej, powierzone potem Federice Mogherini. Tusk załatwiał stanowisko dla siebie, a jednocześnie Sikorskiemu uniemożliwił zabieganie o własne interesy. Polska przecież nie mogła obsadzić obu tych stanowisk jednocześnie.

Gdy w marcu 2019 r. Sikorski, już jako kandydat w wyborach europejskich, zaczął wychwalać Tuska pod niebiosa, wynikało to z kolejnych miraży, jakie przewodniczący Rady Europejskiej miał mu przedstawić. Gdyby Sikorski dostał się do europarlamentu, Tusk wciąż byłby na stanowisku (do 30 listopada 2019 r.). Miał mu więc obiecać pomoc w staraniach o funkcję wiceprzewodniczącego PE albo jakieś eksponowane stanowisko przy nowym szefie Komisji Europejskiej, jeśli zostanie nim Manfred Weber. Wiele wskazuje na to, że Sikorski niczego się nie nauczył z poprzedniej rozgrywki Tuska, ale właściwie też nie ma innego wyjścia, gdyż w Brukseli wszystko zależy od gier między frakcjami i wewnątrz nich, a samodzielnie były szef MSZ nic tam nie znaczy, nawet dodając znajomości żony. Musi zatem liczyć na Tuska i zapewne dostał także zielone światło od Grzegorza Schetyny. Chwyta się więc każdego wsparcia i każdej okazji, bo przecież ktoś o mentalności angielskiego lorda nie może być zwykłym eurodeputowanym.

Zanim zrodziła się perspektywa startu Radosława Sikorskiego w wyborach do europarlamentu, musiał się on pokajać przed Grzegorzem Schetyną za podważanie zdolności przywódczych obecnego szefa PO, za kpiny z niego jako następcy Bronisława Geremka na funkcji szefa komisji spraw zagranicznych Sejmu oraz za zaliczenie go do „lwowskiej żulii" (na nagraniach z restauracji Amber Room). Wedle moich informacji Sikorski kajał się długo i przypominało to przejścia Juranda ze Spychowa przed bramą zamku krzyżackiego w Szczytnie.

Wreszcie Schetyna uznał, że w Kujawsko-Pomorskiem nie znajdzie bardziej rozpoznawalnego kandydata i nagrodził „pokajanego" Sikorskiego jedynką. Problemem jest to, że w różnych wewnętrznych badaniach jedynka zawodzi i wcale nie musi być lokomotywą listy Koalicji Europejskiej. Rozpoznawalność i szyld Platformy Obywatelskiej się liczą, ale na niekorzyść działają wyniosłość angielskiego lorda, niebotyczny egotyzm oraz uznawanie wszystkich poza sobą i żoną za idiotów. To ostatnie sprawia, że szeregowi członkowie PO oraz wolontariusze nie bardzo się garną do pracy dla Radosława Sikorskiego w kampanii wyborczej.

> Po wyrzuceniu z wielkiej polityki w związku z aferą taśmową Radosław Sikorski nie osiągnął niczego znaczącego ani jako polityk, ani ekspert, ani celebryta. W kampanii wyborczej do europarlamentu będzie się jednak przedstawiał jako mistrz dyplomacji oraz znawca stosunków międzynarodowych

MR. APPLEBAUM

Start w eurowyborach jest dla Radosława Sikorskiego ostatnią szansą na odbudowanie dawnej pozycji, stworzenie sobie w Brukseli i Strasburgu przyczółku. Jeśliby przegrał, startując z pierwszego miejsca, zagrożone byłyby nawet synekury załatwione mu przez żonę. Mandat w PE to także szansa odmiany stylu życia, wyrwania się z chobielińskiej klatki i dekadenckich nastrojów, odtworzenia mocno nadszarpniętego wizerunku angielskiego dżentelmena (knajackie dowcipy, wyzwiska typu „świr" pod adresem nielubianych polityków, przygody ze strojami, szczególnie letnimi). Nawet gdyby Radosław Sikorski był zwykłym eurodeputowanym, będzie mógł stwarzać wrażenie ważniaka, który zna wszystkich liczących się eurokratów. Z tych wszystkich powodów Sikorski wydaje się najbardziej zdeterminowanym ze wszystkich kandydatów Koalicji Europejskiej, choć jednocześnie jest jednym z najbardziej zdesperowanych. Cztery lata odstawienia od zaszczytów i możliwości odgrywania ważniaka wyjątkowo nadwerężyły jego samopoczucie i samoocenę. Być może dlatego, kiedy się pojawia na różnych imprezach czy towarzyskich spotkaniach i trochę przytłumi samokontrolę, nie jest już tym „dorzynaczem watah" ani terminatorem, co kiedyś, lecz staje się zaledwie zgryźliwym tetrykiem, choć ma dopiero 56 lat (tyle samo, co Grzegorz Schetyna).

Podczas gdy Radosław Sikorski stoi w miejscu, rozwija się dziennikarska, pisarska, naukowa i ekspercka kariera jego żony. A funkcjonowanie w cieniu małżonki zawsze było dla niego problemem. Jego ego nie cierpiało chyba tylko wtedy, gdy w latach 2007–2014 nie wychodził z europejskich salonów, a żona przygotowywała się do funkcji pierwszej damy w Polsce. Od roku 2015 cierpi podwójnie i z coraz większym przyspieszeniem, gdyż żona idzie do przodu, a on się wyłącznie cofa. Znajomi Sikorskich zauważyli, że negatywnie wpływa to na ich wzajemne relacje. Gdy jeden z nich przedstawił niedawno Sikorskiego podczas przyjęcia jako Mr. Applebauma, ten miał wpaść w furię. Dlatego jest tak zdeterminowany i zdesperowany zarazem, gdy chodzi o perspektywę zostania eurodeputowanym. Aż strach myśleć, co się stanie, gdyby nim nie został.

eprasa.pl fad24d143e

Liczy się tylko gra zespołowa



Było już paru gości, którzy próbowali widowiskowo wykorzystywać swoje pięć minut i ich dzisiaj w polityce nie ma. Nie zamierzam popełniać tych błędów

Fot. Andrzej Wiktor

Z Pawłem Szefernakerem, 32-letnim wiceministrem spraw wewnętrznych i administracji, rozmawia Marcin Fijołek

W futbolu, który obaj lubimy, piłkarza traktuje się jako młodego do 20., może 21. roku życia. A w polityce?

Paweł Szefernaker: To zależy. W piłce dziś w Manchesterze United pierwsze skrzypce grają nastolatki i idzie im świetnie – nie mają kompleksów. W polityce jest oczywiście inaczej...

W takiej Austrii Sebastian Kurz został kanclerzem w wieku 31 lat. W Europie można chyba mówić o pewnym trendzie. Jeszcze trochę i przestaniesz być dobrze zapowiadającym się.

Nie mam z tym żadnego problemu. Jestem członkiem kierownictwa jednego z największych resortów, wśród obowiązków mam m.in. codzienny nadzór pracy wojewodów i mam realny wpływ na ważną dla państwa sferę. Do polityki idzie się po to, by mieć wpływ na otaczającą nas rzeczywistość i móc ją zmieniać. Zdarza się, że młode osoby w polityce często są przekonane, że złapały Pana Boga za nogi i grają na siebie. Polityka jednak to gra zespołowa, a granie na siebie to droga donikąd.

Ale tak to dzisiaj działa. Ogląda się, klika się to, co ostre, kontrowersyjne. Tak się dziś buduje markę polityka.

Wiem, że wiele osób tak myśli. Uważam jednak, że można być skutecznym politykiem młodego pokolenia, grając jednocześnie na całe środowisko, nie zawsze, trzymając się terminologii piłkarskiej, będąc kontrowersyjnym napastnikiem. Zresztą charakterologicznie bycie kontrowersyjnym byłoby w moim przypadku nienaturalne i sztuczne. Ludzie by to wyczuli.

A może to żaden charakter, ale po prostu brak ambicji, odwagi, determinacji?

Właśnie nie! Było już paru gości, którzy próbowali widowiskowo wykorzystywać swoje pięć minut i ich dzisiaj w polityce nie ma. Nie zamierzam popełniać tych błędów.

To inaczej. Nie miałeś 30 lat, kiedy zostałeś ministrem w kancelarii premiera, zaczęły się narady i kolacje z ministrami, rządowe limuzyny, wyloty na szczyty Rady Europejskiej, zostałeś najmłodszym szefem okręgu PiS, a od roku jesteś wiceministrem resortu siłowego. Sodówka, która odbija w takich przypadkach, to naturalna sprawa.

Wartością, która nie pozwoli politykowi, żeby odbiła mu sodówka, na pewno jest rodzina. Nie byłbym na

eprasa.pl fad24d143e

tym miejscu, na którym obecnie jestem, bez wsparcia rodziny. Wracałem ze szczytu Rady Europejskiej, gdzie rzeczywiście spotykałem premierów UE głowiących się nad sprawą brexitu, a w domu trzeba było wynieść śmieci, zrobić zakupy czy odprowadzić dziecko do przedszkola. Codzienne, drobne sprawy. Nie biorę też udziału w wielu bankietach wieczornych, koktajlach – nie dlatego, że nie chcę czy nie lubię, albo że zgrywam jakiegoś pozera – tylko staram się każdą wolną chwilę poświęcić rodzinie. Kolejną sprawą, która nie pozwala odlecieć, to kontakt z wyborcami. To ważne, by być w regionie.

Szef partyjnego okręgu musi mieć mocną głowę?

Wystarczającą [śmiech]. Bardziej żałuję, że jako minister nie mogę brać udziału w niektórych lokalnych wydarzeniach. Z drugiej strony codzienny kontakt w ramach współpracy w rządzie pozwala mi na skuteczność dla regionu. Dawne województwo koszalińskie to dzisiaj wielki plac budowy. Jak zapadały decyzje dotyczące finansowania drogi S11, to premier Morawiecki podkreślał, że jest taki minister Szefernaker, który przekonywał innych w rządzie, że ta droga jest ważna.

Wiem, zaglądam na twojego Twittera. Ale dajmy spokój z drogami w dawnym Koszalińskiem, pochwalisz się innym razem.

W porządku, tylko potem nie mów, że oderwałem się od codziennych spraw [śmiech].

Czego nauczyły cię te cztery lata dobrej zmiany?

Dwa lata w kancelarii premiera to czas bezcenny dla kogoś, kto pierwszy raz trafia do rządu. Będąc bliskim współpracownikiem premiera, masz też wiele możliwości dużego wpływu na decyzje, które zapadają na najwyższym szczeblu polityki. Towarzyszyłem premier Szydło także na spotkaniach z najważniejszymi politykami w Europie. To również bezcenne doświadczenie, które pozwala zdobyć kompetencje na przyszłość.

A MSWiA?

W resorcie od ponad roku odpowiadam za nadzór nad wojewodami, za współpracę z samorządami, mniejszościami narodowymi, Kościołami i związkami wyznaniowymi. To miejsce, gdzie można połączyć pracę bardziej urzędniczą z realną polityką. To ministerstwo, które jest aktywne 24 godziny na dobę. Mamy wichury przechodzące nad Polską? Oczy skierowane na MSWiA. Protest policjantów? To samo. Ostatni marsz 11 listopada? Podobnie. Nie mogliśmy w nim zresztą uczestniczyć, trzeba było monitorować sytuację razem z ministrem Brudzińskim w siedzibie resortu. Każdy dzień to wiele decyzji, które realnie wzmacniają polskie państwo, dają satysfakcję z pracy, a jednocześnie są swoistym przeglądem stanu państwa.

> Zdarza się, że młode osoby w polityce często są przekonane, że złapały Pana Boga za nogi i grają na siebie. Polityka jednak to gra zespołowa

I jak 32-latek patrzy na to państwo? Jak ono działa? W wielu miejscach męczy go imposybilizm, jak mówił Jarosław Kaczyński, jest teoretyczne, jak gorzko ocenił Bartłomiej Sienkiewicz?

To zjawiska, które w jakimś stopniu były, są i pewnie będą zawsze, tylko za naszych poprzedników stały się normą, a ja mam przekonanie, że ten rząd z tymi zjawiskami konsekwentnie walczy. Patrząc z perspektywy tych kilku lat, mam świadomość, że jedna kadencja to za mało, by w wystarczający sposób przełamać te zjawiska, o których mówisz. W wielu sytuacjach to się jednak udało.

Jak wygląda to przełamywanie imposybilizmu na konkretnych przykładach?

Zanim o konkretach, uwaga natury ogólnej: nasze pokolenie wychowało się w przeświadczeniu, że pewnych rzeczy nie da się w państwie zrobić, że trzeba się przyzwyczaić do niemożności i koniec, kropka. W PiS poszliśmy z bardzo odważnym programem wyborczym i dziś pokazujemy, że można. A duży udział w tym rządzie ma właśnie pokolenie 30-, 40-latków. Konkrety? Po stronie dochodów budżet ma dziś 1/3 więcej dochodów niż w roku 2015 – to udało się zrobić w trzy i pół roku! Pal sześć polityków, ale pamiętasz te wypowiedzi ekonomistów, komentatorów, doradców z domów maklerskich, że tego się po prostu nie da zrobić? Oni realnie osiągnęli sukces w swoich branżach i zaklinali się, że to niemożliwe, że 500+ nie wypali, że budżet się rozpadnie. I co? I można.

Zgoda, ale nie masz poczucia, że jednak zbliżamy się do pewnej granicy? Koniunktura się kończy, wpływy z VAT nie urosną tak jak w ostatnich latach, a obietnice sypią się dalej. A nawet hojniej.

Dziś mamy dzięki dobrej koniunkturze, ale przede wszystkim dzięki skutecznemu rządzeniu historyczne wyniki gospodarcze. Dlatego jeżeli są takie wyniki, trzeba inwestować w polskie rodziny, bo to inwestycja na lata. W tę stronę są skierowane główne rządowe programy. Jesteśmy przekonani, że ta inwestycja da również impuls gospodarczy na chudsze lata. Rozmawiamy o kwestiach centralnych, ale trzeba powiedzieć i o regionalnych, z punktu Polski lokalnej sprawach strategicznych. Bliższa koszula ciału, więc pokażę na przykładzie Pomorza Zachodniego – minister Joachim Brudziński od początku swojej poselskiej aktywności lobbował i działał na rzecz powstania tunelu w Świnoujściu. Spotkałem kiedyś mieszkańca tego miasta, który chwalił się, że posiada artykuły

eprasa.pl fad24d143e



Fot. Andrzej Wiktor

z prasy z lat 60., 70., 80., 90., że połączenie wyspy Uznam z resztą Polski jest potrzebne, ale że po prostu się nie da. Dziś jesteśmy już na takim etapie prac rządu, że już nikt nie zatrzyma tej inwestycji. Jest też pozytywna decyzja Komisji Europejskiej, a też przekonywano nas, że niemożliwe, byśmy dostali zielone światło. Tunel będzie realizowany, a inwestycja zostanie po rządach PiS na lata.

I znowu o Pomorzu Zachodnim... Co oprócz tunelu zostanie po rządach PiS na lata? Mam na myśli nieco szerszą perspektywę.

W sposobie zarządzania czy podejmowania decyzji, w filozofii postrzegania polityki doszło do przewrotu, do rewolucji. Niezależnie od tego, kiedy oddamy władzę – mam nadzieję, że to jak najdalsza przyszłość [śmiech] – pozostanie zupełnie inny sposób patrzenia na politykę. Także na obowiązki urzędników. Wielu z nich żyło w przekonaniu, że nie ma możliwości podjęcia decyzji politycznych, które pozwolą na realizację przełomowych projektów.

Byłeś traktowany jako magik od internetu po roku 2015, gdy przygotowałeś wirtualną kampanię prezydencką Andrzeja Dudy. Rozmawialiśmy wtedy po wyborach – mówiłeś, że jeszcze kilka lat i wpływ internetu będzie większy. Rzeczywiście to pole gry może być decydujące w tegorocznym maratonie wyborczym?

Dziś te prace w PiS koordynuje Radosław Fogiel, radny sejmiku mazowieckiego. Ale mogę powiedzieć jedno: jestem przekonany, że internet stał się naturalnym środowiskiem do prowadzenia kampanii. Cztery lata temu zaskoczyliśmy tym naszych przeciwników, dziś wygląda to inaczej – to ważne miejsce toczenia się kampanii, widać to w działaniach sztabów wyborczych wszystkich partii. Nie będzie już mowy o zjawisku niedocenienia internetu. Ale to naturalny proces. Kiedyś na polityczny rynek wchodziły ulotki, plakaty, później billboardy i spoty – to były swojego czasu nowinki, dziś nikt sobie nie wyobraża kampanii bez tych narzędzi. I tak samo jest z internetem. Dziś każdy wie, że trzeba być tu obecnym.

Sama obecność w sieci wystarczy? Konto na Twitterze, Instagramie, Facebooku?

I ta rzeczywistość się zmienia. Np. ruch w internecie jest dziś dużo większy na smartfonach niż na komputerach, to się mocno zmienia i trzeba to brać pod uwagę przy tworzeniu nowoczesnej kampanii.

Jak w takiej partii jak PiS są przyjmowane takie argumenty? Z całym szacunkiem dla Jarosława Kaczyńskiego czy Joachima Brudzińskiego, ale to inne pokolenie polityków, niekoniecznie doceniające walory Instagrama.

Zdziwiłbyś się [śmiech]. Jestem przekonany, że sukces polskiej prawicy, do którego doprowadził prezes Kaczyński, polega na tym, że potrafi słuchać ludzi. W tym ludzi młodszych. Mamy dziś wielu młodych posłów, a także wiceministrów. Myślę, że to procentuje. To jedna z wielu ról najmłodszego pokolenia w polskiej polityce.

Podpowiadaczy?

Jak zwał, tak zwał. Nie możemy bać się wzięcia odpowiedzialności, musimy wprowadzać pewną świeżość i przekonywać starszych kolegów, że politykę trzeba prowadzić na miarę XXI w. I Warszawa, i mniejsze miejscowości wyglądają nie tylko inaczej niż w roku 1995 czy 2000, lecz inaczej niż w 2010 r. Zobaczmy, jak wygląda reklama, jak dostępne są mobilne aplikacje, jaki jest sposób dotarcia do wyborców – jedną z ról młodych ludzi jest wprowadzać te nowe narzędzia także do polityki.

I jak na takie argumenty reaguje ponad 35 lat starszy od ciebie prezes Kaczyński?

Niejednokrotnie byłem świadkiem rozmów prezesa Kaczyńskiego z młodymi osobami, które skutkowały wdrażaniem ich pomysłów. Polityka w ostatnich latach mocno się zmienia, także w sposobie funkcjonowania Polaków na co dzień. Szanse na dotarcie do wyborców będą mieli ci, którzy to zrozumieją, a polityczni liderzy, którzy są otwarci na innowacje i inne nowocześniejsze podejście, mogą to osiągnąć. I nasza kampania w roku 2015, i ostatnie trzy lata rządów dobrze to pokazały.

Partii władzy trudniej jest robić kampanię. Kiedyś można było walić jak w bęben, wypominać kabaretowe „osiem ostatnich lat" – dziś to już coraz bardziej niemożliwe.

W polityce najważniejsza jest wiarygodność. Udowodniliśmy przez te trzy i pół roku, że umiemy realizować program, o którym mówiliśmy, że mamy dodatkowe propozycje – a to Platforma pokazuje, jak jest niewiarygodna. Mówią dziś – zostawimy 500+! A w Sejmie głosowali przeciw. Mówią – jesteśmy za wolnością słowa w internecie! A w PE nie głosowali przeciw ACTA. Tak mógłbym sypać przykładami. Dzisiejsza opozycja jest nieprzewidywalna i niewiarygodna. Udowodniła to, rządząc, i udowadnia to dziś, będąc za, a nawet przeciw wszystkiemu, co proponuje rząd. Nic się tu nie spina.

Pytam o PiS, a ty o Platformie.

Ale dlatego, że musimy porównać wiarygodność, uczciwość, podejście do ludzi w obu największych partiach. To coś, dzięki czemu i nam w PiS będzie łatwiej dotrzeć do wyborców. Jeśli dotrzemy do Polaków z naszym programem oraz pokażemy, jak zmieniliśmy na dobre Polskę przez ostatnie lata, to jestem przekonany, że dadzą nam kolejną szansę. Efekt naszych rządów jest i będzie czymś, co pozostanie naszym atutem – w odróżnieniu od bagażu, jaki miała PO cztery lata temu.

eprasa.pl fad24d143e

Fenomen niewiedzy



ALEKSANDER NALASKOWSKI

Czy robimy się coraz głupsi, czy wiemy coraz mniej? Pytanie to jest szczególnie ważne w odniesieniu do młodego pokolenia. Wszak ono ma budować pomyślność Polski



Znana już w internecie sonda polegająca na pytaniu warszawskich studentów, gdzie jest województwo lubuskie, była zabawna, ale w zasadzie jej wynik nie zaskoczył. Indagowani nie wiedzieli, gdzie owo województwo się znajduje. Odpowiedzi były niekiedy groteskowe. Przypomina mi to zabawę polegającą na ulicznym odpytywaniu ludzi: „Co by pani zrobiła, gdyby urodził się pani homo sapiens". Do znalezienia też w internecie (póki jest jeszcze wolny!). Odpowiadający, jak można się spodziewać, traktowali bycie homo sapiens jak chorobę (np. porażenie mózgowe czy downa) lub homoseksualizm. Takich sondaży można znaleźć więcej. Wszystkie jednakowo zabawne, a zaprezentowane w nich odpowiedzi jednakowo żenujące.

Udowadnianie niewiedzy, a niekiedy głupoty, bywa bolesne. Zarówno dla niewiedzących, jak i dla dowodzących. Swego czasu opublikowałem książkę, w której zaprezentowałem badania nad nauczycielami z prowincji. Były tam m.in. wyniki testów, które przeprowadziłem w tej grupie. No i okazało się, że konkordat to maszyna budowlana, triduum paschalne to rodzaj kleju, a Wańkowicz to zbrodniarz wojenny. Wszyscy mieli wyższe wykształcenie. Wówczas spadły na mnie gromy, pogróżki, pisano skargi do rektora, że szkaluję pedagogów.

Trzy lata temu zaś, nakładem Impulsu, ukazała się moja książka „Pedagogiczne zwierzątko. Fenomen niewiedzy". Przedstawiłem w niej swoje i innych autorów badania, z których wynikało, że osoby ze stopniem magistra nie są w stanie uporać się z testem wiedzy dla trzecioklasistów (tak!), że nierzadko obcy jest im kanon wiedzy przypisany ich własnej dyscyplinie. Ale dobiło mnie badanie przeprowadzone przez moje współpracownice bezpośrednio po zakończonym wykładzie, a dotyczące tegoż wykładu i tego, co powiedziałem w nim „tłustym drukiem". Ponad połowa nie zapamiętała niemal nic! Myślałem, że się rozpłaczę, bo bardzo się starałem.

Powstaje zatem zasadne pytanie: czy robimy się coraz głupsi, czy wiemy coraz mniej? Jest ono szczególnie ważne w odniesieniu do młodego pokolenia. Wszak ono ma budować pomyślność Polski, reprodukować nasze tradycje, czcić bohaterów i przechować język ojczysty. Nikt inny tego za nich nie zrobi. Ale nie oznacza to, że owo zadanie zostanie w ogóle kiedykolwiek wykonane.

DUMA ZAMIAST WSTYDU

To, co uderza we wszystkich sondach ulicznych, w teleturnieju „Jeden z dziesięciu", w reakcjach studentów na dwóję z egzaminu, przyłapaniu na ewidentnej głupocie, to nade wszystko brak wstydu. Brak wstydu z powodu własnej niewiedzy. Młodzi nie wstydzą się nie wiedzieć. Nawet wtedy gdy chodzi o kwestie podstawowe, takie jako owo nieszczęsne województwo lubuskie. Z naszej obyczajowości znika pomału wstyd. Takie są m.in. skutki haseł „Kochaj siebie, jakim jesteś", „Bądź sobą" etc. Dotyczy to nie tylko sfery cielesnej, w której samoakceptacja doszła już do himalajskich wyżyn i pozwala młodym dziewczynom mieć niekiedy sporą i bardzo widoczną, ale koszmarnie niezdrową nadwagę; która każe chłopakom akceptować dojmującą niekiedy niesprawność fizyczną. Owe pokochanie siebie i brak wstydu mocno już rozciągają się na sferę intelektualną i emocjonalną. Zdaje się wręcz, że wisi nad nami jakiś baner z napisem: „Nie wiedzieć, to brzmi dumnie" zamiennie z „Ciesz się swoją głupotą". Niewiedza, a wręcz intelektualne samoograniczenie, bywa przedmiotem coraz bardziej gorzkich żartów. Podobnie jak stosunek do nauki. Swego czasu krążył taki dowcip: „Trzy największe kłamstwa studenta prawa:

– od jutra nie piję,
– od jutra się uczę,
– dziękuję, nie jestem głodny".

Trudno o bardziej cierpki obraz młodej inteligencji. Nawet jeśli jest przesadzony, to jednak dość powszechny.

Wielu studentów humanistyki przyznaje się do całkowitej nieznajomości matematyki. Nie znać matematyki to prawie taka sama cnota jak wierność małżeńska. Odnoszę wręcz wrażenie, że brak matematyki na jakimś kierunku jest głównym motywem jego wyboru. A wystarczy przeglądnąć biografie wybitnych filozofów, np. Szkoły Lwowsko-Warszawskiej, aby się przekonać, że ci wszyscy humaniści byli także znakomitymi matematykami. Tymczasem

eprasa.pl fad24d143e

często zmagam się, ale nie tylko ja, z nieumiejętnością obliczenia procentów przez przyszłych magistrów. Bo przecież „miało nie być matmy!".

KINDERSZTUBA

Już coraz mniej powinno nam być do śmiechu. Tolerancja i polityczna poprawność każą nam milczeć, taktownie nie zauważać czy wręcz „wypierać" (takie modne słowo) czyjeś ewidentne niedostatki intelektualne. Z jakiego powodu młodzież chcąca zapewne zrobić w życiu jakąś karierę ma wiedzieć cokolwiek? Czy przesądza o tym zawrotna kariera Ryszarda Petru, Joanny Augustynowicz, Joanny Scheuring-Wielgus, Adama Szejnfelda, Dariusza Jońskiego (powstanie warszawskie było w 1989 r.) etc.? Europosłowie nie znają struktury Parlamentu Europejskiego, a profesor prawa Monika Płatek stwierdza, że w rodzinach homoseksualnych rodzi się więcej dzieci niż w rodzinach hetero. Jakim prawem młodzież miałaby się wstydzić swojej niewiedzy, skoro ten wstyd niczego by nie budował ani niczego nie zmieniał. Kochaj więc siebie, jakim jesteś!

Źródło leży w tym, co kolokwialnie nazywamy kindersztubą. Otóż szeroko otwarto wrota do stanowisk i mediów publicznych. Każdy może być dziennikarzem, posłem, aktorem, pisarzem i produkować się w mediach. A tam z kolei wszystko wolno. Już tylko najgorsze bluzgi bywają wykropkowane. Tytularny profesor biologii może rzucać słownymi fekaliami (w czym jest niezwykle twórczy) z mównicy sejmowej. A skoro wolno profesorowi... Czterokrotnie rozwiedzeni celebryci mogą być moralnymi wzorami, wojujący ateiści, niemający pojęcia o religii i Kościele – naprawiaczami wiary. Nie cofną się przed żadnym zaszczytem, a błyszcząc niby-elokwencją, powiedzą każdą głupotę. Powiedzą bezkarnie. Bo ci, którzy ich słuchają, też nie wiedzą, że to głupota. Dlaczego więc młodzież miałaby być inna?

Swego czasu nauczycielka zatroskana stanem czytelnictwa zapytała mnie, jak zmusić do czytania książek uczniów, których rodzice też nie czytali i nie czytają. Nie znam odpowiedzi na to pytanie. Ale wiem, że czytanie, kult książki, kult poprawności językowej, kult wiedzy to element domowej, środowiskowej kindersztuby. Sam nie wiem, czy więcej wiedzy wyniosłem ze szkoły, czy z biblioteki. Ile matek poszłoby tropem mojej mamy, która zmusiła 13-letniego brzdąca do przeczytania „Tworzywa" Wańkowicza, a potem go z niego solidnie odpytała? Resztę książek tego autora przeczytałem już z własnej woli i prawie jednym tchem. Ale mamina sankcja była uzasadniona (zagrożona zakazem wychodzenia na podwórko). Przyniosłem bowiem tróję z wypracowania o Łysku z pokładu Idy. I mama wiedziała, że w tym wieku język kształtuje się przez czytanie. Czy to było nauczanie? Ależ skąd! To było czyste wychowanie. Niestety pan Melchior od wielu lat już nie pisze. Ale ja i tak wciąż wracam do tego, co stworzył.

> Młodzi nie wstydzą się nie wiedzieć. Takie są m.in. skutki haseł „Kochaj siebie, jakim jesteś" czy „Bądź sobą"

Swego czasu wysłuchałem wykładu prof. Andrzeja Waśki. Mówił on o doświadczeniach z egzaminu z literatury romantyzmu na UJ. Pytał m.in. o „Dziady" Mickiewicza. Zadawał też pytanie nawiązujące do jednej z części utworu: gdzie leży Drezno? Odpowiedzi były różne. W Rosji, we Włoszech, w Polsce... Oczywiście prawie nie było odpowiedzi prawidłowych.

Kiedyś swoich seminarzystów zapytałem o ulubioną książkę, o taką, która zostawiła w nich trwały ślad. Tylko jedna osoba odpowiedziała mi na pytanie. Pozostałe nie były w stanie wskazać żadnego tytułu. Ale też nie były w stanie powiedzieć, jakie lektury lubią ich rodzice. Coraz bliżej więc jestem przekonania, że czytanie jest dziedziczne. Niezwykle często prezentem są u nas książki. Można powiedzieć, że cały czas się nawzajem wychowujemy. Nie jesteśmy, rzecz jasna, wyjątkiem, ale z całą pewnością należymy do mniejszości.

Kindersztuba idzie w poprzek społecznej struktury. Dlatego znacznie łatwiej i chętniej porozumiewamy się z czytającym chłopem niż z głupim posiadaczem dyplomu uniwersyteckiego.

SZKOŁA I OKOLICE

Rozkwitaniu niewiedzy, którą kolokwialnie nazywam tu głupotą, służy m.in. umasowienie szkolnictwa wyższego tak znaczne, że powodujące brak jakiejkolwiek selekcji. Niegdyś, za komuny, były punkty za pochodzenie. Dziecko z rodziny robotniczej mogło zdać egzamin wstępny gorzej niż dzieciak nauczycielski, ale to właśnie ono dostało się na studia. Niewiarygodne, ale było to usankcjonowane stosownymi przepisami. Teraz można odnieść wrażenie, że punkty za pochodzenie zostały przyznane wszystkim. Zatem już, poza nielicznymi kierunkami, nikt się nie dostaje na studia, a wszyscy „idą na uniwerek". Jak do hipermarketu. W zasadzie nie ma już żadnej selekcji. I nie jest to z mojej strony żaden społeczny darwinizm, ale trwoga z powodu zaniechania przyjmowania na studia tylko tych pracowitych, ambitnych i zmotywowanych. A to się da wywnioskować wyłącznie na podstawie egzaminów wstępnych, przez które powinien przebrnąć tylko ten, który się po prostu w liceum nie obijał, nie wagarował, czytał lektury, miał na podorędziu zbiór zadań z matematyki, słuchał przewodnika na wycieczce i nauczył się ortografii, a nie biegał po zaświadczenie, że jest pod tym względem niewyuczalny. A tym wymaganiom sprostać może każdy, z każdej rodziny. Bo wbrew pozorom program szkoły średniej jest prosty, niezbyt obszerny i możliwy do bezproblemowego przyswojenia. Pod warunkiem jednak, że się tego bardzo chce i poświęca się w domu minimum godzinę dziennie na naukę. Zatem najkrócej rzecz ujmując – nie należy przyjmować na uczelnię leniów i leserów. W jednym roku akademickim wpłynęła na mnie skarga do przełożonego od studentów (nie z mo-

eprasa.pl fad24d143e

jego wydziału), że zadałem na za dwa tygodnie książkę o objętości 187 stron. I dodatkowo, że jest ona nieosiągalna w bibliotece. Sprawdziłem, było sześć egzemplarzy i wszystkie wolne. Potem się okazało, że pozycja jest również dostępna w wersji cyfrowej w sieci.

Rola szkoły w reprodukowaniu niewiedzy jest trudna do opisania. Bo są różne szkoły i różni nauczyciele. Ale programy są jednakowe. Jednakowoż podejrzanie szybko i zupełnie niepotrzebnie szkoła godzi się na uczniowską niewiedzę, a tym samym ją sankcjonuje. Dobrze ilustruje to ironiczna charakterystyka egzaminu maturalnego z matematyki.

„*1950 r.* Drwal sprzedał drewno za 100 zł. Wycięcie drzewa na to drewno kosztowało go 4/5 tej kwoty. Ile zarobił drwal?

1980 r. Drwal sprzedał drewno za 100 zł. Wycięcie drzewa na to drewno kosztowało go 4/5 tej kwoty, czyli 80 zł. Ile zarobił drwal?

2000 r. Drwal sprzedał drewno za 100 zł. Wycięcie drzewa na to drewno kosztowało go 4/5 tej kwoty, czyli 80 zł. Drwal zarobił 20 zł. Zakreśl liczbę 20.

2010 r. (tylko dla zainteresowanych) Drwal sprzedał drewno za 100 zł. W tym celu musiał wyciąć kilka starych drzew. Podzielcie się na grupy i odegrajcie krótkie przedstawienie, w którym postarajcie się przedstawić, jak w tej sytuacji czuły się biedne zwierzątka leśne i rośliny. Przekonajcie widza, jak bardzo niekorzystne dla środowiska jest wycinanie starych drzew.

2015 r. Drwal sprzedał drewno za 100 zł. Pokoloruj drwala".

Są przesłanki, aby twierdzić, że młode pokolenie, określmy to eufemistycznie, nie mądrzeje. W latach 70. ubiegłego wieku Zbigniew Kwieciński przeprowadził badania na przeogromnej (wielotysięcznej) próbie 15-latków. Badał ich m.in. testem słownikowym. Polega on na tym, że uczeń odpowiada na 100 pytań. A brzmią one np. tak: „Jak nazywamy największe zbiorniki wód na kuli ziemskiej?" albo „Jak nazywamy popularny pojazd napędzany siłą mięśni nóg?" etc. Pytania są sformułowane na różnych poziomach trudności. Sięgnąłem po owe testy i ponad 40 lat po Kwiecińskim przeprowadziłem badania na 120-osobowej grupie studentów, którym wykładałem pedagogikę. Było to szerokie spektrum – od matematyki, przez biologię, polonistykę, po sztuki piękne. Osiągnęli średni wynik o 10 proc. gorszy niż ich 15-letni koledzy sprzed lat. Czyli pokolenie ich rodziców. Przy czym badani przez Kwiecińskiego stanowili pewną kompletną populację regionu, a zatem byli tam zarówno dobrze, jak i słabo uczący się uczniowie, a studenci uniwersytetu stanowili grupę wszak w jakiś sposób wyselekcjonowaną. Potem z pomocą przyjaciół badanie przeprowadziłem na podobnych grupach studentów z trzech innych uniwersytetów i wszędzie wynik był podobny.

> Rozkwitaniu niewiedzy, którą kolokwialnie nazywam tu głupotą, służy m.in. umasowienie szkolnictwa wyższego

I już prawie na koniec – dając kiedyś wykład dla oświatowej kadry kierowniczej, wykorzystałem sposobność i przeprowadziłem krótki sprawdzian. Jedno z pytań dotyczyło czasopism fachowych, których lekturze oddają się najchętniej dyrektorzy i funkcyjni z placówek oświatowych. Podano 10 tytułów z prośbą o zaznaczenie tych, które badani oceniają najwyżej. Respondenci zaznaczali odpowiedzi. Każdy z nich coś wskazał. Rzecz jednak w tym, że tytuły były całkiem zmyślone i takie czasopisma nigdy nie istniały, a badanie było całkowicie anonimowe...

NOWA TENDENCJA?

Być może mamy do czynienia z pewnym społecznym homeostatem. Polega on na tym, że nierozpoznane dokładnie mechanizmy społeczne są reakcją na zbyt daleko idącą i spłaszczającą wiedzę powszechność dostępu do liceów i uniwersytetów. To rodzi niemal nieograniczone aspiracje. Próbujemy być dumni z liczby osób studiujących, ale specjalnie nie wnikamy w efektywność i rzeczywistą wartość tych matur czy dyplomów. Społeczeństwo potrzebuje jednak naprawdę wykształconych, gdyż nie zrzekło się jeszcze tworzenia elit. Słabe i spauperyzowane uczelnie wypchnęły więc najzdolniejszych do najlepszych ośrodków akademickich na świecie. Oczywiście tych, których na to stać, albo tych, którzy umieli przekonać różnych decydentów, że należy im się stypendium. Część z nich wraca i niemal zawsze robi efektowną karierę w administracji publicznej, nauce, nowych technologiach, wojsku (np. po West Point) czy u władzy.

Natomiast szkolnictwo średnie po nieudanym eksperymencie o nazwie „szkoła społeczna" wygenerowało elitarne i dość surowe, a jednocześnie drogie licea, nierzadko katolickie, których absolwenci kindersztubą i wiedzą przewyższają swoich rówieśników o głowę. Potem wyjeżdżają się kształcić do Niemiec czy USA. Wygląda to tak, jakby polska edukacja była głównie od rozdawania dyplomów, a prawdziwe elity kształcił nam wciąż świat zachodni. Tutejsi mają nie być konkurencją. Mechanizm więc sprawnie robi z nich ignorantów. Walnie przyczyniła się do tego reforma z 1999 r. tworząca koszmarki o nazwie gimnazjum i skracająca liceum ogólnokształcące. Za nią szły egzaminy, które uczyniły ze szkoły średniej kurs przygotowawczy do testów, tym samym odbierając im status takich małych akademii prawdziwie ogólnokształcących.

Ja i moi koledzy przyzwyczailiśmy się już chyba do tego, że nasi studenci nie są najczęściej w stanie przebrnąć przez rozprawy naukowe, po które my sięgamy. Już dawno zadaję takie lektury, które są dla słuchaczy dostępne intelektualnie. Czy są zatem głupsi niż moje pokolenie? Absolutnie nie! Są zwyczajnie niedouczeni, nauka nie jest dla nich frajdą, książki ich nudzą. Nie wiedzą, gdzie jest województwo lubuskie, bo na co dzień widzą, że do wygodnego i celebryckiego życia wiedza nie jest niezbędna.

eprasa.pl fad24d143e



Fot. Paweł Poleski/REPORTER

Od czasów naszego wejścia do Unii Europejskiej zablokowano lub oprotestowano w Polsce największą liczbę inwestycji ze wszystkich krajów wspólnoty. Wiele dużych przedsięwzięć ma problem z ekologami

Inwazja pseudoekologów

Z Jackiem Podgórskim, dyrektorem Instytutu Gospodarki Rolnej, rozmawia Aleksandra Jakubowska

Przekop Mierzei Wiślanej zostanie zablokowany tak jak wycinka drzew w Puszczy Białowieskiej?

Widzę dużą determinację strony rządowej, by przeprowadzić tę inwestycję zgodnie z planem. Poza tym argumentacja pojawiająca się w mediach, wskazująca na wątek rosyjski mogący mieć związek z protestami organizacji ekologicznych, mocno osłabiła ten sprzeciw. I bardzo dobrze, bo ze wszech miar ta inwestycja jest dla Polski – szczególnie Polski północno-wschodniej – istotna. Ożywi gospodarczo Elbląg wraz z przyległymi miejscowościami, a poszerzenie rzeki Elbląg wpłynie dodatnio na cały szlak aż do samej Mierzei. Uniezależnimy się od Cieśniny Piławskiej kontrolowanej przez Rosjan, przez którą praktycznie bez ich zgody nie mogliśmy przewieźć absolutnie żadnych towarów.

Ekolodzy złożyli broń?

Będą się jeszcze starali, bo to jest wprost w interesie Rosji, a ja twierdzę, że niestety znaczna część organizacji ekologicznych w naszym kraju realizuje interesy na pewno nie polskie, więc zdziwiłbym się, gdyby zaprzestali atakowania przekopu.

Czasami w przestrzeni publicznej pojawia się określenie „ekoterroryści" wobec różnego rodzaju inicjatyw ekologów, które są podejmowane na całym świecie. Jest coś takiego jak ekoterroryzm?

Oczywiście. Ekoterroryzm, pseudoekologia, ekobiznes, agroterroryzm... Należy odróżnić ekologię jako naukę od sfery biznesowej i terrorystycznej pseudoekologicznych organizacji, bo o terroryzmie wprost możemy także mówić. W Stanach Zjednoczonych te organizacje twierdziły, że walczą o przyszłość Ziemi, podkładały ładunki wybuchowe pod elektrownie, dewastowały laboratoria, w których dokonywano eksperymentów na zwierzętach, wysadzały w powietrze kurorty narciarskie, instalowały ładunki wybuchowe pod osiedlami mieszkaniowymi, ponieważ zagrożone ich zdaniem były pobliskie mokradła.

W Polsce chyba nie było tego typu przypadków?

Na taką skalę nie, ale w 2011 r. nieopodal Warszawy jeden z przedstawicieli organizacji ekologicznej, działający jednak, jak twierdził, zupełnie samodzielnie, podłożył ładunki wybuchowe pod ambonę myśliwską, ponieważ sprzeciwiał się polowaniom. Ładunki miały być zdetonowane zdalnie, a więc nie wiedział, czy akurat w momencie wybuchu

eprasa.pl fad24d143e

na tej ambonie będzie myśliwy, czy nie. Mężczyźnie postawiono liczne zarzuty: posiadania materiałów wybuchowych i broni palnej, także terroryzmu. Bodajże półtora miesiąca temu w Radomiu zatrzymano mężczyznę gromadzącego ładunki wybuchowe. Twierdził, że robi to w trosce o dobro planety. Włamania na fermy zwierząt futerkowych, fermy drobiarskie...

...to chyba nie terroryzm...

Ale przestępstwo i powtarza się bardzo często. Ci tzw. ekolodzy wypuszczali zwierzęta na wolność. Nie wiem, czy zdawali sobie sprawę z tego, że nie są one przystosowane jako zwierzęta gospodarskie do życia w naturalnych warunkach – np. hodowlana norka amerykańska – i zdychają bardzo szybko z głodu, bo potrafią się żywić tylko tą karmą, która jest im podawana. Zresztą walka z hodowcami zwierząt futerkowych w ogóle pozbawiona jest merytorycznej argumentacji – to czysty biznes. Czasami ten ekologiczny horyzont jest bardzo wąski i ukierunkowany na hołdowanie ideologii z jednej strony humanizującej zwierzęta, a z drugiej strony dehumanizującej ludzi.

Wielbicielom filmu „Uwolnić orkę" taka ideologia jest bliska.

Być może, ale ekologię wykorzystuje się często także politycznie. Paraliżowane są znaczące inwestycje, tak jak było w przypadku Puszczy Białowieskiej. I warto zestawić ten przypadek z zamkiem w Stobnicy. Kiedy rozpoczęła się tzw. wycinka Puszczy Białowieskiej, do premiera Morawieckiego został wysłany list sygnowany nazwiskami naukowców z renomowanych polskich uczelni, którzy sprzeciwiali się takim działaniom i nie przyjmowali do wiadomości inwazji kornika drukarza ani konieczności ratowania przed tą plagą starego drzewostanu. Jeden z podpisanych tam profesorów był także członkiem fundacji, która przeprowadzała uzgodnienia środowiskowe w przypadku budowy zamku w Stobnicy. Czyli z jednej strony pan profesor zaciekle protestował przeciwko wycince w Puszczy Białowieskiej, ale z drugiej – nie przeszkadzało mu wzniesienie budowli, które złośliwi porównują z zamkiem w Malborku, w samym sercu Puszczy Noteckiej. Również wspomniana batalia antyfutrzarska miała na celu m.in. skłócenie PiS z rolnikami.

Zamek w Stobnicy ma się dobrze, pewnie niedługo będzie uroczyste otwarcie. I to świadczy o bezsilności państwa w takich sytuacjach. Ale słyszy się także opinie, że gdyby nie ekolodzy, to chciwi inwestorzy i deweloperzy wszystko by nam wycięli, zabetonowali, zasłonili niebo wieżowcami, wycięli Puszczę Amazońską. Jak znaleźć złoty środek między nieuchronnym rozwojem cywilizacyjnym a tym, żeby nasza planeta nie została zamieniona w betonową pustynię bez roślin i zwierząt?

Absolutnie się z panią zgadzam. Mamy jednak oboje na myśli prawdziwe organizacje ekologiczne, których jest niewiele w porównaniu z liczbą tych nastawionych wyłącznie na uzyskanie dochodu ze swojej działalności. Od czasów naszego wejścia do UE zablokowano lub oprotestowano w Polsce największą liczbę inwestycji ze wszystkich krajów Wspólnoty. Wiele dużych przedsięwzięć ma problem z ekologami. Choćby na naszym warszawskim podwórku jeszcze kilka lat temu działało takie stowarzyszenie, które nazywało się Przyjazne Miasto. Oprotestowało ono budowę Złotych Tarasów, wartą wtedy 400 mln zł. Co prawda sąd oddalił zarzuty pseudoekologów, ale cała sprawa podważyła reputację Warszawy jako miasta przyjaznego inwestorom. Próbowali też wstrzymać budowę podziemnego parkingu pod Blue City, ale zastrzeżenia wycofano, kiedy firma EkoPlan związana ze stowarzyszeniem dostała zlecenie na 300 tys. zł, by zaprojektować tam elementy zieleni.

Przyjazne miasto to takie, w którym jest dużo zieleni. Może pan zbyt surowo ocenia te działania?

Dziwnym trafem zdarza się w Polsce tak, że w miejscach, w których są realizowane duże inwestycje, nagle znajdują się jakieś gatunki, dajmy na to chrząszczy, które w Europie występują w kilku miejscach, a u nas akurat tam. Motyl modraszek potrafi sparaliżować budowę niejednej obwodnicy miejskiej, pachnica dębowa nie pozwala budować dróg. Chcę powiedzieć o takim zjawisku, które nazywa się ekoharaczem. Na kongresie deweloperskim we Wrocławiu w 2017 r. połowa inwestorów w ankiecie przyznała się do tego, że przynajmniej raz w życiu zapłaciła ekoharacz. Nie po to, aby sobie załatwić możliwość budowy, ale dlatego, aby ci ekolodzy, mówiąc kolokwialnie, od nich się odczepili. Dla inwestorów dwa–trzy miesiące przestoju to są wielomilionowe straty. Dużo prościej zapłacić im taki ekoharacz, bo stracą na tym mniej.

Płacąc taki ekoharacz, ulegają szantażowi.

Czasami po prostu nie mają wyjścia. Mam kilka stenogramów z takich rozmów – tam nikt się nie kryje z tym, że nie chodzi o ochronę środowiska, tylko o pieniądze.

I co, przychodzą tacy ekolodzy do inwestora i mówią: „Nam co prawda nie przeszkadza, że pan coś tu chce wybudować, ale może to jest szkodliwe dla środowiska, więc my będziemy stroną w tym procesie uzyskiwania przez pana zgody na tę inwestycję, ale jeśli by pan dokonał wpłaty na nasze stowarzyszenie, fundację, to..."?

Niestety tak to działa, a prawo na to pozwala.

Polska w 2003 r. ratyfikowała konwencję ONZ z Aarhus, która określa prawo człowieka do czystego środowiska i daje obywatelom prawo do udziału w podejmowaniu decyzji oraz dostępu do sądownictwa w ochronie środowiska. Ale mamy takie przypadki, że np. na skutek zgłoszenia, iż na terenie inwestycji w Polsce występuje świnka wietnamska, opóźnienie wyniosło dwa lata. Gdybym była urzędnikiem, który decyduje o tym, czy taki wniosek rozpatrzyć, czy wyrzucić do kosza, nie miałabym wątpliwości, co z nim zrobić. Dlaczego polscy urzędnicy badają miesiącami wniosek, który można zweryfikować najdalej w kilka dni?

eprasa.pl fad24d143e



Jacek Podgórski w studiu telewizji wPolsce.pl

Ponieważ wciąż funkcjonuje zupełnie absurdalna ustawa o udostępnianiu informacji o środowisku i jego ochronie. Jest tam taka luka, która sprawia, że ja z panią i dowolną osobą z ulicy możemy zawiązać sobie stowarzyszenie w formie uproszczonej, pojechać teraz np. na Podkarpacie i zablokować tam budowę dowolnej inwestycji, ponieważ twierdzimy, że coś jest nie tak. Argumentacja może być bardzo ogólna, nawet lepiej dla tych organizacji pseudoekologicznych, żeby była niepełna, ponieważ wówczas urzędnicy mają obowiązek zwrócić się ponownie o uzupełnienie dokumentacji. I tak dalej... Sposobów na opóźnianie tego procesu jest mnóstwo. Potężna luka w prawie, nieobwarowana żadną odpowiedzialnością cywilną, pozwoliła na to, że w Polsce powstały już w tym momencie tysiące, w większości sztucznych organizacji ekologicznych nastawionych wyłącznie na to, aby z jednej strony (jak to było w przypadku zamku w Stobnicy) umożliwić realizację jakiejś inwestycji, z drugiej – aby jakąś inwestycję zablokować. W innych krajach ten problem nie ma aż takiej skali z tego względu, że podobne działania są zwyczajnie karalne. Inwestorzy często boją się nagłaśniać takie sprawy, ponieważ nadanie im toku urzędowego sprawiłoby, że ciągnęłyby się w nieskończoność. Mało tego – planowana nowelizacja ustawy o ochronie zwierząt może dać ekologom uprawnienia do niekontrolowanego wchodzenia na fermy czy prywatne posesje.

A jakieś przykłady takiej celowej działalności blokowania inwestycji?

Oczywiście. Przykład z Podlasia. Budowano drogę. Pod drogą, jak to się teraz wymaga, muszą być tunele dla zwierząt. Tam miały mieć one 4 m wysokości. Ekolodzy powiedzieli, że będą blokować inwestycję, jeżeli inwestor nie zwiększy wysokości do 5 m, ponieważ ich zdaniem nie mieściłyby się tam łosie. Największe łosie żyjące w Polsce mają 2,5 m wysokości...

Razem z porożem?

Tak. Gdyby łoś miał 5 m, byłby wyższy od słonia. Tunel został podwyższony, wytrącono w ten sposób argument organizacji pseudoekologicznej, nie dostała pieniędzy, natomiast inwestor stracił pieniądze, które musiał wydać na kolejne projekty.

No dobrze, a gdyby inwestor się uparł, urzędnicy szukali by pięciometrowego łosia przez kilka miesięcy, inwestycja by się opóźniała, co przyniosłoby straty, i jednak wniosek ekologów zostałby uznany za bezzasadny, to nie ma żadnej odpowiedzialności cywilnej? Inwestor nie może w sądzie żądać odszkodowania za bezzasadne opóźnienie inwestycji?

Teoretycznie może. Tutaj za przykład posłuży nam sprawa stowarzyszenia Lege Artis Pro Natura. Zostało założone w Solcu Kujawskim i nie da się z nim skontaktować, ma tylko skrytkę pocztową, i to w Toruniu. Nikt nie wie, gdzie przebywają osoby, które dopuszczały się blokady budowy osiedla Brzoza III w Lublinie i nie tylko, bo to stowarzyszenie jest odpowiedzialne za blokady przynajmniej kilkunastu inwestycji. I szukaj wiatru w polu. A stowarzyszenie widmo jest bardzo bogate. Są deweloperzy, którzy przyznawali się do płacenia haraczu tej organizacji.

A co do budowy w Lublinie ma fundacja z Solca Kujawskiego?!

No niestety polskie prawo pozwala na to, aby organizacja – dajmy na to – zarejestrowana w Przemyślu mogła protestować przeciwko budowie czegoś w okolicach Szczecina.

Zna pan jakieś przykłady dobrej interwencji ekologów, w słusznej sprawie?

Oczywiście. Choćby działalność fundacji Eko Pro Bono, fundacji Ekologiczne Forum Młodzieży, które zajmowało się np. polskimi żubrami. Mamy w Polsce organizacje, które działają właściwie, tylko one giną w tym natłoku negatywnych zdarzeń.

Mówił pan o ekobiznesie, o tym, że niektóre pseudoekologiczne organizacje reprezentują interesy nie zawsze korzystne dla polskiej gospodarki, a nawet polskiej racji stanu. Puszcza Białowieska – rywalizacja na rynku handlu drewnem, Mierzeja – konflikt z Rosją. Myśli pan, że w przypadku budowy Centralnego Portu Komunikacyjnego nie okaże się nagle, że na tych terenach jest jakieś siedlisko bardzo rzadkich roślin, motyli, żuków, gniazda ptaków? CPK będzie bardzo dużą konkurencją dla lotniska w Berlinie.

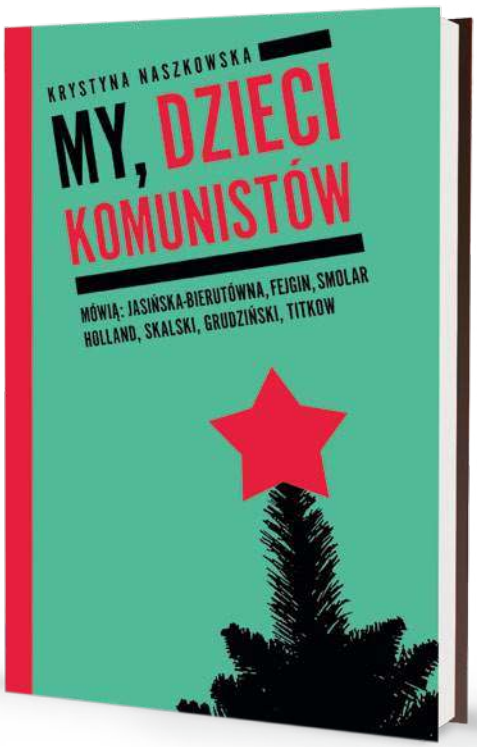
Bardzo prawdopodobne. Dzisiejszy prezydent Warszawy przecież powiedział kiedyś: „Po co nam CPK, jeśli mamy lotnisko w Berlinie". Więcej, jestem przekonany, że do takich protestów dojdzie. Ale to nie będzie jedyna inwestycja, która będzie w najbliższych latach blokowana. Prawdziwa – mówiąc kolokwialnie – zabawa zacznie się wtedy, kiedy rząd postanowi rozpocząć regulację i użeglownienie Odry.

Po co nam Odra, skoro mamy Ren?

I Komisję Europejską, i Parlament Europejski, w których dotychczas karty rozdawały Niemcy. Wszystko zostanie wykorzystane, żeby zablokować te działania. A przecież transport drogą wodną jest bardziej ekologiczny niż tirami.

eprasa.pl fad24d143e

Opowieści z innego świata



„My, dzieci komunistów" to zapis kilku rozmów przeprowadzonych z dziećmi dawnych żarliwych stalinowców. Andrzej Friszke we wstępie do książki pisze, że komunistyczna wiara nie jest dziedziczona. Być może wiara nie, ale wpojony wtedy system wartości na pewno



KONRAD KOŁODZIEJSKI

Żyjemy dziś coraz szczelniej zamknięci we własnych bańkach – politycznej, kulturowej, informacyjnej – zupełnie nieświadomi i niezainteresowani tym, co mówią i myślą ci, którzy znaleźli się po przeciwnej stronie.

Wydana ostatnio książka „My, dzieci komunistów" pozwala – z perspektywy prawicy – nieco zrozumieć ten mechanizm i przy okazji zajrzeć do świata równoległego. Publikacja jest zapisem kilku rozmów przeprowadzonych przez dziennikarkę „Gazety Wyborczej" Krystynę Naszkowską z dziećmi dawnych komunistycznych prominentów. Przy czym jej rozmówcy to – rzecz jasna – ludzie dziś dojrzali, niektórzy wręcz wiekowi – jak choćby Aleksandra Jasińska, córka Bolesława Bieruta. W większości znani i wpływowi, podobnie jak niegdyś ich rodzice – żarliwi komuniści, stalinowcy budujący w Polsce sowiecki system.

Zamysł tej publikacji – nieco podobny do słynnych rozmów Teresy Torańskiej sprzed ponad 30 lat – jest jednak dość szczególny. O ile Torańska chciała pokazać czytelnikowi skazanych na niebyt dawnych stalinowców i próbowała w sposób krytyczny pojąć ich ówczesne motywacje, o tyle Naszkowska stawia sobie inny cel. Przeprowadzone przez nią wywiady są raczej wypowiedzianą ustami jej rozmówców próbą afirmacji – a przynajmniej wytłumaczenia – postaw, które reprezentowali ich rodzice. Tu nie ma bezpośredniego starcia, zajadłych stalinowców oglądamy oczami ich dzieci, co siłą rzeczy łagodzi ich wizerunek, nadaje ich motywacjom ludzki wymiar. Trudno zresztą od kogokolwiek oczekiwać potępienia najbliższej rodziny, choć oczywiście padające w książce oceny są w każdym konkretnym przypadku różnorodne – od pełnej afirmacji po dystans.

Dlatego rozmowy Naszkowskiej nie służą – jak sądzę – rozbiciu żadnej bańki. Przeciwnie, mają ją uszczelnić, dać poczucie moralnej przewagi tym, którym dzisiejsza Polska nie odpowiada, a przywrócone wartości odstręczają. Nie mamy się czego wstydzić za naszych rodziców – to może być główne przesłanie tych rozmów, które zresztą – niekoniecznie dokładnie w tej formie – wielokrotnie pada na łamach książki. Temu też służą rytualne pytania Naszkowskiej, zadawane każdemu rozmówcy, o ocenę dzisiejszej Polski i PiS. Za każdym razem z intencją dowalenia prawicy i wskazania, że obecna Polska to jedynie kontynuacja ponurych wizji Moczara i późnego Gomułki. Kto jak kto – sugeruje Naszkowska – ale dzieci stalinowców potrafią najlepiej wyczuć zapach sowieckiej onucy wydobywający się dzisiaj z gabinetów przy Nowogrodzkiej.

Te dość prymitywne zabiegi dziennikarki nie oznaczają jednak, że przeprowadzone rozmowy są nieciekawe. Choć niekiedy dla czytelnika utożsamiającego się z prawą stroną mogą się wydawać szokujące, niedorzeczne lub – tak też bywa – mocno irytujące. Rozmówcy pomimo swego rodzaju wspólnoty „genealogicznej" są różni, niektórzy z nich chwilami sprawiają wrażenie wręcz niezrównoważonych intelektualnie, inni – przeciwnie – potrafią chłodno, analitycznie,

eprasa.pl fad24d143e

nawet z pewną dozą krytycyzmu, spojrzeć na swoją rodzinną przeszłość.

W tym sensie lektura rozmów jest bardzo pouczająca. Nie rozbija żadnej bańki, ale pozwala na chwilę zajrzeć na drugą stronę, poznać całkiem odmienną rzeczywistość, zrozumieć niektóre praprzyczyny dzisiejszych zaciekłych sporów. To opowieści z innego, równoległego świata, którym rządziły inne zasady i inny system wartości. Wiele wskazuje na to, że ten świat – choć przeszedł wielką metamorfozę – istnieje nadal.

RZECZYWISTOŚĆ RÓWNOLEGŁA

Ten równoległy świat był i jest do dziś niezbyt wielki. A może przeciwnie, jest wielki, ale słabo zaludniony. Jego mieszkańcy mieli bowiem – a ich obecni potomkowie tę cechę najwyraźniej odziedziczyli – poczucie wyobcowania, wykluczenia wręcz.

W wielu rozmowach pojawia się wątek uprzywilejowania: duże mieszkania – nierzadko z gosposią – w reprezentacyjnych dzielnicach, samochody służbowe, sklepy za żółtymi firankami, wyjazdy zagraniczne, znajomości w najwyższych kręgach władzy – to wszystko tworzyło pewną wspólnotę, krąg towarzyski, w niektórych przypadkach – jak na przykład Aleksandry Jasińskiej, która opowiada o zegarku, który wręczył jej na urodziny Tito, mający niemalże charakter klubu „czerwonej arystokracji". W latach 60. wielu rozmówców Naszkowskiej traktowało ten stan rzeczy jako oczywisty i naturalny. Uprzywilejowanie przekładało się zresztą na wszystkie wymiary ich życia, chłopcy i dziewczęta z „ustawionych rodzin" byli bardzo pożądanym towarzystwem, brylowali wśród rówieśników. Nie tylko z przyczyn materialnych, lecz także dlatego, że byli elitą również w znaczeniu kulturowym, zwykle nie dzielili nędznego życia ze swoimi współplemieńcami i wykorzystywali dany im czas i możliwości na lektury, zdobywanie wiedzy, kulturę. To mogło wyzwalać i niekiedy wyzwalało w nich poczucie pychy, przekonanie, że wiedzą lepiej, że lepiej rozumieją świat, że są po prostu lepsi. Jak wynika z rozmów, chyba do dziś niewielu z nich potrafiło sobie z tym przekonaniem poradzić.

Jednocześnie jednak żyli – co wielu przyznaje – w izolacji od otaczającego ich świata. I nie chodzi tylko o przywileje, lub o poczucie przynależności do elity. Chodzi o to, że zostali wychowani w zupełnie innym niż większość społeczeństwa systemie wartości. Gdy opisują lata stalinowskie (przynajmniej ci z nich, którzy je dobrze pamiętają), to darmo jest szukać jakichkolwiek wspólnych doświadczeń z resztą Polaków. Nie ma mowy nie tylko o ubóstwie, lecz również o represjach. A jeśli nawet pojawia się ten wątek, to w formie „trwała wojna domowa" (Aleksandra Jasińska), „trzeba było uważać na leśnych" (Ernest Skalski), „mówiono mi, że mój ojciec pracuje w wojsku. On nigdy nikogo nie uderzył" (Piotr Fejgin).

> To opowieści z innego, równoległego świata, którym rządziły inne zasady i inny system wartości. Wiele wskazuje na to, że ten świat – choć przeszedł wielką metamorfozę – istnieje nadal

Próżno szukać w tych rozmowach wątków religijnych – to akurat zrozumiałe, w końcu mowa o komunistach – choć Ernest Skalski, nie bez pewnego dystansu i cynizmu, wspomina dyskusję w jego szkolnej organizacji ZMP, czy prowadzący zebranie powinien śpiewać pieśni rewolucyjne twarzą do zgromadzonych, czy – przeciwnie – do wiszących na ścianie za jego plecami portretów Bieruta i Rokossowskiego.

W opowieściach brakuje też rodziny. Aleksandra Jasińska, córka Bolesława Bieruta i Małgorzaty Fornalskiej, została oddana na wychowanie babci w Moskwie, gdy miała półtora roku, trafiła nawet potem do domu dziecka (choć trochę lepszego niż zwykłe – jego wychowankami były dzieci Mao i Dolores Ibarruri), ale nie ma tego rodzicom za złe – oni przecież „walczyli o lepszą Polskę", a w tej walce rodzina musi zejść na dalszy plan. Wspomnienia innych są podobne, rodziców ciągle nie było w domu, bo „partia była najważniejsza", zresztą wiele z tych rodzin się rozpadło („matka w końcu wyprowadziła ojca" – Agnieszka Holland).

Oczywiście doświadczenie rozpadu rodziny, zapracowanych rodziców jest i było doświadczeniem wielkiej rzeszy Polaków, nie tylko komunistów. Różnica – jak się zdaje – polega jednak na tym, że jest to zazwyczaj uznawane za patologię, a nie za uzasadnioną obiektywnymi okolicznościami konieczność.



Agnieszka Holland

Fot. Adam Jankowski/REPORTER

Czytając te wspomnienia, trudno oprzeć się wrażeniu, że rozmówcy Naszkowskiej żyli wprawdzie w Polsce, ale był to jakiś równoległy wymiar rzeczywistości, nieprzenikający się albo słabo przenikający się z tym, w którym żyła większość społeczeństwa. Nic dziwnego, że niekiedy czuli się nieswojo. Aleksandra Jasińska wspomina na przykład, że gdy w 1945 r. znalazła się w Warszawie, śpiewała w szkole wraz z kilkoma koleżankami rosyjskie piosenki (wątek rosyjskich piosenek pojawia się też w innych wspomnieniach), ale zostało to źle przyjęte przez innych uczniów, którzy złorzeczyli im po cichu za plecami. Aleksander Smolar na pytanie, czym była dla niego – wtedy dziecka – śmierć Stalina, odpowiada wprost: „To był dramat". A Agnieszka Holland, wówczas pięcioletnia dziewczynka, opisuje swoją sąsiadkę komunistkę, która na wieść o śmierci dyktatora wpadła w taką histerię, że trzeba było wezwać pogotowie. Jednocześnie w przybudówce, gdzie mieszkał prosty dozorca, panowała radość.

To były rzeczywiście różne światy.

PROBLEM Z TOŻSAMOŚCIĄ

W tych dwóch światach istniały dwa różne języki. Aleksander Smolar opowiada o swoim ojcu, który podczas wojny polsko-bolszewickiej 1920 r. radośnie witał w rodzinnym Zambrowie wkraczające oddziały sowieckie i natychmiast przyłączył się, jako przedstawiciel młodzieży, do zorganizowanego w mieście Tymczasowego Komitetu Rewolucyjnego, zalążka przyszłych władz bolszewickich. Potem – już w latach 20. – „w obawie przed represjami" uciekł do Związku Sowieckiego. Na pytanie Naszkowskiej, kim zatem był jego ojciec, Aleksander Smolar odpowiada: „Był polskim patriotą". I choć potem zaczyna się wycofywać z tych słów, czytelnik jeszcze długo nie jest w stanie dojść do siebie.

Ojciec Aleksandra Smolara – Grzegorz (Hersz) Smolar – był zambrowskim Żydem. Gdy weszli bolszewicy, cieszył się, bo po raz pierwszy, przez nikogo niezaczepiany i nieprzeganiany mógł się – jako Żyd – swobodnie przejść główną ulicą. Kwestia żydowskiego pochodzenia pojawia się u Naszkowskiej niemal przy każdym rozmówcy. Niemal, bo oprócz Aleksandry Jasińskiej, wszyscy pozostali mają żydowskie korzenie.

Od dawna toczy się spór na temat uczestnictwa Żydów w ruchu komunistycznym, zwłaszcza w najbardziej brutalnym okresie powojennym. Jedni twierdzą, że Żyd, stając się komunistą, przestawał być Żydem, inni – wręcz przeciwnie – próbują przypisać Żydom odpowiedzialność za zło wyrządzone społeczeństwu zaraz po wojnie. Nie ma sensu wdawać się tu w dyskusję na temat liczby Żydów w aparacie represji PRL, na pewno nie była to – jak chcą niektórzy – większość, choć z pewnością, ci którzy znaleźli się w strukturach partii czy bezpieki zajmowali zwykle eksponowane stanowiska.

Ciekawsze – z punktu widzenia omawianej książki – jest pytanie o żydowską tożsamość. I z tym bywa różnie. Część rozmówców ma do niej obojętny stosunek (Ernest Skalski), część dowiedziała się o swoim żydowskim pochodzeniu w okolicach Marca '68 (Włodzimierz Grudziński), inni z kolei byli jej świadomi zawsze i nigdy się od niej nie odcinali (Aleksander Smolar). Różnie też jest z równoległą tożsamością polską, np. Aleksander Smolar nie odrzuca Polski, ale przyznaje, że nie przepada za określeniem Polak, za to Agnieszka Holland w rozmowie zawsze mówi o sobie jako o Polce.

Komunizm przytępiał żydowskość, ale nigdy jej całkiem nie eliminował. Być może – jak wynika z książki – komunizm był rozpaczliwą próbą asymilacji („Tu nikt nie pytał o twoje pochodzenie"), a gdy okazało się to niemożliwe, wielu powracało do punktu wyjścia. W tym kontekście bardzo ciekawe jest spojrzenie na Marzec '68. Grupa moczarowska, antysemicka, jest określana jako nacjonaliści. Dla większości rozmówców Naszkowskiej moczarowcy to nie byli komuniści, lecz coś zupełnie obcego, coś spoza ich świata. To była dla nich – jak można się domyślić – ekspozytura tradycyjnej ciemnej tłuszczy, która przeniknęła do ich partii, zawładnęła nią i zniszczyła. Mówią zresztą o tym, podkreślając, że działania moczarowców spotkały się – ich zdaniem – z aprobatą społeczną, że Marzec '68 nie był wyłącznie antysemickim przewrotem w partii, lecz zjawiskiem ogólnospołecznym. I niektórzy chętnie przenoszą ten schemat w dzisiejsze czasy, przy czym obecnie spadkobiercami moczarowców ma być „katolicka, endecka prawica" skupiona rzekomo wokół PiS.

Oczywiście trudno się z tym zgodzić. Absurdalność takiej konkluzji pozbawia wielu rozmówców Naszkowskiej intelektualnej wiarygodności i nie pozwala traktować ich słów w kategoriach obiektywnej wiedzy. To jedynie ciekawy zapis stanu ich umysłu.



Aleksander Smolar

Fot. East News/Jan Bielecki



Fot. Mateusz Zehnik

Światła gasną i koniec spektaklu

„Jeśli słowo odchodzi, to muszę odejść i ja". Legendarny komentator sportowy Włodzimierz Szaranowicz przechodzi na emeryturę

„To jest to, co zawsze pragnąłeś robić. [...] Spełnienie Własnej Legendy jest jedyną powinnością człowieka. [...] I kiedy czegoś gorąco pragniesz, to cały wszechświat sprzyja potajemnie twojemu pragnieniu" – pisał Paulo Coelho w „Alchemiku". Włodzimierz Szaranowicz jest spełnioną legendą, legendą dziennikarstwa sportowego. W 70. urodziny postanowił się rozstać z kamerą i mikrofonem. – Jeśli słowo odchodzi, to muszę odejść i ja – powiedział w wywiadzie udzielonym Jerzemu Chromikowi na sport.tvp.pl.

Szaranowicz żegna się z pracą dziennikarską ze względu na chorobę. Gdyby nie ona, pewnie dalej czarowałby nas piękną polszczyzną, fantastycznym głosem, świetną znajomością sportu i ciekawymi przemyśleniami oraz spostrzeżeniami.

– W telewizji tak długo żyjesz, dopóki się w niej pokazujesz. Schodzisz z ekranu i kończy się twoja kariera. Musisz się pożegnać z tym, co było. Tego już nie będzie, nieodwołalnie, trzeba to przyjąć po prostu jako pewnik, nie próbować się oszukiwać, że jeszcze kogoś zaskoczysz, oślepisz swoim nadmiernym blaskiem. Światła gasną i koniec spektaklu – przyznał Chromikowi.

Od 2015 r. jego stan zdrowia zaczął się pogarszać. – Dziwnie ostatnio się czuję. Od dwóch lat. Nagle zacząłem wolniej kojarzyć, nie znosiłem stresu, uciekałem przed nim. To się nie łączyło z życiem dziennikarskim, które mnie regenerowało, tylko z tym życiem dyrektorskim – wyznał Chromikowi.

Nie zdradził, o jaką chorobę chodzi. Można się tylko domyślać, bo sięgnął po książkę „Poradnik dla osób z chorobą Parkinsona". – Pierwszą reakcją było przeczytanie takiego podręcznika, który wydał Kuba Sienkiewicz. On jest lekarzem neurologiem, oprócz tego, że jest znakomitym piosenkarzem i poetą. Teraz nie chcę wiedzieć, jak się to będzie rozwijało – powiedział w tej rozmowie.

Mimo to jego odejście z telewizji było niespodziewane. – Po 43 latach pracy trzeba się zachować racjonalnie. Nie ma co przeciągać i pozostać w pamięci widzów nieco gorszym, niż mogło się być i było. Więc to jest decyzja ze wszech miar przemyślana i nieodwołalna – zapewnił „Szaran" dziennikarza „Super Expressu".

Dla niego to ogromna zmiana. Dotychczas to on zadawał pytania, a teraz pytają jego. To także świadczy o tym, jak był lubiany i szanowany.

WZÓR I IDOL

Każdy początkujący dziennikarz ma swoich idoli. Rozpoczynając pracę w telewizji 26 lat temu, marzyłem, by komentować mecze piłkarskie. Chciałem rozbudzać emocje jak Jan Ciszewski, mieć siłę oraz zdrowie jak Maciej Biega, głos Dariusza Szpakowskiego, a także posługiwać się językiem polskim jak Włodzimierz Szaranowicz. A w tej kwestii „Szaran" jest mistrzem. Zasób słownictwa, składnia, skojarzenia pozwoliły mu zaskarbić sobie sympatię odbiorców, najpierw radiowych, a później telewizyjnych. Dla dzisiejszych dziennikarzy jest wzorem, żywą legendą, mistrzem, a dla polskich kibiców jednym z najlepszych w historii komentatorów sportowych.

– Włodek to legenda. Jak są legendy w skokach, w sporcie tak on jest legendą w komentowaniu. Chapeau bas, tyle mogę zrobić. Towarzyszył mi od samego początku, pamiętam wszystko, choć może czasem przez mgłę. Pamiętam moje ostatnie momenty kariery sportowej, jego łzy w oczach i załamanie

eprasa.pl fad24d143e

głosu. Później oglądając to, sam płakałem – zdradził na antenie TVP Sport nasz były mistrz, a obecnie dyrektor-koordynator od skoków i kombinacji narciarskiej w Polskim Związku Narciarskim Adam Małysz.

„Na górze jest już Adam Małysz. Oczekiwanie wielkie. Królu Holmenkollen! Przypomnij sobie najlepsze loty! Te fantastyczne pięć zwycięstw. Cztery zwycięstwa na mistrzostwach świata! Adam Małysz! Po medal! Po radość dla Polaków dzisiaj wszystkich! Daleko, jest pięknie, jest medal! Już nie będzie Adama Małysza na następnych mistrzostwach świata. Pożegnanie Adama Małysza z mistrzostwami świata... Sześć medali: cztery złote, jeden srebrny, jeden brązowy, tu zdobyty jeszcze. Kilkanaście lat startów. Fenomen sportowy. Powtarzalność sukcesów przez lata, przez dekadę, a przecież pierwsze zwycięstwo w Holmenkollen odniósł tu, na tej skoczni jako 18-latek i było to przecież 15 lat temu. Coś niewiarygodnego! Co tydzień siadaliśmy jak do telenoweli, żeby właśnie oglądać tę rywalizację. Fenomen socjologiczny! Ileż rzeczy można było mu przypisać podczas tej kariery? Że można w życiu wygrać ewidentnie bez układów. Że jest człowiekiem rzetelnym, solidnym, posłańcem wielkich wiadomości, wielkiej nadziei. Zaczynał jako idol kryzysowy, który miał nas prowadzić jako ambasador wspaniałego skoku cywilizacyjnego do Europy. Fenomen społeczny. Przecież my dzięki tym transmisjom żyliśmy życiem zastępczym. Był powodem ogromnej zbiorowej radości. Dał nam wiele. Bardzo wiele... Mam nadzieję, że z tych młodych chłopaków, którzy dzisiaj mają aspiracje, którzy oglądali Adama na całym świecie, jak mistrz świata Gregor Schlierenzauer, który powiedział, że Adam go natchnął. Że uwierzą, że nie zmarnujemy tego fenomenu, jaki się stworzył przy oglądaniu skoków. Tego fenomenu popularności – 14,5 miliona, rekordowa telewizyjna widownia, kiedy zdobywał srebrny medal w Salt Lake City. 13 przeszło milionów – Puchar Świata w Zakopanem. To jego ostatnie zwycięstwo i ta wielka radość nas, ludzi, którzy go oglądaliśmy. Państwo przed ekranami krzycząc, skacząc... Ja także krzycząc, skacząc... Po prostu... Było pięknie i coś się niewątpliwie zamknęło, ale miejmy nadzieję, że w sporcie będzie jakaś próba kontynuacji. Małyszomanii już nie będzie nigdy. Natomiast ważne, żeby były sukcesy sportowe i żeby coś po Adamie trwałego, bardzo trwałego, zostało. Dziękujemy Ci bardzo, Adam! Dziękuję Państwu. Do usłyszenia" – tak pięknie Szaranowicz podsumował karierę Adama Małysza, łamiącym się i wzruszonym głosem.

Wpadki

Każdy komentator, nawet najlepszy, miał wpadki na antenie. Szaranowicz też ich się nie ustrzegł.

- *Dwa razy bardzo dobrze obudził się Tomczyk.*
- *A potem Belgowie, nie wiem, gdzieś się chyba zadowolili.*
- *Boris Becker ze względów podatkowych postanowił wyjechać do USA, w czym poparła go jego ciemna żona.*
- *Bramkarz Primorje nic nie wiedział o nowym systemie kredytowania u nas, a puścił bramkę na raty.*
- *Crouch wygląda na paralityka, ale podobno sporo ćwiczy.*
- *Dość mocno mu przywalił, ale to są na razie pieszczoty.*
- *Jęk zawodu na trybunach, zupełnie jakby torreador nie trafił w byka.*
- *Makijaż ma przykryć tremę albo inne jeszcze problemy kobiecej urody...*
- *Prawie z samych nóg składa się ta zawodniczka.*
- *To nie te czasy, kiedy okiem trenera można powiedzieć...*
- *Zawodnik ten jednak zaczął spadać w sposób balistyczny.*

GRAŁ NA EMOCJACH

Szaranowicz potrafił wyciskać łzy kibicom przed telewizorem. Nie raz, nie dwa, ale zawsze, gdy polscy sportowcy zdobywali medale. Tak było chociażby w Pjongczangu, gdy Kamil Stoch zdobywał trzecie w karierze mistrzostwo olimpijskie.

„Trzeba skoczyć rzeczywiście tak daleko. 139, 140. Wstajemy, bo zaczyna się tu robić nerwowo. Siedzi spokojnie na ławce. On nieraz wygrywał już takie końcówki. To jest mistrz, to jest doświadczony zawodnik. Teraz popatrzmy, co się będzie działo. A więc w powietrze. Ładnie wyszedł. Leć daleko. Góra, góra, góra. I jest. Medal jest. Teraz wszystko się będzie ważyć. Czy jest złoto. Wellinger czeka, ile było. Pół metra zabrakło. Może nie zabraknie. Uff. Metra chyba zabrakło. Niczego nie zabrakło, bo jest medal. Po prostu to się wszystko za chwilę wyjaśni. Srebro czy złoto. To jest niby taka niewielka różnica, ale jakże istotna. Dwukrotny mistrz olimpijski z Soczi. Czy Wellinger, czy trzeci tytuł dla Stocha? Co? Jest, jest, jest! Proszę państwa, zwariować można, jakie to jest piękne. A więc mamy trzeci tytuł, proszę państwa, trzeci tytuł mistrza olimpijskiego. Wygrał o ile? O 3,4. Aha, ha. Ależ jest teraz dumny, ależ jest teraz piękny, wyniosły, godny. Tak właśnie walczył, w piękny sposób. Brawo Stefan, dzięki za wszystko. Wspaniały trenerze, wspaniały człowieku mobilizowałeś tą świetną grupę młodych Polaków do walki, wielkiej walki o tytuły. I teraz Kamil Stoch został mistrzem olimpijskim po raz trzeci" – opowiadał, płacząc.

Kibice byli zauroczeni komentarzem. Na forach internetowych oddawali mu hołd.

„Pan Szaranowicz legenda – jak dla mnie najlepszy polski komentator w historii. I to wzruszenie, którego nie krył, zresztą już nie pierwszy raz. Ile to razy człowiek zasiadał na kanapie przed swoim telewizorem i, słuchając komentarza pana Włodzimierza, przeżywał najpiękniejsze chwile czy to w skokach, czy w lekkiej atletyce".

„On nie udaje. Jego zachowanie jest tak autentyczne, a radość tak namacalna, że udziela się wszystkim wokół".

„Widać pasję, zaangażowanie, emocje, wzruszenie i to, że komentator czuje wielką miłość do skoków!".

„Ostatnio Szaranowicz płakał i złamał głos, gdy żegnał transmisją Małysza,

eprasa.pl fad24d143e

jedne z piękniejszych słów. Teraz znowu. To dużo mówi. Wspaniały komentator. To głównie on towarzyszył i towarzyszy nadal pięknym karierom Adama, Kamila i również naszej cudownej drużyny. Włodek też miałby złoto, gdyby dla komentatorów były medale".

ERUDYTA I ZNAWCA

Komentował chyba wszystkie dyscypliny, bo jako absolwent warszawskiej AWF miał bardzo szeroką wiedzę o sporcie. Sam był koszykarzem, uzyskał nawet dyplom trenera drugiej klasy. Na AWF był spikerem na meczach koszykówki, siatkówki i piłki ręcznej. Sportową karierę zakończył w wyniku wypadku podczas jazdy na nartach. Lekarze chcieli mu amputować nogę. Goiła się trzy lata. Zrost zaczął następować dopiero po upadku ze schodów i ponownym złamaniu. Później często doznawał kolejnych kontuzji, do wyczynowego sportu nigdy nie powrócił.

– Sport to było całe moje życie, miałem większą wiedzę od ludzi, którzy nie uprawiali sportu. Byłem na iluś tam obozach sportowych, grałem w koszykówkę na zapleczu pierwszej ligi, jestem po studiach specjalistycznych, które w tamtym czasie miały znakomitych nauczycieli. Akurat trafiłem na ten najlepszy okres Akademii Wychowania Fizycznego. To jest na pewno moją przewagą, której nigdy nie eksponowałem. To jest kwestia na przykład oglądania dowolnego sportu i wyczucia, który moment był kluczowy dla przebiegu widowiska – zdradza Chromikowi.

Pożegnanie w Pjongczangu

Igrzyska olimpijskie w Pjongczangu były dla Szaranowicza ostatnie. Komentator ogłosił swą decyzję po drużynowym konkursie skoków. Olimpijską przygodę z mikrofonem rozpoczął w Moskwie w 1980 r. Relacjonował 19 igrzysk (dziewięć letnich i 10 zimowych). – To były moje dziesiąte zimowe igrzyska olimpijskie i po nich przyszedł czas pożegnania. Mam już następcę, który będzie niósł to wszystko na swoich barkach, wszystko, co było udziałem starszej generacji dziennikarskiej. Dziękuję – powiedział w ostatnim komentarzu z igrzysk legendarny spiker.

A tak wówczas żegnali go dziennikarze:

„Nigdy nie będzie takiego lata" – śpiewały Świetliki. A ja dodam, że już nigdy nie będzie takiej zimy. »Szaran« pożegnał zimowe igrzyska i już czuć pustkę. Odchodzi legenda, wielka osobowość dziennikarstwa sportowego. Jacek Kurowski, TVP

Jakoś dziwnie będą wyglądały igrzyska za cztery lata bez Szaranowicza. Dla mnie to głos skoków narciarskich, wielka postać naszego sportu i, a może przede wszystkim, człowiek z wielką klasą. Kamil Wolnicki, „Przegląd Sportowy"

Najbardziej wzruszający moment dzisiejszego dnia igrzysk to pożegnanie Włodzimierza Szaranowicza. Panie Włodku, dzięki za wszystkie niezapomniane chwile, za wielkie emocje, wspólne radości i smutki. Robota na medal. Złoty medal. Andrzej Twarowski, Canal+

Planował rozpoczęcie kariery naukowej i popularyzowanie wiedzy o historii sportu. Zamiast tego dwukrotnie wyjeżdżał do Szwecji, a także do Anglii. Pracował jako sprzedawca obrazków, sprzątacz w parku zabaw i barman. Ale został komentatorem sportowym. I bardzo dobrze...

ZACZYNAŁ ZE SZPAKOWSKIM

W 1976 r. razem z Dariuszem Szpakowskim i Henrykiem Urbasiem został przyjęty na etat w Polskim Radiu, gdzie pracowała już jego matka. Ich nauczycielami byli Bohdan Tomaszewski i Bogdan Tuszyński, wymowy uczył ich Gustaw Holoubek.

– Gdy odeszli Tomaszewski i Tuszyński, uznaliśmy z Darkiem, że pewna era się kończy. Telewizja wydawała nam się fajniejszą zabawą, ciekawszą i dającą większą popularność. Byliśmy młodzi i był to dla nas powab – wspomina Szaranowicz w wywiadzie udzielonym Michałowi Fabisiakowi na portalu Moja Figura.

I tak zaczęła się wielka przygoda Włodka z telewizją. Był uwielbiany przez kibiców, szanowany przez kolegów po fachu. Wiedział też, kiedy zejść ze sceny. Pewnie jeszcze długo komentowałby swoją ukochaną lekkoatletykę, dawał wiele radości podczas transmisji skoków narciarskich i innych dyscyplin, ale choroba kazała mu powiedzieć: pas. Zapamiętam Włodka jako wielkiego profesjonalistę, świetnego komentatora, sympatycznego człowieka oraz... jego mruganie oczami podczas rozmów.

– Najbliższe plany? Chciałbym jeszcze te moje ostatnie lata przeżyć szczęśliwie, w rodzinnym gronie – powiedział Szaranowicz. Cały Włodek.

Maciej Rowiński

Zwierzenia

Gina Lollobrigida była dla mnie kobietą absolutnie piękną i doskonałą. Wydawało mi się, że nie ma piękniejszej kobiety i na tym zamknąłbym swoje stare wspomnienia… – odpowiedź na pytanie o ideał kobiety (Gala.pl).

Wpadek nie rejestruję. Nie uprawiam tego zawodu dla wpadek. Inni rejestrują je na pewno bardzo uważnie, więc ja już na szczęście nie muszę się tym zajmować – Aktywni.pl.

Z pochodzenia jestem Czarnogórcem, więc mógłbym sympatyzować z drużyną Serbii, ale już jako dzieciak kibicowałem Hiszpanom. Pewnie z sympatii do wielkiego Realu Madryt z Alfredo di Stefano w składzie – odpowiedź na pytanie, komu będzie kibicował podczas mistrzostw świata w RPA 2010 r („Metro").

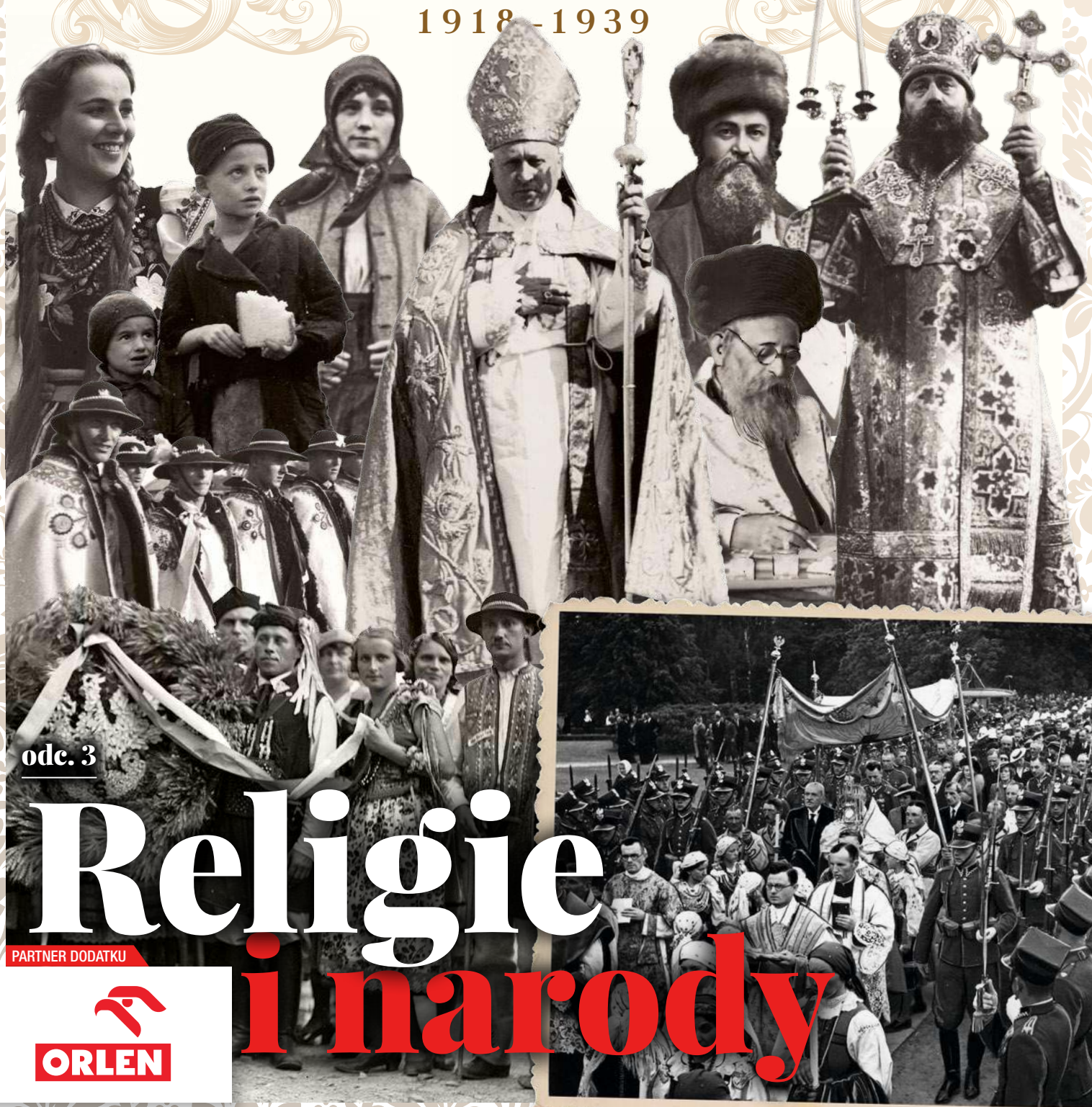
eprasa.pl fad24d143e

SIECI

SUKCESY

XX-lecia międzywojennego

1918-1939



odc. 3

Religie i narody

PARTNER DODATKU
ORLEN

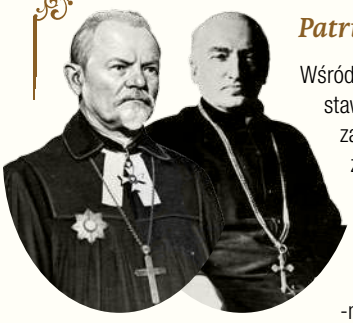
eprasa.pl/ad24d143e

Polski tygiel

II Rzeczpospolita była państwem zarówno wielonarodowym, jak i wieloreligijnym. Z dzisiejszej perspektywy, gdy Polska jest jednolita etnicznie i wyznaniowo, konstrukcja młodego niepodległego państwa wydaje się co najmniej ryzykowna. Przed wiekiem Polacy stanowili zaledwie około 2/3 ludności Rzeczypospolitej!



eprasa.pl/fad24d143e



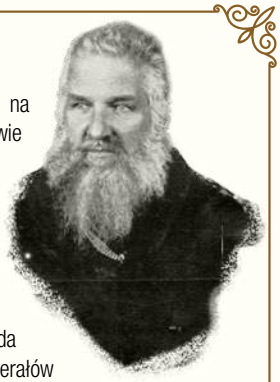
Patrioci niekoniecznie rzymskokatoliccy

Wśród duchownych różnych obrządków były postacie, których postawa była jednoznacznie patriotyczna, choć ich korzenie nie zawsze były polskie. Zalicza się do nich z pewnością związany z ziemią cieszyńską pastor Juliusz Bursche (na zdj. po lewej), głowa największego protestanckiego wyznania w II RP, czyli Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego. Pochodził z niemieckiej rodziny, ale nieugięcie potępiał dążenia części swoich kolegów po fachu do rewizji granicy polsko-niemieckiej i rozwój ideologii nazistowskiej, która uwodziła tysiące Niemców żyjących na terenie Polski. Ostatecznie został zamęczony w 1942 r. w hitlerowskich kazamatach w Berlinie. Z kolei rok przed wybuchem wojny powodem do żałoby narodowej okazała się śmierć arcybiskupa Józefa Teodorowicza (na zdj. po prawej), który sprawował pieczę nad katolikami obrządku ormiańskiego. Urodził się w ormiańskiej spolonizowanej rodzinie i przez całe życie był związany ze Lwowem, dbając o wspaniałą katedrę Ormiańską, która po włączeniu miasta do powojennej Ukrainy została zamieniona na... magazyn galerii sztuki. Po upadku komunizmu i ciągnącej się latami batalii z władzami Ukrainy szczątki księdza Teodorowicza trafiły na jedyne należne im miejsce – Cmentarz Obrońców Lwowa, a katedra znów zaczęła pełnić swoją funkcję.

Kształt granic II RP rodził się w wojennym znoju – ostatecznie terytorium Polski objęło tereny, których skład ludnościowy był jasnym sygnałem, że życie we wspólnym domu nie będzie przypominać sielanki. Kresy Wschodnie (rozumiane w najszerszym kontekście, jako ziemie na wschód od wytyczonej w 1920 r. linii Curzona, której autorem był w rzeczywistości Ludwik Niemirowski) na południu zaludnione były przede wszystkim przez Ukraińców z rozbudzoną świadomością narodową, a w centralnej i północnej części przez Białorusinów, których tożsamość w ówczesnym czasie była rozwinięta w ograniczonym stopniu, a także tzw. tutejszych, czyli ludzi nieczujących tak naprawdę żadnej przynależności narodowej. „Tutejsi" posługiwali się swoim własnym językiem chachłackim – hybrydą polskiego, ukraińskiego, białoruskiego i rosyjskiego, który po dziś dzień można usłyszeć nad Bugiem. Część Ukraińców i Białorusinów z sympatią zerkała w stronę ZSRR, a to wykluczało w owych środowiskach wierność wobec polskiego państwa (Komunistyczna Partia Zachodniej Białorusi Mikołaja Orechwy i Komunistyczna Partia Zachodniej Ukrainy Osipa Kriłyka). Na północnym wschodzie liczni byli także Litwini, po zajęciu Wileńszczyzny niekoniecznie przyjaźnie nastawieni do polskich władz, a na Pomorzu, Śląsku i w Wielkopolsce ostała się spora mniejszość niemiecka, która z tęsknotą patrzyła na rząd w Berlinie. II RP była także największym, po Stanach Zjednoczonych, skupiskiem Żydów, a sama Warszawa była drugą najliczniejszą gminą żydowską na świecie po Nowym Jorku. Do tego pejzażu warto dodać jeszcze góralskie grupy etniczne kojarzone z Ukraińcami (Łemkowie, Bojkowie, Huculi), Czechów, Słowaków, Ormian, Tatarów czy Rosjan.

Ta etniczna mozaika bardzo często pokrywała się z podziałami religijnymi. Ówczesne społeczeństwo było niemal w całości wierzące, a wyznanie miało poza wymiarem duchowym również znaczenie właśnie narodowe. Polacy byli tradycyjnie w znakomitej części katolikami, natomiast Niemcy przede wszystkim protestantami. Kościół greckokatolicki był siłą narodowotwórczą wśród Ukraińców, choć ci mieszkający na Wołyniu byli przeważnie prawosławni. Również prawosławie wyznawali z reguły Białorusini, choć wśród „tutejszych" nie brakowało katolików ani unitów. Żydzi, mówiący na co dzień zarówno w jidysz, jak i po polsku, byli rzecz jasna wyznania mojżeszowego. Nad porządkiem religijnym w II RP czuwało Ministerstwo Wyznań Religijnych i Oświecenia Narodowego, a konstytucja

O wolną Ukrainę



Niewątpliwie jednym z najważniejszych czynników wpływających na kształtowanie się tożsamości narodowej Ukraińców w pierwszej połowie XX w. był Kościół greckokatolicki ze swoim charyzmatycznym przywódcą arcybiskupem lwowskim Andrzejem Szeptyckim (na zdj.). Od początku swojej działalności widział w unickiej religii drogę do zjednoczenia Ukraińców, przez co z jednej strony miał problematyczne kontakty z duchownymi prawosławnymi, a z drugiej był traktowany jako element co najmniej podejrzany przez hierarchów katolickich i władze II RP. Mozaikę etniczno-religijną tamtych czasów niech odda to, że brat Andrzeja, Stanisław, był jednym z najznamienitszych generałów polskiego wojska, patriotą opracowującym plany obrony Warszawy przed bolszewikami, a w czasie przewrotu majowego przeciwnikiem Józefa Piłsudskiego. Biskup Szeptycki, jako ukraiński działacz narodowy, odżegnywał się od terrorystycznych metod UWO i OUN, ale w trakcie wojny nie potępił jednoznacznie rzezi dokonywanych przez banderowców spod znaku UPA i nie sprzeciwiał się wstępowaniu Ukraińców w szeregi SS-Galizien. Jego dziwaczny stosunek do Hitlera, a później umizgi w stronę Stalina włączającego Kresy Wschodnie w skład powojennej Ukrainy, są moralnie dwuznaczne. Nie ma powodów wątpić, że jego celem nieustannie była budowa niezależnego państwa dla Ukraińców. Jak pokazała historia, tego celu osiągnąć się nie udało.

Fot. NAC x3, Biblioteka Narodowa

eprasa.pl/fad24d143e

marcowa przyznała katolicyzmowi pozycję primus inter pares, czyli „naczelne stanowisko wśród równouprawnionych wyznań".

Władze II RP na przestrzeni lat zachowywały się wobec mniejszości w sposób bardzo zróżnicowany. Początkowo ścierały się dwie przeciwstawne koncepcje. Józef Piłsudski był zwolennikiem idei federacyjnej, wedle której Polska miała na Kresach Wschodnich stworzyć wspólny blok z niezależnymi Litwą, Białorusią i Ukrainą. Owa federacja miała stanowić bufor wobec komunistycznej Rosji. Z kolei Roman Dmowski i endecy skłaniali się ku koncepcji inkorporacyjnej, która głosiła pełną asymilację mniejszości z polskim narodem, a także „pozbycie się" z terytorium państwa tych, których asymilacja była w zasadzie niemożliwa (Żydzi, Niemcy). Pokój ryski kończący wojnę z bolszewikami w praktyce pogrzebał obydwie te idee. Istnienie niepodległych Ukrainy i Białorusi, po podziale ich terytoriów pomiędzy Polskę i Rosję, stało się niemożliwe, tak więc federacja powstać nie mogła. Z kolei włączone do II RP tereny Kresów Wschodnich miały w dużej części przewagę ludności niepolskiej, co wykluczało skuteczną polonizację leżącą u podstaw założeń Dmowskiego. Tym samym polityka wobec mniejszości kształtowała się zależnie od zmieniających się okoliczności, co nie zawsze było źródłem sukcesów.

Zdecydowanie najbardziej problematycznie przebiegało pożycie Polaków i Ukraińców na Kresach Wschodnich, których w ponad 30-milionowej Polsce żyło około 5 mln. Od początku kością niezgody był status Małopolski Wschodniej. Największą i stosunkowo ugodowo nastawioną wobec państwa partią owej mniejszości było Ukraińskie Zjednoczenie Narodowo-Demokratyczne UNDO Dmytra Łewkickiego i Wasyla Mudrego. Ukraińskim hasłom niepodległościowym towarzyszyło poszanowanie dla władzy i niechęć wobec rodzimych nacjonalistów, a po zbrodni Wielkiego Głodu dokonanej przez Stalina na radzieckiej Ukrainie, również dążenie do zawarcia kompromisu z polskim rządem. Ugoda polsko-ukraińska z 1935 r. miała unormować stosunki narodowe w duchu wzajemnego poszanowania, ale z jej realizacją bywało różnie. Po stronie polskiej bardzo pozytywnie zapisała się postać Henryka Józewskiego, odpowiedzialnego za tzw. eksperyment wołyński – jako wojewoda na Wołyniu wprowadził wiele rozwiązań mających na celu pokojowe współistnienie obydwu narodów, co w pewnej części się powiodło (podobne próby podejmował wojewoda lwowski Piotr Dunin-Borkowski). Terroryzm ukraińskich nacjonalistów i endecka radykalizacja obozu piłsudczykowskiego po śmierci Marszałka wiele z dokonań Józewskiego podkopała. Niemniej, pomimo nieporozumień i dysproporcji finansowych wynikających m.in. z polskiego osadnictwa wojskowego na Kresach Wschodnich, Ukraińcy dość swobodnie mogli rozwijać życie kulturalne i społeczne, czego przykładami są

Czas cygańskich królów

II RP zamieszkiwało około 30 tys. Romów, którzy tworzyli społeczność niejednorodną, podzieloną wewnętrznie pod względem etnicznym i językowym. Chęć odgrywania przewodniej roli zgłaszali Kełderasze, prawosławni wędrowcy przybyli do Polski z okolic Mołdawii w XIX w. Ich ambicje niekoniecznie odpowiadały żyjącym w Polsce od wieków, liczniejszym i wyznającym katolicyzm Cyganom Nizinnym (Polska Roma) i Wyżynnym (Bergitka Roma), co musiało prowadzić do napięć. Największe związane były z walką o dominację nad polskimi Romami, do której prawa rościła sobie rodzina Kwieków spod Krakowa. Jej kolejni przedstawiciele, w porozumieniu z polskimi władzami, tytułowali się jako „królowie cygańscy", a ich koronacje odbywały się m.in. na Stadionie Wojska Polskiego z pompą godną prawdziwych dynastii. Kwiekowie marzyli, czerpiąc inspiracje od syjonistycznych Żydów, o końcu tułaczki i stworzeniu etnicznego państwa romskiego – jego miejsca na mapie upatrywali w Afryce, szczególnie łakomie zerkając w stronę Egiptu, gdyż uważali się za potomków faraonów. Wszystkie te plany wniwecz obrócił Porajmos, czyli romski odpowiednik Holokaustu. Poza tym z Romami na arenie międzynarodowej mało kto się liczył.



Protoprezbiter Kościoła prawosławnego Teodorowicz błogosławi nowo wybranego króla Cyganów Janusza Kwieka

Fot. NAC

eprasa.pl/fad24d143e

Wielka Synagoga w Warszawie



Gdy otwierano ją w 1874 r. w święto Rosz ha-Szana, czyli żydowski Nowy Rok, świątynia przy Tłomackiem była największą synagogą na świecie – modlić w niej mogło się ponad tysiąc mężczyzn i drugie tyle kobiet. Przez lata była centrum życia największej europejskiej gminy żydowskiej i stolicą judaizmu reformowanego, stojącego w opozycji do obrządku ortodoksyjnego. Gdy Samuel Poznański, kaznodzieja z Wielkiej Synagogi, miał zostać w roku 1921 mianowany naczelnym rabinem Warszawy przez Zarząd Gminy Żydowskiej, doszło do rozruchów pomiędzy reformatorami a ortodoksyjnymi chasydami, którym przewodził legendarny cadyk z Góry Kalwarii Abraham Mordechaj Alter. Schedę po zmarłym niedługo później Poznańskim przejął syjonista Mojżesz Schorr, który kierowanie Wielką Synagogą łączył z funkcją polskiego senatora. Schorr zmarł w radzieckim łagrze po pojmaniu przez NKWD w czasie II wojny światowej, z kolei po stłumieniu powstania w getcie warszawskim Wielka Synagoga została wysadzona w powietrze przez niemieckiego zbrodniarza Jürgena Stroopa. Obecnie na jej miejscu stoi wieżowiec, którego budowa trwała niemal trzy dekady – jak głosi legenda, wszystko z powodu objęcia powstającego budynku klątwą rabinów niezadowolonych z bezczeszczenia świętego miejsca.

prężnie działająca organizacja oświatowa Proświta czy prasa wydawana w języku ukraińskim ze lwowskim „Diłem” na czele.

Białorusini i „tutejsi” byli grupą ok. dwumilionową, skupioną przede wszystkim na Polesiu, Grodzieńszczyźnie, Podlasiu i Wileńszczyźnie. W znakomitej większości byli to chłopi, którzy bardzo szybko poparli bolszewizującą Białoruską Włościańsko-Robotniczą Hromadę z Bronisławem Taraszkiewiczem na czele. Na całe szczęście, ze względu na umiarkowany kurs polityki władz wobec Białorusinów i niższą niż u Ukraińców świadomość narodową, mniejszość ta nigdy nie posunęła się na zamieszkanych przez siebie terenach do aktów terroru będących codziennością w południowej części Kresów. Niemcy, zamieszkujący tereny wchodzące dawniej w skład II Rzeszy, byli mocno związani z berlińskim rządem i poglądem, iż prędzej czy później Polska zniknie z mapy Europy, a Śląsk czy Pomorze wrócą do niemieckiej macierzy. Nieuchronnie wpływ na Niemców zyskały partie nazistowskie: Zjednoczenie Niemieckie Hansa Kohnerta, Partia Młodoniemiecka Rudolfa Wiesnera czy Niemiecki Związek Ludowy Otto Ulitza, których członkowie w trakcie kampanii wrześniowej bynajmniej nie okazali się wiernymi obywatelami państwa polskiego. Problematycznie przedstawiała się sytuacja mniejszości litewskiej i czeskiej, a to ze względu na spory terytorialne pomiędzy II RP a Republiką Litewską i Czechosłowacją.

3 mln polskich Żydów skupionych było przede wszystkim w środowiskach wielkomiejskich (Warszawa, Łódź, Lublin, Lwów) i małych miastach wschodniej Polski, tzw. sztetlach. Żydzi byli wyznawcami judaizmu z bardzo silnie rozwiniętym poczuciem odrębności kulturowej, tworzyli w miastach kahały, czyli autonomiczne gminy, byli dobrze wykształceni i dominowali w handlu i wolnych zawodach. W wielu przypadkach bycie Żydem i Polakiem jednocześnie miało pełną rację bytu, a polska inteligencja w znacznej części miała rodowód żydowski. Żydowskie teatry i literatura rozwijały się bez żadnych przeszkód, powstawały nawet filmy w języku jidysz – najsłynniejszym pozostaje „Dybuk” w reżyserii Michała Waszyńskiego z 1937 r. Problemem dla społeczności żydowskiej była popularność endeckich ideałów, wedle których Żydzi powinni w całości z Polski wyemigrować, choć należy zaznaczyć, że dopiero u schyłku II RP polskie władze zaczęły ową ideologią przesiąkać. Żydzi byli bardzo aktywni politycznie, a najmocniejszymi ruchami wewnątrz mniejszości był syjonizm głoszący postulat stworzenia żydowskiego państwa

Fot. Laski Diffusion/East News

eprasa.pl/fad24d143e



Książę Niezłomny

Bohater interpretacji hiszpańskiego dramatu dokonanej przez Juliusza Słowackiego to ideał sługi Bożego i obrońcy wiary. Nic dziwnego, że tytuł dzieła polskiego wieszcza jak ulał pasuje do postaci Adama Stefana Sapiehy, członka magnackiego rodu książęcego, potomka wielkiego kanclerza litewskiego Lwa z przełomu XVI i XVII w. Przed odzyskaniem niepodległości ksiądz Sapieha był odpowiedzialny za sprawy polskiego Kościoła w Watykanie, później został biskupem krakowskim. Jego poglądy były nieprzejednane – m.in. występował przeciw Legionom Polskim Piłsudskiego w obawie o ich socjalistyczną proweniencję, skonfliktował się również z późniejszym papieżem Piusem XI. W II RP potępiał sanację za przebieg wyborów brzeskich w 1930 r., a jako strażnik świętości Wawelu wywołał „konflikt wawelski", przenosząc zwłoki Józefa Piłsudskiego bez pozwolenia władz z jednej krypty do drugiej. Przez cały czas intensywnie rozwijał działalność charytatywną polskiego Kościoła (a jego brat, Paweł, założył Polski Czerwony Krzyż) i rozszerzał zasięg Akcji Katolickiej. Prawdziwy test przyszedł podczas wojny i krótko po niej, kiedy został faktycznym przywódcą Kościoła, opierał się niemieckiemu i sowieckiemu okupantowi oraz wspierał działalność polskich organizacji niepodległościowych. To Sapieha jeszcze przed wybuchem II wojny światowej dostrzegł potencjał drzemiący w pewnym młodzieńcu z Wadowic, którego następnie nauczał w podziemnym seminarium, a później wyświęcił na kapłana. Jan Paweł II, wspominając postać swojego mentora, określał go właśnie mianem „księcia niezłomnego".

w Palestynie (Poalej Syjon, Organizacja Syjonistyczna), socjalizm (Powszechny Żydowski Związek Robotniczy „Bund"), religijna ortodoksja (Agudat Israel) i ludowcy zwani fołkistami. Znakomitym organizatorem okazał się Izaak Grunbaum, który wespół z politykami niemieckimi, ukraińskimi i białoruskimi założył Blok Mniejszości Narodowych, który wspólnymi siłami wprowadzał spore liczby posłów reprezentujących mniejszości do polskiego Sejmu.

Kościół katolicki był w okresie zaborów nośnikiem polskiej tożsamości i po odzyskaniu niepodległości siłą rzeczy stanowił jedną ze składowych polskości, rozumianej jako jedność narodowa osnuta wokół historii i wartości. Podstawą funkcjonowania Kościoła katolickiego był konkordat z 1925 r., wedle którego instytucja ta zyskiwała na terenie II RP sporą swobodę działania, ale jednocześnie Watykan uznawał granice niepodległego państwa, dostosowując do nich obszar poszczególnych diecezji. Kluczowymi postaciami dla polskiego Kościoła byli prymas August Hlond, głoszący nierozerwalność Kościoła i narodu, kardynał Aleksander Kakowski, inicjator powstania Caritasu, czy biskup krakowski Adam Sapieha, orędownik działania Akcji Katolickiej, która szeroko angażowała świeckich w życie Kościoła. Warto odnotować, że już od 1918 r. działała wyższa uczelnia katolicka na terenie Lublina – istniejący po dziś dzień Katolicki Uniwersytet Lubelski. Trzeba przyznać uczciwie, że Kościół katolicki w pełni korzystał z przywilejów bycia „pierwszym wśród równych" wyznań. Stosunek hierarchii kościelnej do mniejszości żydowskiej można określić jako ambiwalentny, bo gdy wzrosły w kraju radykalne nastroje w drugiej połowie lat 30., to z jednej strony najwyżsi dostojnicy potępiali przemoc stosowaną wobec Żydów przez bojówkarzy, ale z drugiej zwracali uwagę na konieczność kulturowego i religijnego separatyzmu.

Pomimo że staramy się zwracać uwagę na sukcesy II RP, nie sposób wskazać oczywistych porażek państwa w kwestii polityki narodowościowej i religijnej. Do takich z pewnością należy dopuszczenie do przejęcia rzędu ukraińskich dusz przez groźne idee nacjonalizmu integralnego propagowane przez Dmytra Doncowa, a wcielane w życie najpierw przez Ukraińską Organizację Wojskową UWO, a później Organizację Ukraińskich Nacjonalistów OUN, wspieraną przez wywiady niemiecki i litewski. Terroryzm siany przez UWO pod wodzą Jewhena Konowalca szczególne rozmiary przyjął w 1922 r., co zaowocowało ograniczeniem polskiego osadnictwa na Kresach. Druga fala ukraińskiego terroru z 1930 r. doprowadziła z kolei do pacyfikacji Małopolski Wschodniej siłami rządowymi, co pociągnęło za sobą osiągnięcie głównego celu Stepana Bandery i Andrieja Melnyka: nastanie stałej wrogości między ludnością polską a ukraińską. Po zamordowaniu ministra spraw wewnętrznych Bronisława Pierackiego przez aktywistę OUN w 1934 r. Piłsudski podjął decyzję o utworzeniu w Berezie Kartuskiej tzw. miejsca odosobnienia, gdzie bez wyroku trafiali nie tylko ukraińscy terroryści, lecz również przeciwnicy sanacyjnych rządów.

eprasa.pl/fad24d143e

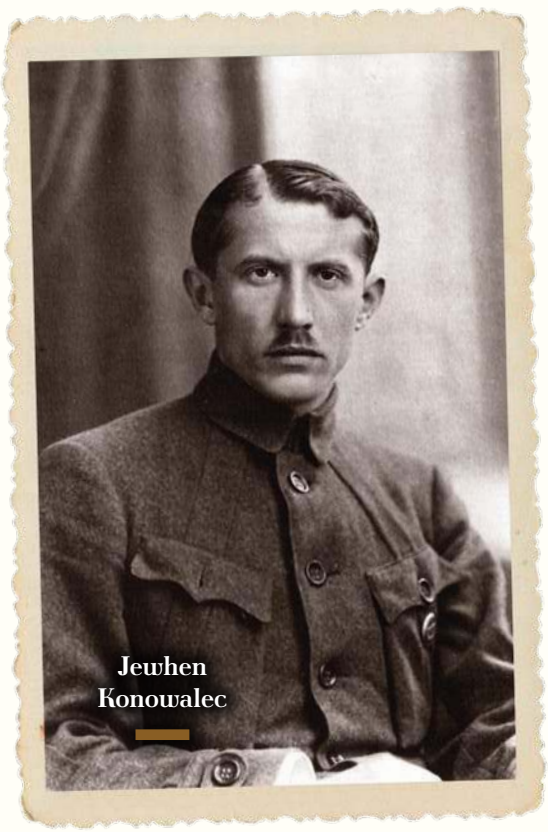
Krwawa droga do autokefalii

Po odzyskaniu niepodległości Kościół prawosławny kojarzony był jednoznacznie z władzą niegdysiejszego zaborcy, Rosji. Polskie władze wspierały dążenia do autokefalii, czyli uniezależnienia polskiego prawosławia od moskiewskiego patriarchatu. Oczywiście nie wszyscy duchowni patrzyli na ten pomysł z radością, uważając zwolenników zerwania więzów z Rosją za zdrajców wiary. Pierwszym przywódcą niezależnego Polskiego Kościoła Prawosławnego miał zostać pochodzący z Podola biskup Jerzy Jaroszewski. W lutym 1923 r. na spotkanie z hierarchą wybrał się wielki przeciwnik autokefalii, archimandryta Smaragd Łatyszenko. Gdy retoryczne argumenty za porzuceniem myśli o niezależności nie poskutkowały, wyjął rewolwer i zamordował Jerzego. Ostatecznie w 1924 r. duchowne władze w Konstantynopolu zatwierdziły powstanie Polskiego Autokefalicznego Kościoła Prawosławnego, którego zwierzchnikiem został biskup Dionizy Waledyński (na zdj.). Metropolita Dionizy, pomimo akcji rewindykacji Cerkwi, pozostawał wierny wobec władz II RP, traktując polonizację jako zagrożenie o wiele mniejsze niż ateistyczny wojujący komunizm rosyjski, który z całą mocą prześladował Cerkiew moskiewską. W czasie II wojny światowej podpisał deklarację lojalności wobec niemieckiego okupanta.



Bereza przez wielu historyków uznawana jest za swego rodzaju obóz koncentracyjny. Jednocześnie prowadzono politykę polonizacyjną na Kresach Wschodnich, która jeszcze silniej antagonizowała Ukraińców względem Polski. Stosunek OUN do Polaków najlepiej widać było w trakcie jej dywersyjnych działań podczas kampanii wrześniowej i później, gdy Ukraińska Armia Powstańcza UPA przeprowadzała czystki etniczne na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej.

Bezpośrednio związane z ukraińskim ruchem narodowym były stosunki władz polskich z Cerkwią prawosławną. O ile początkowo, aż do uniezależnienia się Polskiego Kościoła Prawosławnego od patriarchatu moskiewskiego w 1924 r., akcja rewindykacji cerkwi prawosławnych miała charakter oddolny i skierowany przeciwko Rosji, która lata wcześniej zamieniała świątynie katolickie i unickie na prawosławne, o tyle w 1938 r. działania te miały już glejt państwowy i miały zatrzymać ukraiński ruch narodowy na Lubelszczyźnie czy Wołyniu. Różnie układały się stosunki pomiędzy grekokatolikami, czyli unitami uznającymi zwierzchność papieża od czasów zawiązanej w 1596 r. unii brzeskiej, a prawosławnymi. Kościół greckokatolicki miał w Małopolsce Wschodniej niemal monopol na działalność narodowotwórczą wśród Ukraińców, tak więc chcący się odróżnić Łemkowie, góralska grupa etniczna z Karpat, na przełomie lat 20. i 30. masowo przechodzili na prawosławie, co dla Ukraińców było oznaką rozbijania jedności narodowej. Ogółem sytuacja religijna na Kresach Wschodnich stała pod znakiem nieustających napięć pomiędzy trzema chrześcijańskimi wyznaniami, a każde z nich powiązane było z poczuciem przynależności narodowej.



Jewhen Konowalec

Fot. NAC x3

Michał Muzyczuk

eprasa.pl/fad24d143e

Wielokulturowość była dla II RP potężnym wyzwaniem

Z prof. Mieczysławem Rybą, historykiem z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, rozmawia Maciej Wolny

Z czego wynikała mozaika etniczna i wyznaniowa w okresie II RP?

Mieczysław Ryba: To spuścizna i dziedzictwo I RP – charakteryzowała się ona właśnie wielonarodowością i wieloreligijnością. Wyjątek może stanowić warstwa szlachecka, bo ta w ogromnej mierze się latynizowała. Wpływ na kształt Polski w okresie XX-lecia międzywojennego miały oczywiście również zabory, a konkretnie polityka prowadzona przez poszczególne państwa zaborcze.

Jakie wyzwania dla młodego państwa niosła z sobą owa wielokulturowość?

Mitem jest stwierdzenie, że to nie rodziło problemów, że mieliśmy do czynienia tylko z jakimś kolorytem, a wszelkie kłopoty wynikały najwyżej z nacjonalistycznych zapędów niektórych polskich polityków. Pamiętajmy, że II RP była zbiorem wielu sił odśrodkowych, np. chęci tworzenia własnego państwa, sporów narodowościowych o miejsce w przestrzeni życia gospodarczego, sporów religijnych. To, co nazywamy narodowością, w ogromnej mierze, zwłaszcza na Kresach, było uwarunkowane przynależnością do konkretnych Kościołów, do konkretnych wyznań religijnych. Rzeczpospolita stawiała sobie za cel maksymalne złagodzenie napięć społecznych, tak aby nie doprowadzać do destabilizacji struktury państwa, do wojen i konfliktów. Żeby nad tym wszystkim jakoś zapanować, potrzebny był wielki wysiłek administracyjny oraz intelektualny. Było to potężne wyzwanie dla młodego państwa.

Zaraz po USA największą diasporą żydowską była ta w Polsce. Czy Żydzi chętnie się integrowali ze społeczeństwem polskim?

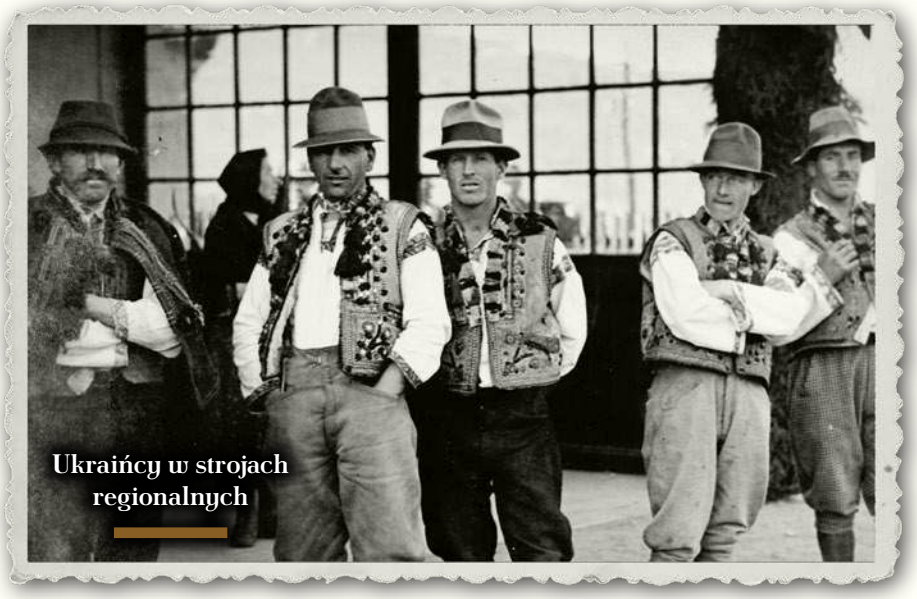


Tak liczna społeczność żydowska nade wszystko skupiała się w miastach i miasteczkach leżących w szczególności na byłych terenach zaboru austriackiego i rosyjskiego. Dzięki liczebności potrafiła zachować swoją kulturę, religię, obyczaj oraz język. Przez to asymilacja była tylko częściowa i dotyczyła wyższych warstw tej społeczności. Praktycznie mieliśmy do czynienia z życiem obok siebie, a nie razem z sobą. Inaczej było np. w Niemczech, gdzie asymilacja Żydów była wręcz całkowita.

Sytuacja narodowościowa na Kresach Wschodnich była napięta, a walki o kształt granic ciągnęły się bardzo długo. Jaki w tym kontekście był stosunek Ukraińców do państwa polskiego?

Pamiętajmy, że Kresy II Rzeczypospolitej (do Zbrucza na południu) to już jest dosyć silny ruch ukraiński wywodzący się z ruchu rusińskiego, który po Wiośnie Ludów był mocno wspierany przez Austriaków. Celem tego wsparcia było to, ażeby ten separatyzm ruski stał w sprzeczności z polskimi dążeniami niepodległościowymi. W czasie autonomii rozwijało się mnóstwo instytucji kulturalnych i szkół. Siła ukraińska była coraz większa. Natomiast od zabójstwa w 1908 r. namiestnika Andrzeja Kazimierza Potockiego przybrała wymiar antypolski. Ten ruch w sensie kulturowym i politycznym opierał się na warstwie duchowieństwa

eprasa.pl/fad24d143e



Ukraińcy w strojach regionalnych

greckokatolickiego, które starało się generować separatyzm i dążyć do utworzenia swojego państwa. Było bardzo mało przestrzeni do dialogu. Oczywiście byli duchowni, do których z takim dialogiem można było występować, np. greckokatolicki biskup stanisławowski Grzegorz Chomyszyn. Natomiast bardzo utrudnione relacje były z metropolitą Andrzejem Szeptyckim, który był wręcz duchowym, kulturowym, a nawet politycznym liderem ruchu ukraińskiego. Różne próby porozumienia ostatecznie nie dały oczekiwanego rezultatu. Ruch ukraiński się nasilał i wreszcie przyjął formy skrajnie nacjonalistyczne, jak w Ukraińskiej Organizacji Wojskowej, a później w Organizacji Ukraińskich Nacjonalistów.

Białorusini w Polsce – jak kształtowała się ich świadomość narodowa i jak wyglądała ich sytuacja na północnych Kresach Wschodnich?

W sensie politycznym to była cienka warstwa skupiona wokół inteligencji. Mocny był tam ruch moskalofilski generowany poprzez wpływy prawosławnego duchowieństwa. Reszta Białorusinów, przez biedę i stosunkowo proste życie kulturowe, definiowała się jako „tutejsi". Jeśli nawet były jakieś spory społeczne, to na kanwie życia religijnego, czyli kwestii związanych z Cerkwią prawosławną i jej miejscem w życiu państwowym Polski. Z punktu widzenia narodowościowego nie był to jednak aż tak poważny problem. Można tu było liczyć na przynajmniej względną lojalność wobec młodej Polski.

W kontekście ukraińsko-białoruskim ciekawa jest kwestia kondycji Cerkwi prawosławnej oraz Kościoła greckokatolickiego w okresie XX-lecia międzywojennego.

Kościół greckokatolicki był związany z Rzymem. Z drugiej strony na części terenów ukraińskich, białoruskich obecne były silne wpływy Cerkwi prawosławnej. Stosunek Cerkwi prawosławnej do Kościoła greckokatolickiego można określić wręcz jako wrogość. To była duża konkurencja. Rzeczpospolita większe zagrożenie widziała jednak w Kościele greckokatolickim, którego duchowieństwo wprost angażowało się przeciwko Polsce w czasie wojny polsko-ukraińskiej i którego biskupi już w roku 1918 i 1919 określili się jako episkopat ukraiński i szli w kierunku utworzenia ukraińskiej Cerkwi greckokatolickiej. Natomiast państwo polskie miało nadzieję, że dogada się z prawosławiem, szczególnie po tym, jak bolszewicy Cerkiew prześladowali, jak ją stłamsili i wyeliminowali z wpływu na życie społeczne. Doprowadzono nawet do utworzenia w 1924 r. autokefalii, czyli samodzielnego, kanonicznego Kościoła prawosławnego. O wiele lepsze były stosunki z Cerkwią prawosławną niż z Kościołem greckokatolickim, niewidzącym swojego miejsca w państwie polskim.

Teraz spójrzmy na naszych zachodnich sąsiadów. Jaki był stosunek Niemców do Polski – szczególnie na Śląsku, Pomorzu i w Wielkopolsce?

To jest problem bardzo złożony. Niemców było sporo przed końcem I wojny światowej, natomiast kiedy państwo polskie się odrodziło, nastąpił duży exodus społeczności niemieckiej na zachód, ale nadal była ona obecna na terenach II RP. Pod względem religii w wielu wypadkach Niemcy to nie protestanci, np. na Śląsku była to ludność katolicka. Zachodził tu pewien dysonans, bo kościół powszechny starał się używać języka rodzimego do odprawiania nabożeństw nawet w tych wspólnotach,



Fot. NAC x3

eprasa.pl/fad24d143e



Grupa niemieckich rolników z Wołynia

które stanowiły mniejszości narodowe. Powstałe na tym tle konflikty starano się łagodzić. Biskup katowicki August Hlond, późniejszy prymas Polski, zmagał się właśnie z takim wyzwaniem i dążył do tego, by maksymalnie studzić emocje, będąc jednocześnie patriotą polskim. Wiemy, że mniejszość niemiecka nie pogodziła się na trwałe z tym, że zamieszkiwane przez nią ziemie przynależały do państwa polskiego. Wystarczy przykładowo przywołać rolę, jaką w 1939 r. odegrała tzw. piąta kolumna. Wywiad niemiecki, zwłaszcza w czasach hitlerowskich, wykorzystywał tę mniejszość do pewnej rozgrywki antypolskiej.

W okresie XX-lecia międzywojennego na terenie Polski funkcjonowało również wiele mniejszych grup etnicznych. Jak wpisywały się one w II RP?

Wiele z nich w ogóle by nie przetrwało jako małe wspólnoty, gdyby nie to, że żyły w państwie polskim, które nie uległo ani totalitaryzmowi bolszewickiemu (który niszczył inne narodowości), ani hitleryzmowi, który zagościł na terenie Niemiec w latach 30. Szczególnie warto zwrócić uwagę na dwie bardzo interesujące grupy etniczne. Chodzi o Ormian, których na terenie Polski było od 6 do 10 tys. i mieli swój obrządek oraz swojego arcybiskupa lwowskiego Józefa Teodorowicza, który z jednej strony niezwykle podkreślał swoją ormiańskość i rozwijał tę kulturę, a z drugiej był po prostu jednym z najzagorzalszych patriotów polskich. W sporze polsko-ukraińskim zdecydowanie opowiadał się po stronie Polski. Dostrzegał polskość Lwowa i wiedział, że wspólnota ormiańska może przetrwać tylko w państwie, które daje możliwość rozwoju, a takie właśnie było państwo polskie. Drugą grupą są Łemkowie, których ruch w pewnym momencie – szczególnie w latach 30. – był mocno wspierany przez Polskę, która widziała w nim alternatywę dla wpływów ukraińskich. Wynikało to z tego, że nie cała ludność ruska na terenach dawnej Galicji Wschodniej utożsamiała się z ruchem ukraińskim, a na Łemkowszczyźnie – szczególnie tej zachodniej – w bardzo niewielkim stopniu. Większość Łemków uważała, że są osobnym szczepem, bardziej staroruskim. Jeśli już pojawiały się jakieś sympatie, to bardziej moskalofilskie. Kiedy księża greckokatoliccy przysłani na te tereny chcieli ukrainizować ludność, pojawił się bardzo silny odruch odwrotny, czyli przechodzenie wielu Łemków na prawosławie. Żeby temu zaradzić, w 1934 r. powołano specjalną greckokatolicką administrację apostolską dla Łemkowszczyzny, bezpośrednio zależną od Rzymu i niezależną wobec biskupa Jozafata Kocyłowskiego z Przemyśla. Łemkowszczyzna stawała się czymś w rodzaju nowego narodu, stworzono nawet własny alfabet, własny język, własne książki, osobną administrację kościelną. Jest to niezwykle ciekawa społeczność, której większość była przeciw Ukrainie, co również charakteryzuje Łemków dzisiaj.

Czy w II RP katolik oznaczał Polaka?

Nie w stu procentach. Polakami byli protestanci, prawosławni i nawet grekokatolicy. Metropolita Andrzej Szeptycki jeszcze na początku XX w. wydał list pasterski w języku polskim do polskich grekokatolików, zapewniając ich, że nie będzie ich ukrainizował. Później jednak ten Kościół ewoluował w kierunku ukrainizmu



eprasa.pl/fad24d143e



bardzo mocno, więc pojawił się ruch wśród Polaków nakierowany na zachowanie swojej tożsamości. Natomiast jeśli mówimy o pewnym głównym nurcie procesów i zdarzeń, to na Kresach dostrzec można było coraz bardziej, że jeśli ktoś był obrządku wschodniego (prawosławnego, greckokatolickiego), szło to w parze z narodowościami wschodnimi. Natomiast jeśli ktoś był łacinnikiem, to raczej Polakiem. Między poszczególnymi Kościołami występowała walka o duszę. Na terenach mieszanych i wśród rodzin mieszanych było takie prawo, że jeśli była rodzina łacinnika i grekokatoliczki, to córka dziedziczyła obrządek po matce, a syn po ojcu. W spory dotyczące obrządku i wyznania mieszała się władza państwowa, ponieważ takie konflikty były prędzej czy później przekładane na spory narodowościowe. Rząd Polski, pomimo swojej łagodnej polityki i prób przyciągnięcia mniejszości, doświadczał namacalnie tego, że jedynym narodem w pełni lojalnym i stabilizującym Kresy był naród polski, a więc Kościół rzymskokatolicki, który stanowił o tożsamości tego narodu.

Wydaje się, że konflikty narodowościowe mogły rozsadzić państwo od środka. Kiedy takie niebezpieczeństwo było największe?

Był to np. rok 1939, kiedy mamy wspomnianą już „piątą kolumnę" niemiecką. Niemcy mocno wspierali też nacjonalistyczny ruch ukraiński, szczególnie OUN. W roku 1930 mieliśmy drugie wystąpienie UWO, czyli quasi-powstanie, a w zasadzie akcje terrorystyczno-dywersyjne przeprowadzone we wschodniej Małopolsce. Palono stodoły, gospodarstwa, dochodziło do pobić i zabójstw. Ten separatyzm był istotny, powodował wstrząsy i był szczególnie groźny dla młodego państwa polskiego.



Napis na ścianie wykonany przez Organizację Ukraińskich Nacjonalistów wzywający dzieci, aby nie uczyły się w języku polskim, lecz po ukraińsku. Widoczna tablica z nazwą szkoły i zamazanym godłem

Czy w warunkach II RP i jej otoczenia międzynarodowego polska władza zrobiła tyle, ile mogła, żeby zapewnić sobie wierność mniejszości narodowych i religijnych?

Pamiętajmy, że zawsze ważny jest kontekst. Często patrzymy ahistorycznie na relacje ze społecznością żydowską, bo przez pryzmat Holokaustu. Na relacje ze społecznością ukraińską zerkamy poprzez pryzmat tego, że dzisiaj ta mniejszość jest nieliczna i nie mamy zagrożenia zmiany granic jak wówczas. Te przykłady można mnożyć. Patrząc na to, jak inne kraje (np. Niemcy, Litwa, Czechy) postępowały z mniejszościami narodowymi, to w moim przekonaniu Polska zachowywała się na tym tle racjonalnie. Nie było preferencji narodowych. Były próby walki np. z Ukraińcami o tożsamość niedookreślonej grupy Rusinów, ale to jest rzecz dosyć naturalna. Jeśli ktoś uważa, że państwo polskie wbrew swojemu interesowi miałoby nie walczyć o to, żeby polskość była mocna, to jest po prostu utopistą. Tego nigdy nie było ani nie ma dzisiaj. To samo dotyczy innych państw. Wystarczy spojrzeć na to, jak traktowana jest mniejszość polska w Niemczech. Biorąc pod uwagę ówczesne standardy traktowania mniejszości, nie można powiedzieć, że były one metodycznie prześladowane czy że działo im się gorzej niż w innych państwach w analogicznej sytuacji.

Fot. NAC x4 | 50/0119/F

eprasa.pl/fad24d143e

Przystąp do Programu VITAY!



Do zgarnięcia:

KUPONY | RABATY | PREZENTY

Za paliwo i zakupy na stacji lub w Internecie!
Dla wszystkich z kartą lub aplikacją mobilną VITAY!
Sprawdź na vitay.pl

CLUB VITAY

ORLEN

eprasa.pl fad24d143e



Orły na koniec wielkiej przygody

Polska Akademia Filmowa nie miała wątpliwości. Najlepsza pierwszoplanowa aktorka 2018 r. to Joanna Kulig. Statuetka domknęła pasmo jej sukcesów po fantastycznej roli w „Zimnej wojnie", filmie nominowanym do Oscarów i świetnie przyjętym w Polsce, z prawie milionową widownią, nagrodzonym w sumie siedmioma Orłami

Fot. Tomasz Urbanek/East News

eprasa.pl fad24d143e



JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

W Teatrze Polskim, gdzie kiedyś startowało Mazowsze, gdzie też kręciliśmy zdjęcia do „Zimnej wojny", nagrody od polskiego środowiska filmowego mają głęboki sens – mówił pełen emocji po gali Orłów Paweł Pawlikowski. Z nagrodami za najlepszy film, dla najlepszego reżysera i współscenarzysty mocno podkreślał, jak wielką radość sprawiło mu docenienie członków jego wspaniałej ekipy (poza główną aktorką Akademia nagrodziła Orłami także autora zdjęć Łukasza Żala oraz twórców dźwięku i montażu).

POWRÓT DO DOMU

– W środowisku, które zna tę historię, zna realia, któremu nic nie trzeba tłumaczyć. W tym społeczeństwie, które ten film pokochało, bo prawie milion osób poszło na „Zimną wojnę", Orły to piękny koniec długiej i wyczerpującej przygody. Na pewno czujemy, że wróciliśmy do domu – dodawał reżyser.

O radości z powrotu mówiła też Joanna Kulig: – Od Cannes do Orłów, jak obliczyłam, minęło dziesięć miesięcy. Wiadomo było, że „Zimna wojna" to wspaniały scenariusz i że powstał z niego piękny film, ale nie spodziewałam się, że zabierze nas w tak długą podróż. Cieszę się, że jestem już w domu. Cieszę się tym czasem. Chcę się na nim skoncentrować, wypocząć, a potem pomyślę co dalej.

Rok 2018 przyniósł aktorce bardzo wiele mocnych i znaczących doświadczeń. Nie tylko zawodowych, choć tu wykazała się niezwykłym wyczuciem dramaturgii. Wzięła udział w budzących gorące emocje produkcjach – poza „Zimną wojną" także w filmach „Kler" (Orły dla Jacka Braciaka za główną rolę męską, Janusza Gajosa za drugi plan i za muzykę) i „7 uczuć" oraz serialu „Pułapka".

Na kilka dni przed galą Oscarów została mamą. Tymczasem miesiące przed rozwiązaniem (spędzone w Stanach Zjednoczonych) były – obok przygotowania do najważniejszej życiowej roli – czasem intensywnych działań związanych z promocją filmu, ale też prywatnymi planami aktorki.

Rola w filmie Pawła Pawlikowskiego zwróciła na Joannę Kulig uwagę producentów z całego świata, jednak po gali Polskich Nagród Filmowych nie chciała komentować efektów rozmów zza oceanu. – Teraz potrzebuję spokoju, pobycia z dzieckiem. I na tym absolutnie się koncentruję. Spraw zawodowych było dużo, teraz potrzeba też czasu domowego – podkreślała.

RODZINNE KLIMATY

Statuetkę dla najlepszej aktorki pierwszoplanowej zadedykowała babci Helenie Lichoń. Przypomniała ze sceny, że to jej nazwisko „pożyczyła" ekranowej Zuli. W kuluarach dodawała: – Babcia ma 87 lat. Od kiedy pamiętam, przepięknie śpiewała. Jest dla mnie niezwykłą kobietą. Urodziła siedem córek. Jak sama zostałam mamą, to sobie uświadomiłam, co to znaczy. Pomyślałam o jej trudzie, o tym, że mimo tylu życiowych zadań i doświadczeń jest tak wspaniałą osobą. Dałam jej nazwisko mojej bohaterce wiele miesięcy temu, ale dzisiaj, kończąc przygodę związaną z „Zimną wojną", pomyślałam, że dedykacja będzie gestem w jej stronę. Cieszę się, że wciąż z nami jest. I ma prawnuka. Jeszcze go nie widziała.

Na razie więc azyl w domu, wśród najbliższych, z synkiem Jasiem, u boku męża Macieja Bochniaka (który stworzył z niej gwiazdę w filmie „Disco polo", ale też towarzyszył jej zwyczajnej, sympatycznej bohaterce, reżyserując część odcinków serialu „O mnie się nie

Fot. Materiały prasowe

eprasa.pl fad24d143e

martw" i był obok w ostatnich niezwykle intensywnych miesiącach). A co dalej? Zawodowo?

JAKOŚCIOWY SKOK

– Myślę, że może teraz liczyć na naprawdę ciekawe propozycje – ocenia Paweł Pawlikowski. – Rola Zuli na pewno bardzo ją „rozciągnęła". W każdym kierunku. To był wielki wyczyn i wielki skok jakościowy jej jako aktorki. Dziś jest już bardzo wysoko.

Pawlikowski, który doświadczył realiów światowego kina, zdaje sobie sprawę z ograniczeń: – Nie ma zbyt wielu filmów oferujących brawurowe kreacje, na miarę dzisiejszych możliwości Aśki, ale życzę jej, żeby coś takiego znalazła. Oczywiście, trzeba robić filmy, żeby z czegoś żyć, czymś się zajmować, myślę jednak, że na pewno coś się ciekawego trafi, bo wszyscy są nią zachwyceni.

Skupiając się jednak na wielowymiarowej, dojrzale zbudowanej postaci Zuli, która dała aktorce światowe pięć minut, można przeoczyć wcześniejsze spotkania Joanny Kulig z Pawłem Pawlikowskim. Tymczasem był on dla niej jednym z ważnych filmowych przewodników.

– Nasze pierwsze spotkanie odbyło się z dziewięć lat temu. Jeszcze nie była znana – wspomina reżyser. – Pamiętam jej wzruszającą szczerość, świeżość. I szczególnie jedną sytuację: z przesłuchań [do filmu „Kobieta z Piątej Dzielnicy", który miał premierę w 2011 r. i w którym Kulig spotkała Ethana Hawke'a i Kristin Scott Thomas – przyp. red.]. Jak się jej znudził ten cały casting, nagle tupnęła i powiedziała: – Teraz zaśpiewam. I zaśpiewała. Pięknie. Po góralsku. To mnie strasznie ujęło.

ROZŚPIEWANA MUZA

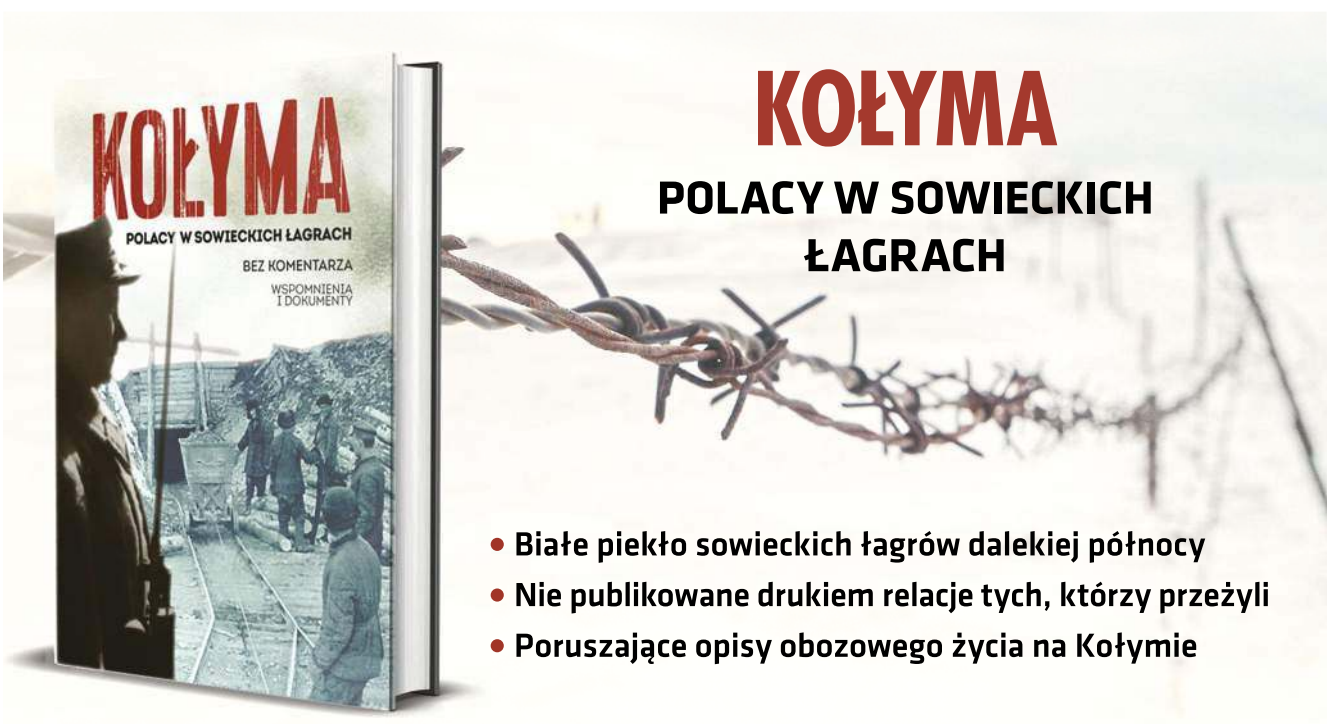
Minęło siedem lat i Pawlikowski zaoferował aktorce rolę, w której mogła zaśpiewać pełnym głosem. Ale – na co zwraca uwagę reżyser – śpiewała też w „Idzie" (2013), gdzie grała piosenkarkę. Wokalną scenę miała również w „Kobiecie z Piątej Dzielnicy". – Cały czas u mnie śpiewa. Jest rzeczywiście muzą – konstatuje Pawlikowski.

„Zimną wojnę" reżyser zadedykował swoim rodzicom. Ich losy stały się inspiracją opowiedzianej na ekranie historii. Jednak w postaci stworzonej przez Joannę Kulig – jak zaznacza Pawlikowski – widział matkę jedynie częściowo. W zarysie, który zniknął w czasie kręcenia zdjęć. – Kiedy wyobrażałem sobie postać Zuli, pojawiła się myśl: – Aśka by to nieźle zrobiła. Coś w sobie ma.

Kiedy pytam, o to „coś", odpowiada: – Taka panna z mokrą głową. Dzika, nieokiełznana, która – kiedy jest jej duszno – wyrywa się i szczerze reaguje. Ma wiele twarzy. Jest dziewczynką, jest femme fatale, jest chłopką i wielką damą.

Czy spotkają się przy kolejnym projekcie? – Całkiem możliwe – odpowiada reżyser. – Ale jeszcze nic nie planuję. Teraz jest czas odpoczynku.

REKLAMA



Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego.
Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Patronat medialny: Polskie Radio 24, W SIECI HISTORII, HISTORIA POLSKA ZBRODNIA, POLSKA ZBROJNA, SIECI, HISTMAG.ORG

47/0319/F

eprasa.pl fad24d143e



PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI



Odważni inaczej

„Mein Kampf" w warszawskim Teatrze Powszechnym eksplodowało z siłą mokrego kapiszona. To znów dziecinna grafomania najbardziej bezradnej sceny w Polsce

Nietrudno zrozumieć tych, którzy poczuli się co najmniej zaniepokojeni, dostrzegając na czarnych plakatach rozwieszonych w wielu punktach miasta biały napis „Mein Kampf". Bo o co właściwie chodzi? Ktoś sobie urządza czytanie hitlerowskiego vademecum?

Sprawa jednak się skomplikowała. Zapowiedź premiery podchwyciły zagraniczne media, podając, że przedstawienie ma stanowić protest przeciw szerzącemu się językowi nienawiści. I chyba o to realnie chodziło – promocja tytułu przebiegła wedle sprawdzonych reguł, które od dawna stosują dyrektorzy Powszechnego Paweł Łysak i Paweł Sztarbowski: ważne, by o nas mówili. W tak przyjętej strategii wrażliwość tych, którzy pytają, skąd na niegdyś jednej z najlepszych polskich scen pomysł, by realizować taki spektakl, zupełnie się nie liczy.

Tak wygląda kontekst „Mein Kampf" przy pierwszym spojrzeniu. Jednak każdy, kto wybierze się na Pragę, zobaczy, że za groźnymi hasłami nie stoi nic i że bawiący się w reżyserię Jakub Skrzywanek sam nie wie, w jakim celu honoruje akurat tego autora. Napisałem „bawiący się w reżyserię", bo w 2017 r. Jakub Skrzywanek również w Powszechnym wystawił autorski eksperyment pod tytułem „Superspektakl", w którym dzieci z zespołem Downa wykorzystał do politycznych rozgrywek. Wyjątkowo perfidne, ale niestety żyjemy w takiej rzeczywistości teatralnej, na jaką zasłużyliśmy. Jedyną pociechą jest być może to, że niełatwo pośród ludzi teatru znaleźć kogoś, kto dyrekcję Pawła Łysaka i Pawła Sztarbowskiego traktuje poważnie. Często w dyskusjach pojawia się wręcz uśmiech politowania. Co ciekawe, nie zdecydowała o tym nawet omówiona już na setki sposobów „Klątwa" Frljicia. Zdecydowało raczej to, że Powszechny od kilku lat jest miejscem, które po prostu rozbudza złe emocje.

„Mein Kampf" razi nieporadnością; skoro warto przestrzegać przed faszyzmem, to gdzie jest jakakolwiek diagnoza społeczna? Aktorzy z uporem godnym lepszej sprawy wygłaszają kuriozalne frazy, które świadczą wyłącznie o tym, że Hitler był intelektualną miernotą. Jeżeli reżyser chciał nas powiadomić o tym niesłychanym fakcie, to w pewnym sensie odniósł sukces. Jednak najważniejsze jest to, że Skrzywankowi wydaje się, że coś odkrywa, że nawiązuje do tu i teraz, że – co tu dużo mówić – napisał nowy podręcznik do socjologii. Bo kiedy w jednej z pierwszych sekwencji słuchamy opowieści o tym, jak Hitler z filosemity stał się antysemitą i jak bardzo ceni sobie Kościół oraz jego dyscyplinę, a nad sceną w tym momencie zawisa obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, warto zapytać: o co chodzi? Sprytny reżyser zapragnął powiązać dwa tematy, jakże atrakcyjne – z faktu docenienia katolicyzmu wypływa antysemityzm, a stąd już prosta droga do polskiej religijności, zresztą rozkochanej w obrazach i taniej rytualności. Pewnie dlatego chwilę potem wizerunek Matki Boskiej i Dzieciątka zostaje zamalowany białą farbą, gdyż Polakom tak niełatwo pogodzić się z Czarną Madonną i korzeniami ich własnej wiary. Potencjał tego wywodu poraża. Przy okazji zauważmy, że w późniejszych latach Hitler nie był już tak zafascynowany chrześcijaństwem, lecz dla Jakuba Skrzywanka niekoniecznie musi mieć to znaczenie.

Skupiłem się na tym fragmencie, bo pokazuje on, że mamy do czynienia z bełkotem. Tym bardziej że przez kolejne dwie godziny aktorzy zmieniają konwencję i przenoszą nas w świat kabaretu. Kiedy mówią o mechanizmach propagandy, bawią się parodią opery, uważając, że świetnie przepracowali w sobie metody Brechtowskie. Gdy zaś streszczają idee łączenia ras, przebierają się za zwierzęta i symulują kopulację. Jest wesoło, co udowadnia, że ten faszyzm to dziś poważny temat. Mimo to nie oszukujmy się – spora liczba widzów wstała do oklasków. Choć, kto wie, może dlatego, że wyczuli na sobie groźne spojrzenia ochroniarzy, którzy od czasu premiery „Klątwy" w pokaźnej liczbie zabezpieczają co bardziej kontrowersyjne pokazy w Powszechnym.

Cóż, historia teatru nie takie rzeczy przetrwała. Najgorsze jest to, że jeszcze przez trzy lata będziemy się męczyć z tą od trzech dekad najbardziej żenującą dyrekcją na polskich scenach.

Adolf Hitler, „Mein Kampf",
reż. Jakub Skrzywanek,
Teatr Powszechny im. Zygmunta Hübnera,
(Scena duża),
premiera: 23 marca 2019

eprasa.pl fad24d143e



Hitler, piewca normalności

DOMINIK ZDORT

Po co wystawiać „Mein Kampf" w Polsce w 2019 r.? Trudno byłoby to zrozumieć bez wyjaśnień, które w mediach przedstawił reżyser. Spektakl ma być odpowiedzią na pytanie o to, skąd się bierze mowa nienawiści, i porównać dzisiejszy język debaty publicznej do tego z końca lat 30. XX w. „Zbrodnie, do których doprowadziła ideologia Hitlera, są oczywiste. Przecież ten spektakl powstaje po to, by nigdy się nie powtórzyły [...], sięgamy po książkę Hitlera, szukając odpowiedzi na pytanie, jak temu zapobiec. Jak obnażyć te narracje i nie pozwolić, żeby historia zatoczyła koło" – mówił reżyser Jakub Skrzywanek.

Chwytliwym hasłem zachęcającym do obejrzenia spektaklu według książki Adolfa Hitlera w warszawskim Teatrze Powszechnym jest stwierdzenie, że to pozycja, o której każdy słyszał, ale prawie nikt jej nie czytał. A to jest zgodne z prawdą – od śmierci Hitlera do końca 2015 r. właścicielem praw autorskich do dzieła Führera była Bawaria, której władze skutecznie utrudniały publikowanie nowych wydań. W II RP „Mein Kampf" była zakazana sądownie już od 1933 r., ale – na użytek generalicji WP – wydrukowano przed wojną kilkadziesiąt egzemplarzy po polsku.

Szeptana propaganda mówiła, że spektakl obnaży, skąd naprawdę wzięły się idee polskiej prawicy, PiS i Kościoła. Wybór cytatów z „biblii nazistów" miał najprawdopodobniej zohydzić te idee, a więc także instytucje i polityków, którzy je głoszą. Warto jednak dla porządku zastrzec, że z każdej ideologii, nawet najobrzydliwszej, można wybrać frazy, pod którymi podpisałby się każdy porządny człowiek. I z dzieł Włodzimierza Lenina, i ze stalinowskiego przewodnika „Krótki Kurs Historii WKP(b)", i z „Mein Kampf".

Z dzieła Hitlera nie bez przyczyny wybrano słowa o chrześcijańskim wychowaniu, do którego przyznaje się autor, o jego podziwie dla Kościoła katolickiego. Przytaczane są frazy o pochwale wielodzietności i narzekania na nazbyt powszechną dostępność środków antykoncepcyjnych. Gdyby odczytywać to w sposób zwulgaryzowany, można by stwierdzić, że celem największego ludobójcy czasów nowożytnych, podobnie jak polskiej prawicy, Kościoła czy PiS, było stworzenie wielkiego zdrowego i licznego narodu.

Tylko że ta narracja jest trafiona jak kulą w płot. Obecna władza rzeczywiście dąży do wielodzietności, ale nie wyrzuciła środków antykoncepcyjnych z aptek, nie ograniczyła ustalonej wcześniej swobody aborcyjnej w Polsce – wprowadziła jedynie program 500+. Natomiast gdy słuchamy rozważań Hitlera na temat tego, że ludzie chorzy nie powinni rodzić dzieci, to przypominają mi się raczej postulaty radykalnych feministek, domagających się utrzymania w polskim prawie aborcji eugenicznej.

Można mieć wręcz wrażenie, że idee przywódcy nazistów w tej akurat dziedzinie najskuteczniej implementowała zachodnia lewica. I nie chodzi tylko o przymusową sterylizację kobiet prowadzoną w Szwecji do połowy lat 70. XX w. (dotyczyła ona osób upośledzonych umysłowo i prowadzących aspołeczny tryb życia), lecz również o współczesne praktyki w Niemczech, Wielkiej Brytanii, Islandii czy Danii. Skutecznie zlikwidowano tam problem zespołu Downa – niemowlęta dotknięte wspomnianą przypadłością w ogóle nie przychodzą na świat, bo po badaniach prenatalnych niemal wszystkie matki podejmują decyzje o pozbawieniu życia swoich chorych pociech.

Jeśli zaś jakieś współczesne metody polityczne mogą przypominać sposób poczynania skrajnych radykałów z epoki międzywojnia, będą to raczej działania lewaków, szczególnie przedstawicieli tzw. mniejszości seksualnych. Choćby blokujące ulice miast masowe demonstracje umundurowanych na tęczowo bojowników postępu, blokowanie przez nich manifestacji ludzi inaczej myślących, moralny szantaż wobec władz (na razie samorządowych) i wymuszanie na nich – wbrew obowiązującemu prawu – przyznawania owym mniejszościom coraz większych przywilejów.

Na koniec – stosunek do Żydów. W Polsce to może mniej widoczne, bo wśród elit państwa jest konsens co do tego, że stosunki polsko-żydowskie to wartość strategiczna. U nas to problem wydumany, przywoływany z jednej strony po to, aby od czasu do czasu postraszyć kogoś pałką oskarżeń o antysemityzm, z drugiej – aby dać zajęcie obsesjonatom zrzeszonym w stowarzyszeniach typu Nigdy Więcej. Inaczej niż – znów – w lewicowych środowiskach Zachodu. To paradoks, że niewiele ponad pół wieku po Holokauście lewica zachodnioeuropejska tak chętnie wspiera antysemickie ekscesy islamskich środowisk we Francji i tak bezpardonowo zwalcza politykę państwa żydowskiego.

Co ciekawe, z „Mein Kampf" wybrano wiele zwyczajnych, normalnych czy wręcz godnych pochwały opinii Hitlera. Jakby autorzy inscenizacji chcieli dać do zrozumienia, że skoro w ideologii nazistów było tyle pozytywnych postulatów, to może i te zbrodnicze warte są akceptacji. O co, rzecz jasna, trudno ich podejrzewać.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Fot. Magda Hueckel (x2)

eprasa.pl fad24d143e

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

„Znaki” – pisarz w obcęgach

Tym razem zapowiadam Teatr Telewizji w TVP 1 na poniedziałek 1 kwietnia – „Znaki” Jarosława Jakubowskiego w reżyserii Artura Tyszkiewicza. To niezwykły dramat, który znałem z lektury. Jego telewizyjną premierę uważam za mały cud.

Po pierwsze, na tle praktyki polskich teatrów, które rzadko sięgają po współczesnych polskich autorów. Czasem dlatego, że nie widzą w tekstach publikowanych choćby w „Dialogu” ciekawych ofert – na miarę Mrożka czy Grochowiaka. Ale chyba i dlatego, żeby uniknąć różnych kontrowersji, jakie te teksty mogą nieść. Wyjątek stanowią sztuki zaangażowane po stronie radykalnej lewicy, na nie jest zapotrzebowanie. Ale to często nie są skończone teksty literackie, raczej różne montaże i prowokacje.

Tu mamy dodatkową trudność. Jakubowski, mieszkający pod Bydgoszczą, nieobecny na warszawskich salonach, kojarzony jest z konserwatywnymi poglądami. Można się w „Znakach” doszukiwać antypoprawności politycznej, przestrogi przed społeczną inżynierią, choć także inteligenckiej obawy przed społeczeństwem, ba władzą, która stawia na masowość i intelektualną bylejakość. Pisarzy współczesnych przeraża raczej coś innego. A tu wrażliwość liberalnego Tyszkiewicza, jednego z najciekawszych naszych reżyserów, spotkała się z wrażliwością konserwatysty.

Punkt wyjścia tyleż pomysłowy, ileż budzący grozę. W mieszkaniu pisarza Jana pojawia się urzędnik zapowiadający zmianę. Aby skończyć z kłopotami z ortografią, zlikwidowano znaki diakrytyczne. „Ć” ma być od tej pory „c” i tak dalej. Pisarz ma zaakceptować nowy kurs. On jednak protestuje w imię piękna ojczystego języka, w imię różnorodności i komplikacji. Ale świat mknie w innym kierunku.

Zdarzały się podobne próby odgórnego sterowania językiem. Już w roku 1906 republikański prezydent USA Theodore Roosevelt chciał uproszczać amerykański angielski. Przykładowe „through” miało stać się „thru”. Kongres oskarżył go o despotyzm i z oburzeniem odrzucił reformę. Teraz toczą się różne spory o upraszczające korekty. Ale oczywiście ta historia ma moc metafory dotyczącej wszelkich uszczęśliwiających utopii. A zarazem nie jest prosta, dokonuje też wiwisekcji postawy buntownika. I traktuje o ludzkiej samotności.

Niemal co tydzień Teatr Telewizji ma trafione strzały. A jednak napiszę: dawno nie widziałem przedstawienia tak teatralnie szlachetnego, w rozumny sposób awangardowego i równocześnie intelektualnie klarownego. Metaforyczne dekoracje Aleksandry Gąsior, zimne barwy obrazu, sugestywna, choć dyskretna muzyka Jacka Grudnia (choć i Bacha), wygrywanie prostymi gestami skomplikowanych przesłań. A na koniec przerażenie.

I to nieprawda, że każdy aktor umie wycisnąć z tekstu tyle samo. Sceny między Przemysławem Stippą (pisarz) i Grzegorzem Małeckim (urzędnik) odwołują się niby do jednego z najtrwalszych archetypów: naginania człowieka do norm konformizmu nazywanego rozsądkiem. Tylko jak oni obaj to grają, jak unikają wszelkiego stereotypu. Tu nie ukryjesz się w zgiełku inscenizacji. Kamera łowi każdy grymas ust. A Stippa funduje samą swoją obecnością przez całe przedstawienie potężne, niemal metafizyczne przeżycie widzom.



Partneruje im równie sugestywna Marta Ścisłowicz jako żona pisarza. Tyszkiewicz jeszcze wyostrzył antyutopijne zakończenie, każąc postaciom w finale mówić „nowym językiem”. Pisarz brał udział w próbach i zmiany akceptował. Wspaniały teatr literacki, który miał się rzekomo kończyć.

Piotr Zaremba



Genialny meteor jazzu i filmu

Mija 50 lat od śmierci Krzysztofa Komedy, legendy polskiego i europejskiego jazzu, podziwianego w świecie kompozytora muzyki filmowej. Jego postać i twórczość przypominają rocznicowe imprezy, m.in. w Warszawie i w Poznaniu – rodzinnym mieście artysty



ADAM CIESIELSKI

Krzysztof Trzciński (27 IV 1931 – 23 IV 1969), pseudonim Komeda, uchodził za nieśmiałego milczka. Ale umiał odważnie licytować, podążając za głosem talentu i przeznaczenia. Dyplomowany lekarz, szybko rzucił medycynę dla jazzu. Jako pianista, kompozytor i lider stał się jedną z emblematycznych postaci tej muzyki w Polsce lat 50. i 60. XX w. Grał z najlepszymi: Namysłowskim, Trzaskowskim, Dylągiem, Wróblewskim, Milianem, z gwiazdami z Europy i USA. Spod jego ręki do wielkich karier wystartowali m.in. Stańko, Urbaniak, Urszula Dudziak. Wydawał znakomite nagrania, na czele z albumem „Astigmatic", uznanym za najważniejszą płytę w historii naszego jazzu.

Od początku kariery obok standardów proponował własne utwory. Ich klimaty, łączące liryzm z humorem i groteską, postrzegano jako typowo polskie tropy. Międzynarodowe uznanie przyniosła mu muzyka filmowa, do której miał wyjątkowe uzdolnienia. Od 1958 do 1969 r. napisał kompozycje do 70 filmów, w tym takich jak „Nóż w wodzie", „Matnia", „Nieustraszeni pogromcy wampirów" i „Dziecko Rosemary" Polańskiego, „Niewinni czarodzieje" Wajdy, „Prawo i pięść" Hoffmana i Skórzewskiego, „Do widzenia, do jutra" Morgensterna, „Kotki" i „Głód" Carlsena, „The Riot" Kulika. Gdyby żył, miałby dziś 88 lat i pewnie niejednego Oscara w dorobku. Twórczość dla kina była dla niego kolejnym – po medycynie i jazzie – życiowym wyborem i pasją.

W Hollywood, dokąd ściągnął go Polański, szło mu wyśmienicie. Ścieżka do „Dziecka Rosemary" była hitem także na płycie, a przewodnia kołysanka „Sleep Safe and Warm" jest do dziś popularna. Dostał zamówienie na oprawę trzech dalszych filmów. Swą przyszłość widział w USA. Ale Los Angeles, które tak entuzjastycznie otworzyło przed nim ramiona, okazało się rychło jego przekleństwem. W grudniu 1968 r. po libacji w swoim domu, przypadkowo popchnięty przez pisarza Marka Hłaskę, spadł ze skarpy, uderzając się w głowę. Uraz, zlekceważony początkowo przez artystę i lekarzy, okazał się zabójczym krwiakiem uciskającym mózg. Nieprzytomnego męża Zofia Komedowa przewiozła z USA do kraju. Komeda zmarł w warszawskiej klinice 23 kwietnia 1969 r. Cztery dni przed swymi 38. urodzinami.

Pozostała magnetyczna muzyka. Niezwykłego artystę przypominają coraz to nowe książki i dokumenty filmowe. Na 2020 r. premierę długiego metrażu szykuje reżyser Leszek Dawid. Do ożywienia pamięci o Komedzie znacząco przyczynił się Tomasz Stańko. W 1970 r. swemu odkrywcy i guru poświęcił album „Music for K.", w 1997 r. wydał w ECM płytę „Litania" z jego utworami. Podczas ostatniego w swym życiu występu w 2018 r. trębacz zagrał jego „Kattornę".

Do tej twórczości odwołują się m.in. Adam Pierończyk, Włodek Pawlik, Leszek Możdżer, także młodsze pokolenie jazzmanów. Teraz, w 50. rocznicę śmierci Komedy, fascynująco zapowiadają się interpretacje jego dzieł przez zespoły Sławka Jaskułkego, Wojciecha Mazolewskiego i Danilo Reę w Warszawie oraz Radio String Quartet w Poznaniu. Ta muzyka wciąż żyje i inspiruje.

WARSZAWA
11. Festiwal Muzyki Filmowej Krzysztofa Komedy

Studio Polskiego Radia im. Witolda Lutosławskiego:

11 IV 2019 r., godz. 19, Danilo Rea Trio (Włochy) – „Cinema Music Films"
13 IV 2019 r., godz. 19, Sławek Jaskułke Sextet – „Komeda recomposed";
Wojtek Mazolewski Quintet – „Komeda"
Wystawy „Komeda – kalendarium życia" oraz „Polski plakat filmowy"

Nove Kino Wisła:

12 IV 2019 r., godz. 20.15 Projekcja filmu „Do widzenia, do jutra" Janusza Morgensterna z muzyką Krzysztofa Komedy

POZNAŃ
Era Jazzu – Czas Komedy
13 IV 2019 r., godz. 19, CK Zamek:

Koncert grupy Radio String Quartet (Austria) w specjalnym programie „Komeda & More"

Fot. Shutterstock

eprasa.pl fad24d143e

Akord jak syk węża

„Chack" to galeria szulerów politycznych i karcianych epoki Sejmu Wielkiego, doskonała zabawa piórem. Ale na głębszym poziomie to przestroga przed tworzeniem fałszywego, przesłaniającego rzeczywistość obrazu świata

Wygląda na to, że do epoki końca I Rzeczypospolitej będziemy ciągle powracać: jak nie Adam Mickiewicz, to Tadeusz Miciński, jak nie „Diabeł" Andrzeja Żuławskiego (film zaraz po nakręceniu w 1972 r. zakazany na długie lata przez peerelowską cenzurę), to „Iksowie" Györgya Spiró (również obłożeni interdyktem GUKPPiW i ostatecznie wydani dopiero w roku 2013). Wiwat maj, Trzeci Maj, dla Polaków błogi raj – ale już zaraz Targowica, sejm grodzieński, finis Poloniae. Tam początek naszej nowoczesnej świadomości politycznej, myślenia o narodzie, jego sprawach i prawach. Tam też jednak doświadczenie upadku, utraty, końca.

Taka trauma jest nam dana, takie więc skojarzenia odzywają się po kolejnych klęskach – przegranych powstaniach, wrześniu '39 czy grudniu '81 – a kto, rozbawiony „obsesjami tanatycznymi", dworowałby sobie z ograniczeń polskiej wyobraźni, nie z Polaków śmiałby się, lecz z reguł rządzących umysłem. Tak to już bowiem jest, że pajęcze mostki neuronów prowadzą każdego wstecz, ku najsilniejszemu, „założycielskiemu" wstrząsowi. I tak ćwierćwiecze od początku Sejmu Wielkiego do powstania Królestwa Kongresowego to najgęstszy chyba czas w naszej historii, a ostatnim kręgiem polskiego piekła pozostaje Targowica. U Dantego w lodowej brei grzęzną Brutus, Kasjusz i Judasz; u Wyspiańskiego wrzące złoto chłepce hetman Branicki.

Dzieje się tak oczywiście na dobre i na złe: sam termin „targowica" tyle razy rozmieniany był na drobne w oracjach, połajankach i tweetach, że dziś kojarzy się w pierwszej kolejności z banią zacietrzewienia i patosu. Plwajmy jednak na tę retorykę za trzy grosze: kto chce zstąpić do głębi, zaczyna po prostu zgłębiać tamten czas, studiować już to poezję polityczną Sejmu Wielkiego (fascynującą, przypomnijmy, choćby młodego studenta polonistyki Jacka Kaczmarskiego), już to dzieje konfederatów barskich. Tradycja spisków i insurekcji, potrzeba głębokiej reformy państwa i przymus rzucenia wszystkiego na szalę – wszystko łączy się z Targowicą. Ta konfederacja pozostaje niewyczerpanym tematem dla historyków, moralistów, ba, metafizyków. Doświadczenie prostodusznych targowiczan (byli i tacy) to tragedia ludzi, którzy przywiązani do akcydensów (weto, kontusz, karabela) nie dostrzegli, że wymknęła im się istota rzeczy: niepodległość.

Stał się też tamten czas tematem dla Włodzimierza Boleckiego. Wydany przed kilkoma miesiącami „Chack" (enigmatyczny tytuł objaśniony jest przez samego autora



eprasa.empik.com

ort ekstremalny

podtytułem „Gracze. Opowieść o szulerach") to plastyczny zapis wspomnianego wyżej ćwierćwiecza – ale i gra, powstała za sprawą długoletniego śledztwa literackiego. Wszystko – i zapis, i gra, i materiały śledztwa – najwyższej próby.

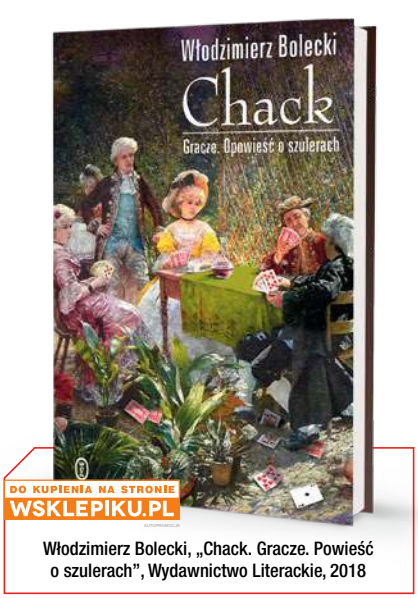
O zapisie trzeba najkrócej, bo jak streścić panoramę zdarzeń rozciągających się między Jassami a Trokami, Neapolem a Tulczynem, między rokiem 1785 a circa 1820, kiedy to urywa się ślad po głównym bohaterze powieści, Ignacym Chodźkiewiczu (vel, jak pisze Bolecki, Chodzkiewiczu lub Hadźkiewiczu, Haukewitzu lub Chacku): szulerze, farmazonie, szpiegu, spiskowcu, oficerze, fantaście i łajdaku? Los prowadził Chacka, syna kresowego szlachcica, przez konwikt, służbę w wojsku rosyjskim i francuskim, wysługiwanie się Targowicy i spiskowanie z Jakubem Jasińskim, przyjmowanie z jednakową łatwością ról patrioty, szefa tajnej policji, organizatora przewrotów, klienta, uczepionego pańskiej klamki – a zawsze z talią w ręku. Jego życiorys z akademicką rzetelnością opisał w jednym z pierwszych tomów Polskiego Słownika Biograficznego, jeszcze w latach 30. ubiegłego wieku, profesor Henryk Mościcki. Tamże, jak przystało na niezrównany PSB, wykaz źródeł: ale czym on jest w porównaniu z tym, czego dokonał Bolecki?

„Pozostawił liczne ślady w rodzinnych archiwach Potockich, Czartoryskich, Poniatowskich, Rzewuskich, Tyszkiewiczów, Branickich, Zamojskich, Mycielskich, Chodkiewiczów, Massalskich, Paców, Tarnowskich, Mniszchów, Ogińskich, Baworowskich" – pisze na pierwszych stronach swej książki profesor, dodając do nich źródła włoskie i francuskie, kolekcje listów, donosów i wzmianek, zbiory rapperswilskie i zasoby AGAD-u, „Pamiętnik konfederacyi generalnej" Jakuba Sebastiana Karpińskiego i zapiski księdza Faustyna Ciecierskiego, zesłańca. Oczywiście. Tyle że na stronach „Chacka" wypisy z tych źródeł – przetworzone, uwspółcześnione, skompilowane – zamieniają się w wariację na temat pisania „powieści biograficznej", w kolaż złożony z setek kryptocytatów. Jedne z nich – frazy z „Pana Tadeusza", słynna deklaracja Szczęsnego Potockiego („ja już jestem Rossyaninem na zawsze") – rozpoznawalne są dla sporej części czytelników, większości domyślać się można po zmianie tonu czy metrum, część pozostanie smacznym sekretem autora i garści fachowców od epoki Sejmu Wielkiego. Bolecki pisze trochę o swoim zamiarze wyjścia poza banalną konstrukcję powieściową, klucz do tworzenia „Chacka" znaleźć jednak również można na okładce, będącej znaczącą przeróbką słynnej sceny pędzla Aleksandra Gierymskiego. Większość patrzących na okładkę zwróci uwagę na najbardziej jaskrawy szczegół, różniący ją od sceny „W altanie" z roku 1882: domalowane karty, a zwłaszcza na zdublowaną dziesiątkę kier, ukłon w stronę szulerskiego rzemiosła. Warto jednak wspomnieć, jak powstawał oryginalny obraz, jedno z niezwykłych płócien polskiego naturalizmu: liczne studia motywów skąpanych w rzymskim świetle – donic, stołu, sylwetek – Gierymski już w Warszawie przemalowywał na wielkie płótno, tworząc całość z wielu cząstkowych ujęć. Nie inaczej poczynał sobie z tropami i cytatami autor powieści.

Niemało w tekście podobnych figli – od kalamburów, zamierzonych anachronizmów, wplatania w nurt zdarzeń zaprzyjaźnionego z Chackiem konsyliarza, niejakiego doktora Boleckiego, aż po kilkuwersową „Bibliografię" na końcu książki, której dezynwoltura („Opracowania [wybór prawie z wszystkich], Zbiory dokumentów [a jakże], Internet [cały], Recenzje, uwagi, kpiny, ekspertyzy – tylko czarujące") dorównuje pamiętnej końcowej frazie „Ferdydurke", przewyższając ją urokiem. „Opowieść o szulerach", choć frantowska, nie powstała jednak z tęsknoty za dobrym żartem. Prócz pasji badacza, prócz wyzwania, jakim jest dochodzenie prawdy o postaci marginalnej, wstydliwej, przemilczanej w zdziesiątkowanych źródłach, stoi u jej początku rymkiewiczowskie niemal zdumienie w obliczu czyjegoś nieistnienia. „Był – a jakby go nie było": ta fraza, powracająca kilkadziesiąt razy, jest jednym z kluczy do powieści.

Drugim jest oczywiście szulerka. Mniejsza o mariasza i faraona, mniejsza o tracone bez umiaru fortuny: prawdziwym tematem „Chacka" jest fałsz. Demagogia targowiczan i opłacanych przez nich pismaków na kartach powieści jest mistrzowska, są oni w stanie zmienić wektory opisu rzeczywistości, prezentując twórców Sejmu Wielkiego jako „opłacanych przez Prusy rewolucjonistów", Katarzynę zaś jako obrończynię swobód i wolności szlacheckich przed „spiskiem dynastycznym" i „szaleństwem jakobinów" zarazem. Brzmi znajomo? Boleckiemu idzie o nieporównanie więcej niż o aluzję do współczesnych retoryk partyjnych. „Chack" ukazuje niebezpieczeństwo zamknięcia się umysłu w wyobrażeniach o świecie które, choć spójne, nie ma nic wspólnego z rzeczywistością. Ofiarą podobnego zatrzaśnięcia w systemie fałszywych ocen padają w książce szeregowi targowiczanie, ale i naiwni insurekcjoniści przekonani, że wolność jest na wyciągnięcie szpady. Bolecki, wytrwały badacz twórczości Herlinga-Grudzińskiego i Józefa Mackiewicza, świadom, jak niewiele można zwykle zdziałać politycznie, przestrzega nas przed niewolą ułudy.

Wojciech Stanisławski



Włodzimierz Bolecki, „Chack. Gracze. Powieść o szulerach", Wydawnictwo Literackie, 2018

eprasa.pl fad24d143e



Adamski poleca

Przerażające kulisy znanej zbrodni

Tej zbrodni mówiła cała Ameryka. 14 czerwca 2015 r. w niepozornym, małym, różowym domu na przedmieściach Springfield w stanie Missouri odkryto zwłoki Dee Dee Blanchard. Lokalna społeczność była w szoku, że ktoś mógł zamordować w bestialski sposób lubianą przez wszystkich matkę opiekującą się ofiarnie przykutą do wózka nastoletnią Gypsy. Matka organizowała akcje charytatywne, zbierała pieniądze na kolejne operacje i jawiła się sąsiadom jako chodząca dobroć. Od kilku dni matki i córki nikt nie widział. „Ta suka nie żyje" – taki wpis na tajnym koncie Facebooka Gypsy znalazła jej koleżanka z sąsiedztwa. Okazało się, że mordu dokonali Gypsy i jej poznany w internecie chłopak.

Dziewczyna została skazana za morderstwo i trafiła do więzienia na 10 lat, choć groziła jej kara śmierci. Chłopak poszedł za kratki na całe życie. Okazało się, że „kochana mamusia" z telewizji przez 20 lat znęcała się nad córką. Wymyślała jej choroby i podtruwała ją lekami. Goliła głowę, by przekonać otoczenie, że dziewczyna ma białaczkę. Dee Dee cierpiała prawdopodobnie na syndrom Münchhausena. To zaburzenie polegające na wywoływaniu u bliskiej osoby objawów choroby, by uzależnić ją od siebie i wymusić współczucie u innych.

Matka przez lata manipulowała otoczeniem i lekarzami w Missouri, dokąd przeprowadziła się ze zniszczonego Kathriną Nowego Orleanu. Wmówiła córce, że wciąż potrzebuje sondy żołądkowej i jest uczulona na słodycze. Tumaniła ją lekami, by sprawiała wrażenie osoby o umyśle siedmioletniego dziecka. Lekarzom wciskała, że dokumentacja medyczna Gypsy została zniszczona podczas huraganu. Córka była uczona w domu i nigdy nie skończyła trzeciej klasy podstawówki. Dee Dee obsypywała ją pluszakami i przebierała w sukieneczki z bajek.

Twórcami „The Act" są Nick Antosca i Michelle Dean, która pierwsza opisała kulisy życia Blanchardów w BuzzFeed. „The Act" bardzo trudno się ogląda. To niezwykle gęsty i sugestywny obraz cierpienia dziecka. Gypsy (Joe King) pragnie być jak każda nastolatka. Chce randkować i buszować w internecie. Matka zabrania jej nawet picia coca-coli. Dee Dee jest doskonale sportretowana przez Patricię Arquette, która w ostatnich latach wyspecjalizowała się w rolach pogruchotanych wewnętrznie, z pozoru zwykłych kobiet, kryjących w sobie demony (Złoty Glob za „Ucieczkę z Dennemory"). Arquette potrafi przejść od cukierkowo przesłodzonej dobroci do mrocznej zaborczości. Nie jest to serial jednowymiarowy. Gypsy nie jest przedstawiona wyłącznie jako ofiara.



„The Act" to wiwisekcja zatrutej, patologicznej relacji matki i córki, ale również pytania o reakcje społeczności. Jak to możliwe, że otoczenie nie widziało toksycznej relacji matki z córką? Czy to przez medialny obraz popularnej chorej dziewczynki i jej sformatowanej do telewizyjnej roli matki? Wstrząsający i bardzo nieprzyjemny serial, który trzeba jednak obejrzeć. Kto wie, czy jakaś Dee Dee nie mieszka w naszym sąsiedztwie.

„THE ACT" DOSTĘPNY NA HBO GO

VOD

Zdumiewająca produkcja

Jest coś przerażającego w tym, w którą stronę idzie serialowa popkultura. Coraz krótsze odcinki są dopasowywane do stylu życia współczesnych ludzi. Oglądane na telefonach komórkowych są dostosowane do czasu przejazdu tramwajem. Odcinki tego serialu trwają od 7 do 15 minut, ale to nie przeszkadza, bo dostajemy ucztę głównie dla oka. Polecam jednak oglądać „Miłość, śmierć i roboty" na jak największym ekranie. Każdy z odcinków realizowany w innym stylu zjawiskowej animacji dowodzi, co dziś potrafią wykreować magicy od efektów wizualnych. Serial jest antologią, więc nie trzeba odcinków oglądać zgodnie z chronologią. Za produkcję odpowiada twórca „Deadpoola" Tim Miller, ponadto David Fincher („Siedem", „Zodiak"), co widać w każdym wymiarze. Fantasy miesza się z komedią i horrorem. Dostaniemy też kino obyczajowe i klasyczny „kumplowski film". Jest i rodzimy wątek! Jeden z odcinków zrealizowało polskie studio Platige Image. Świetna rozrywka.



„MIŁOŚĆ, ŚMIERĆ I ROBOTY" DOSTĘPNY NA NETFLIXIE

Skala ocen: rewelacja dobry pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl fad24d143e

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

Adamski odradza

Totalny niewypał

„Był czarny, czarny las / W tym czarnym, czarnym lesie był czarny, czarny dom / W tym czarnym, czarnym domu był czarny, czarny pokój / W tym czarnym, czarnym pokoju był czarny, czarny stół / Na tym czarnym, czarnym stole była czarna, czarna trumna / W tej czarnej, czarnej trumnie był biały, biały trup..." – tak brzmi fragment książki Joanny Bator „Ciemno, prawie noc". Ten czarny, czarny scenariusz wpędził mnie do tak czarnego, czarnego lasu, że nie byłem w stanie się połapać, gdzie jest sens tej czarnej, czarnej historii.

„Ciemno, prawie noc" jest nie tylko kryminałem o zaginionych w Wałbrzychu dzieciach, lecz również opowieścią o zniszczonym dzieciństwie tych, którzy ich szukają. Reporterka Alicja Tabor (Magdalena Cielecka) wraca do rodzinnego miasta, by rozwikłać zagadkę zniknięcia dwojga maluchów. Śledztwo szybko prowadzi ją do odkrycia tajemnic własnego dzieciństwa. Reżyser Borys Lankosz od samego początku odbija od klasycznego kina kryminału, wprowadzając nas w sen na jawie. Rzeczywistość miesza się z majakami i impresyjnymi koszmarami. Wszystko między obdrapanymi polskimi kamienicami, blokowiskiem a tajemniczymi lasami. Lankosz wybrał odpowiedni sposób na opowiedzenie baśniowej książki Bator. Ja niestety odebrałem jego wizję jako wyjątkowo nieczytelną.

„Ciemno, prawie noc" jest niespójnym, poukładanym z niepasujących do siebie klocków thrillerem, który ani na moment nie wzbudził u mnie dreszczyku emocji. Reżyser przepływa nonszalancko między baśnią o leśnych „kociarach" oraz „kotojadach", historiami wykorzystywanych seksualnie dzieci w domach pełnych przemocy, cofając się do okresu powojennego z Sowietami gwałcącymi w lasach polskie dzieci. Wszystko to jest niestety popękane i nieskładne. Intryga co chwilę się rozjeżdża i rozpryskuje na poboczne wątki. Gdyby jeszcze Lankosz celowo mylił tropy, by zaskoczyć nas narracyjną przewrotką, jego film mógłby intrygować. Karty są jednak tutaj znaczone, a dojście do finału jest zbyt uproszczone i banalne. Finalne mordobicie z mordercą jest wręcz kuriozalne.


Kino

Film jest pełen świetnych aktorów, których postacie są potraktowane naskórkowo. Epizody Dawida Ogrodnika, Piotra Fronczewskiego i Marcina Dorocińskiego wyglądają, jakby były wyjęte z autoparodii gatunku. Postacie Agaty Buzek i Magdaleny Cieleckiej miały potencjał na przejmujące portrety pogruchotanych kobiet. Ja jednak mam w pamięci wgniatające w ziemię film „Ostre przedmioty" Jean-Marc Vallée opowiadający o dziennikarce piszącej w rodzinnej miejscowości reportaż o dzieciobójstwie. Dodajmy, że dziennikarce niemogącej sobie poradzić z własnymi demonami. „Ciemno, prawie noc" dotyka dokładnie tego samego wątku. Lankosz jest jednak daleki od wrażliwości Vallée.

Pogubiłem się w lesie Lankosza, choć mrok tej krainy był paradoksalnie piękny dla oka. No, ale czego innego można się spodziewać po zdjęciach świetnego Marcina Koszałki. To jednak za mało, by przykryć błędy reżysera. Wielki zawód.

„CIEMNO, PRAWIE NOC",
REŻ. BORYS LANKOSZ, DYSTR. KINO ŚWIAT

Typowy średniak

VOD

Grupa byłych agentów sił specjalnych (Ben Affleck, Oscar Isaac, Charlie Hunnam, Garrett Hedlund i Pedro Pascal) umawia się na jeszcze jedno zadanie. Ostatnie wspólne – jak nakazują prawidła kina akcji. Tym razem nie dla swojego kraju, ale dla swojej kieszeni, robią desant na posiadłość ukrytego w dżungli barona narkotykowego. Nie tylko mają pomóc go wyeliminować rządowi Brazylii, lecz przy okazji chcą ograbić z milionów dolarów narkotykowe kartele. Głupawa, ale elektryzująca strzelanka w stylu „Johna Wicka"? Niestety nie, bo twórcy mają ambicje, by powiedzieć coś więcej o żołnierzach pozbawionych zajęcia w ojczyźnie. Problem w tym, że robią to w naskórkowy i banalny sposób. Ten film jest poprawny reżysersko i nieźle zagrany. Nie można tego samego powiedzieć o scenariuszu. Ja po prostu się na tej produkcji nudziłem. Może przez to, że oglądałem zbyt wiele podobnych filmów? Możliwe, że wam się spodoba. Na pewno jest to rozrywka zupełnie niewymagająca. Takie też są potrzebne.



„POTRÓJNA GRANICA"
DOSTĘPNA NA NETFLIXIE

eprasa.pl fad24d143e



GRZEGORZ GÓRNY



Ren wpadł do Tybru

Rewolucja doktrynalna i duszpasterska w niemieckim Kościele współgra z watykańskim programem decentralizacji, a wiele postulatów tamtejszych biskupów oznacza całkowite zerwanie z nauczaniem Kościoła

W języku niemieckim istnieje specyficzne słowo „Sonderweg". Oznacza ono kroczenie przez Germanów swą własną odrębną drogą. Używając tego terminu, nasi zachodni sąsiedzi podkreślali zwłaszcza odmienność od świata romańskiego oraz stworzenie swoistego kręgu kulturowego, a nawet cywilizacyjnego.

Szukając początków tego zjawiska, niemieccy naukowcy sięgali nawet do czasów antycznych, przypominając zwycięstwo Arminiusza nad legionami rzymskimi w 9 r. po Chrystusie. Odwoływali się też do średniowiecznego sporu o inwestyturę między cesarzami a papieżami lub reformacji Marcina Lutra.

„NIE JESTEŚMY FILIĄ RZYMU"

Antyrzymski resentyment nie ominął także Kościoła katolickiego, ujawniając się zwłaszcza po II wojnie światowej. Podczas Soboru Watykańskiego II to niemieccy hierarchowie zakwestionowali wszystkie dokumenty programowe przygotowane przez kurię rzymską i skierowali obrady na zupełnie nowe tory. Oni też byli pierwszymi, którzy otwarcie wypowiedzieli posłuszeństwo Pawłowi VI, gdy w 1968 r. zanegowali jego nauczanie na temat antykoncepcji zawarte w encyklice „Humanae vitae". Tamtejszy episkopat wydał wówczas tzw. deklarację z Königstein, stwierdzając, że watykański dokument nie spełnia wymogów papieskiej nieomylności, w związku z czym hierarchowie pozostawiają swym wiernym swobodę postępowania. Także za pontyfikatu Jana Pawła II często dochodziło do napięć między niemieckimi biskupami a papieżem, np. w kwestii wydawania skierowań na aborcję przez katolickie poradnie rodzinne.

W 2015 r. przewodniczący episkopatu kard. Reinhard Marx powiedział wprost: „Nie jesteśmy filią Rzymu", dodając, że to na niemieckich biskupach (a nie na Watykanie) spoczywa odpowiedzialność za kształt katolicyzmu w ich kraju. Rok później – tego samego dnia, gdy ogłoszono adhortację Franciszka „Amoris laetitia" – kard. Marx zorganizował konferencję prasową, podczas której, powołując się na wspomniany dokument papieski, oświadczył, że od tej pory w Niemczech dopuszczane będą do komunii osoby rozwiedzione i utrzymujące relacje seksualne w ponownych związkach. Choć stanowiło to jawne zerwanie z odwiecznym nauczaniem Kościoła, z czasem opowiedzieli się za tym wszyscy członkowie episkopatu.

20 lutego 2018 r. podczas posiedzenia tego gremium przegłosowano większością 2/3 głosów (przy sprzeciwie tylko 13 biskupów) nową instrukcję duszpasterską zezwalającą na przystępowanie do komunii protestantom, których współmałżonkowie są katolikami. Dokument nie został wprowadzony w życie, ponieważ siedmiu hierarchów, którzy zostali przegłosowani, odwołało się do Watykanu. Ich zdaniem o sprawach dotyczących wiary i jedności całego Kościoła nie może decydować na drodze głosowania lokalny episkopat należący do jednego kręgu językowego i kulturowego. Pozostaje to bowiem wyłączną kompetencją Urzędu Nauczycielskiego. Poza tym rozwiązanie zalecane przez nową instrukcję jest sprzeczne z całym dotychczasowym nauczaniem Kościoła, które wymaga, by osoba przystępująca do komunii podzielała wiarę katolicką w odniesieniu do Eucharystii.

3 maja 2018 r. w Rzymie odbyło się „spotkanie na szczycie" dostojników watykańskich z hierarchami niemieckimi. Dyskusja skończyła się posta-

eprasa.pl fad24d143e



Na zdj. od lewej: kard. Reinhard Marx (arcybiskup Monachium i Freising oraz przewodniczący Konferencji Episkopatu Niemiec), Nikola Eterovic (nuncjusz apostolski w Niemczech) i Heinz Josef Algermissen (biskup Fuldy)

Fot. East News/Frank Rumpenhorst/DPA

nowieniem Franciszka, że biskupi sami muszą znaleźć „możliwie jednomyślne rozwiązanie". Ponieważ okazało się to nie do zrealizowania na forum episkopatu, przyjęto, że odtąd ordynariusze w swoich diecezjach na własną rękę będą decydowali o dopuszczeniu protestantów do Eucharystii. Większość z nich opowiedziała się takim rozwiązaniem. Bp Gerhard Feige z Magdeburga nakazał np. swym księżom dopuszczanie do komunii przedstawicieli wszystkich bez wyjątku wyznań chrześcijańskich, byle byli ochrzczeni.

SIX SEX

Teraz nadchodzi kolejny etap Sonderweg. Podczas niedawnego posiedzenia episkopatu Niemiec kard. Marx oświadczył, że Kościół w jego kraju jest gotów na gruntowne przewartościowanie katolickiej etyki seksualnej. Biskupi przyjęli jego propozycję, by dochodzenie do nowych rozwiązań odbywało się „drogą synodalną" poprzez debaty w trzech grupach dyskusyjnych. Wiadomo, że będą omawiane takie zagadnienia, jak m.in. antykoncepcja, celibat księży, stosunki pozamałżeńskie, gender czy akty homoseksualne. Pierwsze wyniki debat zostaną przedstawione we wrześniu.

Wielu hierarchów niemieckich opowiada się za zmianami oficjalnego nauczania Kościoła w tych sprawach określanych mianem „six sex" (czyli sześć postulatów rewolucji seksualnej). Niedawno biskupi niemieccy stwierdzili, że należy przyjmować do seminariów i wyświęcać na księży jeszcze więcej gejów. Była to ich reakcja na ogłoszony raport o molestowaniu nieletnich przez duchownych, z którego wynikało, że homoseksualiści są sprawcami 62 proc. czynów pedofilskich.

Coraz częściej rozlegają się też głosy, by skończyć z uznawaniem aktów pederastii za czyny grzeszne, a nawet zacząć błogosławić związki jednopłciowe (są już kapłani, którzy publicznie przyznają się do takich praktyk). Jeśli dodamy do tego inny postulat niemieckich biskupów, czyli zniesienie celibatu księży, oznacza to de facto otwartą drogę do zaakceptowania homoseksualnych duchownych, jawnie żyjących ze swoimi partnerami, jak to się już dzieje w wielu wyznaniach protestanckich. Przyjęcie wspomnianych postulatów oznaczać będzie całkowite zerwanie z nauczaniem Kościoła w kwestiach zarówno moralnych, jak i doktrynalnych.

W STRONĘ DECENTRALIZACJI

Za pontyfikatów Jana Pawła II i Benedykta XVI takie pomysły spotykały się ze zdecydowanym sprzeciwem Stolicy Apostolskiej. Obecnie trafiają jednak w Watykanie na inny grunt. Franciszek bowiem uważa, że katolicyzm jest zbyt scentralizowany, wręcz rzymskocentryczny. Należy w związku z tym przejść do innego modelu zarządzania Kościołem, który odda więcej władzy niższym strukturom.

Jest to zgodne z jego zamysłem, który wyraził już w programowym dokumencie swego pontyfikatu, adhortacji „Evangelii gaudium", gdy pisał: „Nie uważam także, że należy oczekiwać od papieskiego nauczania definitywnego lub wyczerpującego słowa na temat wszystkich spraw dotyczących Kościoła i świata. Nie jest rzeczą stosowną, żeby Papież zastępował lokalne Episkopaty w rozeznaniu wszystkich problemów wyłaniających się na ich terytoriach. W tym sensie dostrzegam potrzebę przyjęcia zbawiennej »decentralizacji«".

Przypomniał to także w „Amoris laetitia": „Pragnę podkreślić, iż nie wszystkie dyskusje doktrynalne, moralne czy duszpasterskie powinny być rozstrzygnięte interwencjami Magisterium". Uwypuklił to również w „Gaudete et exsultate": „Prawdę, którą otrzymujemy od Pana, możemy pojąć jedynie w sposób bardzo niedoskonały. Z jeszcze większą trudnością udaje się nam ją wyrazić. Dlatego nie możemy udawać, że nasz sposób rozumienia upoważnia nas do sprawowania ścisłego nadzoru nad życiem innych. Chcę przypomnieć, że w Kościele współistnieją zgodnie z prawem różne sposoby interpretacji wielu aspektów doktryny i życia chrześcijańskiego, które w swojej różnorodności »pomagają lepiej wyrazić niezwykle bogaty skarb Słowa«. Oczywiście »ludziom tęskniącym za monolityczną doktryną, bronioną bez żadnych wyjątków przez wszystkich, może się to wydawać jakimś niedoskonałym rozpraszaniem«".

W tym kontekście nie dziwi, że Franciszek nie odpowiedział na pytania czterech kardynałów, którzy prosili go o ostateczne wypowiedzenie się w sprawie komunii dla rozwodników. Staje się też zrozumiałe, dlaczego – mimo próśb części niemieckich hierarchów – nie rozstrzygnął definitywnie ich sporu o dopuszczenie do Eucharystii protestantów. On po prostu rezygnuje ze swych papieskich atrybutów doktrynalnych na rzecz episkopatów i biskupów.

Niedługo nastąpi nowy etap decentralizacji. Jak poinformował jeden z najbliższych współpracowników Franciszka kard. Óscar Rodríguez Maradiaga, już wkrótce ogłoszona zostanie nowa konstytucja apostolska, która zmieni radykalnie ustrój Kościoła. Zniknąć ma „piramidalna" struktura władzy z papieżem na samym szczycie, a kuria rzymska nie będzie już „organem władzy", lecz „służby". Przede wszystkim znacząco wzrośnie jednak rola episkopatów. Mają one zostać obdarzone – jak zapowiadał Watykan już rok temu – „pewnym autorytetem doktrynalnym". Jeśli te plany zostaną zrealizowane, Kościół, jaki znamy w obecnej formie, odejdzie w przeszłość, a katolicyzm coraz bardziej upodobni się do protestantyzmu.

eprasa.pl fad24d143e



Kierunek Europa



JAN PARYS

Dziś żadna partia, od lewicowej do prawicowej, nie może się koncentrować tylko na sprawach krajowych. Na nasze życie w Polsce bardzo wpływa sytuacja za granicą, w tym aktywność różnych władz Unii.

Uważam, że dla Polaków w sprawach naszego kontynentu drogowskazem są wypowiedzi Jan Pawła II, który wielokrotnie podkreślał, iż nie będzie wolnej ani bezpiecznej Europy, dopóki kontynent nasz będzie podzielony, dopóki Europa nie stanie się jednym organizmem złożonym z dwóch płuc: wschodnio- i zachodnioeuropejskiego. Stąd mając w pamięci postawę papieża, udział w majowych wyborach do Parlamentu Europejskiego można uznać za obowiązek wszystkich Polaków, którym leży na sercu dobro ojczyzny. Kto nie bierze udziału w wyborach do PE, sprzeniewierza się przesłaniu papieża Polaka.

Jeżeli idzie o elektorat PiS, to jego udział w wyborach powinien być oczywisty. Nie można zapomnieć, że to prezydent Lech Kaczyński negocjował i ratyfikował traktat o Unii Europejskiej. Zresztą według PiS europejskie korzenie naszego kraju są o wiele starsze niż integracja naszego kontynentu. Losy Polski i Europy są powiązane od wieków. Oczywiście priorytetem PiS jest nie tylko poszanowanie tradycji Europy, to także troska o bezpieczeństwo państwa i innowacyjność gospodarki.

ROLA EUROSCEPTYKÓW

Każda część elektoratu powinna mieć swoją reprezentację w europarlamencie, także eurosceptycy. Krytyka Unii nie oznacza odrzucenia integracji europejskiej. Demokrata nie obraża się na opinię publiczną, lecz stara się ją zrozumieć. W wielu krajach są silne partie krytycznie nastawione wobec unijnych instytucji. To nic dziwnego, po prostu te instytucje są dziś kierowane przez nieudolnych ludzi, którzy nie realizują tego, czego oczekują Europejczycy. Krytyka UE jest zrozumiała i często uzasadniona, wystarczy spojrzeć na duży procent bezrobotnych, zwłaszcza wśród młodzieży. Ten, kto odrzuca głosy krytyczne, udaje, że takich problemów nie ma, tymczasem duże bezrobocie wśród młodzieży tworzy w kilku krajach UE sytuację prawie rewolucyjną. Jeżeli nie poprawimy działania instytucji Unii, to wkrótce

eprasa.pl fad24d143e



Kiedy rozpoczyna się kampania wyborcza do Parlamentu Europejskiego, nawet najbardziej zagorzali krytycy Unii Europejskiej zaczynają walczyć o wpływy w Brukseli

Fot. Shutterstock (x2)

będziemy mieć bunt „żółtych kamizelek" w licznych miastach wielu państw Europy. Niestety działalność obecnej Komisji Europejskiej jest przykładem regresu demokracji na naszym kontynencie. Komisja bez żadnego mandatu postępuje, jakby była radą nadzorczą nad suwerennymi państwami.

ZNACZENIE POLSKICH GŁOSÓW

Każdy, kto czuje się spadkobiercą tradycji niepodległości oraz tradycji „Solidarności", ma nie tylko prawo, lecz i obowiązek starać się o to, by nowy Parlament Europejski troszczył się o poszanowanie wolności, wiary, naszego majątku oraz dziedzictwa naszej kultury, a przede wszystkim o to, by władze i aparat Unii szanowały wolę obywateli naszego kontynentu.

Aby coś osiągnąć w Parlamencie Europejskim, deputowani nie mogą się ograniczyć do wygłaszania głośnych protestów czy deklaracji. Muszą się wykazać umiejętnością budowy koalicji i tak negocjować polskie interesy, by było oczywiste, że są one częścią interesu ogólnoeuropejskiego, ważnego co najmniej dla kilku państw. Zatem nie tylko liczba naszych parlamentarzystów jest istotna, ważne, by mieli wiedzę i umiejętność przekonywania argumentami. Możliwość kooperacji PiS z ugrupowaniem wicepremiera Salviniego oraz innymi podobnymi ideowo jest szansą, by polscy europosłowie odegrali poważną rolę w Unii.

DOROBEK UE?

Trudno nie dostrzec w UE wielu spraw, z którymi sobie dotychczas nie poradziła. Jest wiele problemów, które sama pogłębiła przez nieudolność swych miernych umysłowo komisarzy, np. brexit, migracja, sytuacja społeczna w Grecji, Nord Stream 2 czy konflikt z Polską. Zatem wiele problemów czeka na rozwiązanie. Wiele spraw bolesnych dla obywateli różnych krajów jest tej skali, iż ich rozwiązanie nie jest możliwe przez rządy pojedynczych państw. Stąd zwłaszcza teraz, kiedy w kilku krajach panuje duże bezrobocie, kiedy jest słaba koniunktura gospodarcza, potrzebny jest wspólny wysiłek państw działających w ramach UE. Zapewnienie każdemu obywatelowi prawa do godnego życia – to powinien być główny cel pracy Unii. Uważam, że istnieje dobro wspólne dla wszystkich obywateli krajów UE, takie jak bezpieczeństwo, praca, rozwój demograficzny, transport drogowy i kolejowy, zaopatrzenie w surowce, innowacyjność, konkurencyjność, deregulacja gospodarki, swobodny handel. To umacnianie wolnego rynku powinno być fundamentem integracji europejskiej. O tak rozumiane dobro wspólne mogą zabiegać przedstawiciele Polski w Parlamencie Europejskim.

BŁĘDY W PRACY UE

Widząc to, co wadliwe lub niedoskonałe, trzeba powiedzieć jasno: nie należy Unii Europejskiej zwalczać ani z niej uciekać, warto ją uzdrawiać i poprawiać, tak by lepiej służyła ludziom, by była Unią na miarę naszych marzeń. Uważam, że mimo wad UE da się lubić.

Racjonalne podejście do Unii można określić jako eurorealizm, czyli spojrzenie na UE bez naiwnej apologii za to z wolą doskonalenia, bowiem mamy świadomość, że Unia musi się stale zmieniać, by sprostać wyzwaniom, jakie niesie XXI w.

Postępowanie Komisji Europejskiej wobec Polski w czasie ostatnich trzech lat wejdzie do podręczników organizacji międzynarodowych jako przykład zakłamania ze względu na stosowanie podwójnych standardów. Widać to wyraźnie także w odmiennym traktowaniu przez KE np. Włoch i Francji. Od lat nikt tak integracji europejskiej nie zaszkodził jak obecna Komisja. Jej postępowanie wobec RP można bez obaw nazwać Himalajami hipokryzji. W Polsce trójpodział władzy istnieje od kilku wieków. Tradycją naszej demokracji jest, by parlament nie był ograniczony przez władzę sądowniczą ani jakiekolwiek wpływy zagraniczne.

Od kilku lat przedstawiciele Niemiec i Francji w UE próbują narzucić wszystkim państwom swój model ustroju, tzw. demokrację liberalną. Jest to całkowicie bezprawne. W traktacie lizbońskim nie ma takiego określenia, nie ma zapisu, by jakiś jeden model demokracji był obowiązujący. Poza tym patrząc na funkcjonowanie tego liberalnego modelu we Francji, można mieć uzasadnione wątpliwości, czy jest to model sensowny i czy skutecznie zapewnia realizację woli obywateli. Nic dziwnego, że patrząc na bunt „żółtych kamizelek", coraz więcej osób uważa liberalną demokrację za karykaturę prawdziwej demokracji, która tak naprawdę służy temu, by oszukiwać obywateli i zapewniać władzę skorumpowanej elicie.

ROLA POLSKICH EUROPARLAMENTARZYSTÓW

Głównym problemem w wielu krajach Europy jest dziś bezrobocie, ochrona poziomu życia grup najsłabszych ekonomicznie, walka z wykorzystywaniem państw przez nieuczciwe korporacje i egoistyczne elity. Aby rozwiązać wymienione kwestie, potrzebna jest nowa polityka, a przede wszystkim inwestycje

eprasa.pl fad24d143e

w branże nowoczesnych technologii, innowacyjne i konkurencyjne. Trzeba także inaczej dzielić zyski firm i przychody budżetowe. Inaczej, czyli bardziej sprawiedliwie, bardziej korzystnie dla pracobiorców. Dzięki europejskim inwestycjom w rozwój inteligentnych technologii kraje mogą dokonać skoku w nowoczesność. Polska jest przykładem kraju, który ograniczył poziom biedy, jednocześnie osiąga wysoki poziom wzrostu gospodarczego i potrafi walczyć z szarą strefą. To dowód, że skuteczna polityka prospołeczna jest możliwa. Oprócz tego warto zabiegać:

– o to, by decyzje w Unii były podejmowane w instytucjach przewidzianych traktatem o UE, a nie przez gremia nielegalne z punktu widzenia traktatu, jak Grupa Frankfurcka;

– o prawo każdego kraju do obrony swych praw, moralności i obyczajów, bo wrogiem integracji europejskiej nie są narodowe interesy, lecz egoizm niektórych polityków. Konieczne jest upowszechnienie przekonania, iż decyzje dotyczące jakiegokolwiek kraju, nawet małego i zadłużonego, muszą zapadać przy jego udziale. Suwerenność małych krajów nie może być naruszana dla interesu dużych państw, jak to było w przypadku Grecji, czy w imię lewicowych ideologii, jak to było ostatnio w przypadku Węgier.

ROLA CENTROPRAWICY W EUROPARLAMENCIE

Jeżeli idzie o parlamentarzystów katolickich czy konserwatywnych, to uważam, iż będąc w Brukseli, powinni:

– stale przypominać, że w traktacie lizbońskim nie ma zapisu o wyższości prawa europejskiego nad krajowym, zatem są pełne podstawy, by kraje utrzymały podstawowe atrybuty swej suwerenności, jakim jest uchwalanie prawa, budżetu i podatków;

– zabiegać o to, by Unia mniej zajmowała się ideologią, aby była bardziej pragmatyczna w swym działaniu;

– współpracować z sobą, aby razem pilnować, by kształt UE był zgodny z ideą jej założycieli: Schumana, Adenauera i Gasperiego;

– podkreślać, iż jeżeli komuś zależy na jedności kontynentu, powinien zaakceptować to, że jest on zróżnicowany narodowo oraz ze względu na wielość kultur.

Przedstawiciele centroprawicy z Polski powinni pamiętać, że są jedyną siłą, która jest trwale i wyraźnie proatlantycka, co moim zdaniem jest podstawą naszego bezpieczeństwa. Wzmacnianie powiązań militarnych między Europą a Stanami Zjednoczonymi jest ważne dla bezpieczeństwa Polski. Kiedy w końcu 1991 r. zostałem ministrem obrony narodowej, Polska zapoczątkowała współpracę z NATO i przeorientowała swą politykę obronną na prozachodnią. To wówczas przebywający na moje zaproszenie w Warszawie sekretarz generalny NATO ogłosił: „Drzwi do Paktu dla Polski są otwarte". PiS w europarlamencie jest kontynuatorem rządu Jana Olszewskiego, ma obowiązek troski o opcję atlantycką w europejskiej polityce bezpieczeństwa.

Trzeba pilnować, by w polityce Unii czynnik geopolityczny był brany pod uwagę. Kiedy tego zabraknie, dochodzi do takich decyzji jak budowa rurociągu Nord Stream. Nie można w działaniach międzynarodowych widzieć tylko aspektu ekonomicznego czy moralnego. Istotny jest także aspekt geopolityczny. Opcja prorosyjska jest groźna dla bezpieczeństwa całej Europy, a nie tylko dla Polski. W obliczu militarnego zagrożenia Europy ze Wschodu i gospodarczego ze strony Chin, każdy, kto oddziela Europę od Stanów Zjednoczonych, działa krótkowzrocznie. Bo Europa nie ma potencjału technologicznego ani finansowego, by bez USA bronić swej niezależności wobec Rosji czy Chin. Tego niestety nie rozumie wielu eurokratów z Francji i Niemiec.

PODSTAWOWA ZASADA DLA UE: SŁUCHAĆ LUDZI

Wiadomo, że zwykły obywatel mniej interesuje się wskaźnikami, uchwałami czy procedurami decyzyjnymi, patrzy na to, czy poprawia się sytuacja życiowa w jego najbliższym otoczeniu. Jednak do sukcesów w dziedzinie społeczno-gospodarczej dochodzi się stopniowo, najpierw poprzez wybory właściwych ludzi, a potem przez trafne decyzje odpowiednich władz.

Miliony Europejczyków, które żyły w krajach totalitaryzmu, lepiej niż inni rozumieją, że pomyślny rozwój Unii jest możliwy tylko wtedy, kiedy UE będzie szanować kompetencje poszczególnych krajów i regionów, a nie kiedy będzie na stałe centralizować decyzje.

Każdy, kto jest prawdziwym demokratą, powinien szanować wolę Europejczyków, którzy kilka lat temu w referendum odrzucili pomysł europejskiej konstytucji oraz idee budowy superpaństwa. Kto dziś zgłasza takie pomysły, daje wyraz swej arogancji i wyraża pogardę wobec woli mieszkańców Europy. Obecna Komisja postępuje tak, że miliony Europejczyków postrzegają Unię jako obcą siłę, która pod pretekstem ujednolicenia zabiera wolność, zamiast jej strzec. Nie może być tak, że władze UE pod pretekstem promocji demokracji uchwalają fundusze na destabilizację legalnie wybranych rządów, bo te pragną zachować suwerenność swych państw.

Obecne wybory do Parlamentu Europejskiego odbywają się w czasie, kiedy wspominamy wybuch i zakończenie I wojny światowej. Warto z tej okazji przypomnieć, że wybuchła ona z powodu braku poszanowania obywateli, z pogardy dla wolności narodów, z dążeń do dominacji dużych państw nad mniejszymi. Tamta wojna powinna być dziś przestrogą. Kto chce pokoju, nie może łamać woli obywateli, nie może tworzyć antydemokratycznych struktur, nie może narzucać obywatelom tego, jak mają myśleć lub co mają jeść.

To brzmi może trochę zabawnie, ale jeżeli pozwolimy biurokratom, by rządzili w naszej kuchni, to wkrótce zabiorą nam wolność myślenia i gospodarowania, będą nam narzucać model rodziny i programy nauczania.

PATOLOGIE W PRACACH UNII

UE często za bardzo chce regulować nasze życie, za bardzo chce ingerować w sprawy krajowe, jej urzędnikom wydaje się, że wiedzą lepiej, co dla ludzi jest dobre, a to wielki błąd. Tymczasem źródłem władzy jest wola ludu, a nie wyznawanie modnej ideologii.

Warto wybierać do władz UE takie osoby, które chcą budować Unię optimum, czyli taką, która skupia się na

eprasa.pl fad24d143e



najważniejszych problemach i nie ma ambicji, by regulować wszystko czy kontrolować życie każdego z nas.

Bogactwem Europy nie jest unifikacja, lecz różnorodność pod każdym względem, od stylu życia po smaki kulinarne. Nie do przyjęcia jest, by Unia ingerowała w nasz światopogląd, naszą moralność, nasze menu czy w nasze życie seksualne. Pięcioletni mandat europosła czy urzędnika UE nie daje nikomu prawa, by odrzucać czyjeś tradycje i wartości, do których należy m.in. oddzielenie państwa od sfery sacrum i pozostawienie spraw etyki każdemu obywatelowi, zależnie od jego światopoglądu. Szanujemy wszystkich ludzi na całym świecie, ale mamy prawo cenić nasze wartości bardziej niż style życia innych cywilizacji, mamy prawo na terenie Polski cenić naszą tradycję bardziej niż inne.

Kompetencje Unii to coś, co jest depozytem powierzonym jej czasowo przez poszczególne kraje do realizacji określonych zadań. Dziś często postępowanie UE jest postrzegane w wielu krajach jako przymus zewnętrzny, jako nadaktywność obcej struktury, która występuje w roli prokuratora i policjanta. Tymczasem Unia ma pomagać krajom, kiedy o to proszą, nie może ich zastępować z własnej woli.

SPRZECZNOŚCI MIĘDZY INTERESEM POLSKI I UE?

Nie ma konfliktu między interesem Polski a interesem Unii. Można być jednocześnie dobrym Polakiem i dobrym Europejczykiem, dlatego że nasz kraj jest od dawna częścią Europy. Taka sprzeczność nie istnieje faktycznie, ona może się pojawić jako przejaw nieudolnego spojrzenia na rzeczywistość, jest zatem tylko wynikiem błędu w myśleniu nieudolnych biurokratów o partykularnych interesach.

Jak podkreślał znany dominikanin i filozof Józef Maria Bocheński, potęga Europy, jej znaczenie w świecie bierze się z wartości naszej łacińskiej cywilizacji. Nie chcemy ich narzucać w innych częściach świata, ale mamy prawo ich bronić u nas, bo mamy prawo bronić naszego modelu życia na naszym kontynencie. Nie odstąpimy od przestrzegania wolności wyznania i pluralizmu politycznego, potrzebujemy szacunku dla trzech wielkich europejskich tradycji: etyki judeo-chrześcijańskiej, zasad prawa rzymskiego, racjonalizmu myśli greckiej. To są fundamenty łacińskiej cywilizacji, która łączy mieszkańców Europy bardziej niż doraźne interesy. Kryzys, który dziś obserwujemy, nie dotyczy europejskich wartości, lecz kapitalizmu w wersji wynaturzonej przez pseudoliberalizm.

Nie ma konfliktu Polski z Europą ani z Unią. Natomiast w czasie ostatnich trzech lat obserwowaliśmy, jak z powodów ideologicznych Komisja Europejska atakowała polski konserwatywny rząd ze względu na prowadzone w kraju reformy skorumpowanego i nieprofesjonalnego wymiaru sprawiedliwości. Komisja ingerując w nasze reformy wymiaru sprawiedliwości, nie tylko broni skorumpowanego układu w sądownictwie, lecz sama łamie prawo, bo traktat lizboński nie daje jej kompetencji do zajmowania się wszystkim, czym chce. Komisja może się zajmować kwestiami, które wymienione są w traktacie, a tam uprawnień do wpływania na krajowy wymiar sprawiedliwości nie ma. Poza łamaniem prawa Komisja narusza podstawową wartość kultury europejskiej, jaką jest klasyczna definicja prawdy sformułowana przez Arystotelesa. Zarzuty KE pod adresem Polski są sprzeczne z rzeczywistością, są oparte na ocenach czysto ideologicznych i służą jedynie interesom politycznym Niemiec.

PLAN ZADAŃ DO WYKONANIA W BRUKSELI

Można mieć krytyczne podejście do decyzji różnych instytucji unijnych, ale pozytywną postawę wobec integracji Europy. Uważam, że dziś przede wszystkim trzeba odzyskać Unię dla obywateli. UE ma się zajmować tylko tym, co zapisano w traktacie i niczym więcej. Procedura przyjmowania nowego traktatu jest trudna. Można natomiast poprawić obecny. Prawo przewiduje możliwość tzw. skróconej procedury korekty traktatu z pominięciem skomplikowanych prac Konwentu. Potrzebna jest jedynie milcząca zgoda (tacito consensu) co do proponowanych zmian na Radzie Europejskiej. To jest właściwa droga, by Unię naprawić, by ją wyrwać z rąk biurokratów i ideologów. Komisja Europejska powinna być jedynie organem wykonawczym Rady Europejskiej, bo to rządy mają mandat od obywateli, a nie komisarze. System głosowania ma zapewniać równowagę między dużymi i małymi państwami. Tylko taka odnowiona republikańska Unia pozostanie dla mieszkańców naszego kontynentu najważniejszą ideą w XXI w. Korekta traktatu lizbońskiego w kierunku republikańskim to także szansa, by Wielka Brytania pozostała w Unii.

Kandydaci do Parlamentu Europejskiego mają gwarantować naprawę Unii, stanowczą obronę Europy w UE oraz obronę interesów naszego kraju wobec biurokratów. Najważniejsze zatem, aby przy głosowaniu pamiętać, że do starań o dobro wspólne w Brukseli potrzebni są ludzie, dla których prawda i wolność są wartościami ważniejszymi niż interes osobisty.

eprasa.pl fad24d143e

„Russiagate", czyli największe kłamstwo demokratów

Prawie dwa lata trwało śledztwo specjalnego prokuratora Departamentu Sprawiedliwości USA Roberta Muellera. Wykazało, że Donald Trump nie współpracował z Rosją, by wygrać wybory prezydenckie w 2016 r. Powinno to cieszyć wszystkich zwolenników demokracji. Tymczasem liberalny amerykański mainstream zgrzyta zębami i szuka kolejnych haków na gospodarza Białego Domu. W końcu następne wybory tuż-tuż





ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Donald Trump i Władimir Putin. Armia rosyjskich trolli i hakerów. Oszukana kandydatka demokratów Hillary Clinton. Miliony naiwnych amerykańskich wyborców, sprowadzonych na manowce w mistrzowsko uknutym amerykańsko-rosyjskim spisku. Inaczej się nie da – zdaniem liberalnych elit – wytłumaczyć, że ten „niepoprawny politycznie bufon" wygrał wybory prezydenckie w 2016 r., gdy wszystkie mainstreamowe media oraz sondaże wieszczyły zwycięstwo Clinton. Nie, CNN, MSNBC, ABC News, „New York Times" i „Washington Post" nie mogą się mylić. To musiał być spisek. Inaczej nikt przy zdrowych zmysłach by na Trumpa nie głosował.

Oto narracja, która zdominowała amerykańskie media przez ostatnie trzy lata. Miliony gorzkich słów napisanych i wypowiedzianych na portalach, w telewizji, Facebooku i Twitterze oskarżających prezydenta USA o zdradę i grożących mu procedurą impeachmentu. Gdy tylko uda się zebrać dowody na to, że on i jego otoczenie działali w zmowie z Rosją.

NAJDROŻSZY FAKE NEWS W HISTORII

W maju 2017 r. uruchomiono w tej sprawie nawet oficjalne śledztwo pod kierownictwem specjalnego prokuratora Departamentu Sprawiedliwości Roberta Muellera. Wcześniej ówczesny szef Wywiadu Narodowego – nominowany przez Baracka Obamę James Clapper – otwarcie zasugerował, że prezydent Rosji „osobiście kazał przeprowadzić kampanię w celu dyskredytowania Hillary Clinton oraz procesu elektoralnego w USA".

Mueller, choć należy do Partii Republikańskiej, nie zalicza się do zwolenników Trumpa. Za to jest – jak podkreśla amerykański portal Vox – „prawnym konserwatystą", co oznacza, że „ma ogromny szacunek dla autorytetu innych gałęzi rządu". A więc także dla prezydenta. Ponadto uznał, że jego zadaniem (podobnie jak każdego przeciętnego prokuratora w sądzie) jest

eprasa.pl fad24d143e



Fot. East News/Saul Loeb/AFP

udowodnienie ponad wszelką wątpliwość, że istniała zmowa między sztabem wyborczym Trumpa a Kremlem. A tego nie udało mu się zrobić, choć zatrudnił w tym celu 19 prawników i 40 byłych agentów FBI oraz przesłuchał ponad 500 świadków. Koszt trwającego 22 miesiące dochodzenia wyniósł aż 34 mln dolarów. I nic. Rosyjsko-amerykański spisek okazał się najdroższym fake newsem w historii. Co oznacza, że Hillary Clinton przegrała wybory w sposób tradycyjny. Nie udało jej się przekonać do siebie rzeszy białych Amerykanów klasy średniej, którzy od kontynuacji prezydentury Obamy pod innym szyldem woleli „make America great again".

Jak podkreślił prokurator generalny William Barr, który nadzorował śledztwo Muellera: „Rosja rzeczywiście usiłowała ingerować w wybory prezydenckie za oceanem". Poprzez kampanie dezinformacyjne, zhakowanie kont e-mailowych Narodowego Komitetu Demokratów oraz członków sztabu wyborczego Clinton i opublikowanie tych maili na portalu Wikileaks. Jednak nie ma żadnych dowodów na to, że czyniła to w zmowie (choćby milczącej) z Trumpem i jego sztabem. Nie da się też jednoznacznie ustalić, czy Trump utrudniał śledztwo w tej sprawie. Mueller, jako prawny konserwatysta, uznał, że zwolnienie przez prezydenta USA szefa FBI Jamesa Comeya (który bezprawnie zabrał z sobą dokumenty dotyczące śledztwa, a następnie przekazał je mediom) było zgodne z prawem, nominowanie i zwalnianie szefów służb specjalnych należy bowiem do jego prerogatyw. Bez podawania powodów. Trump miał, zdaniem Muellera, także prawo żądać od Comeya lojalności. A wyrażenie przez prezydenta USA w obecności szefa FBI „nadziei" – jak podkreśla Greg Jarrett, autor książki „Rosyjska mistyfikacja" („The Russia Hoax") – że jego były doradca ds. bezpieczeństwa gen. Michael Flynn zostanie oczyszczony z zarzutów, trudno nazwać „wywieraniem politycznej presji" na śledztwo. Wicedyrektor FBI Andrew McCabe zeznał zresztą przed komisją ds. służb specjalnych Senatu, że nie było prób ingerencji w śledztwo agencji, także ze strony Białego Domu. Podobne zeznania złożył zastępca prokuratora generalnego Rod Rosenstein.

Mueller nie uważa więc za konieczne prowadzenia kolejnych dochodzeń w tzw. aferze Russiagate, nie zaleca także oskarżania kolejnych osób. Podczas swojego śledztwa prokurator specjalny postawił w stan oskarżenia ponad 30 osób, w tym także z otoczenia prezydenta. Żadna z tych osób nie została jednak skazana za rzekomą zdradę na rzecz Rosji czy manipulowanie procesem wyborczym, tylko za inne, bardziej pospolite przewinienia, jak korupcja, składanie fałszywych zeznań czy pranie brudnych pieniędzy.

Mueller pozostawił jednak demokratom pewną furtkę. Napisał w swoim raporcie, że wprawdzie nie znalazł dowodów na to, że Trump popełnił jakiekolwiek przestępstwo, ale to nie jest, jego zdaniem, równoznaczne z „oczyszczeniem go z zarzutów". Tym samym kwestia winy czy niewinności prezydenta może powrócić. W Kongresie.

GORZKA PIGUŁKA

Tym bardziej iż wynik śledztwa specjalnego prokuratora jest dla przeciwników Trumpa, szczególnie dla demokratów, trudny do przełknięcia. Dziennikarka MSNBC Rachel Maddow płakała, przekazując widzom konkluzje raportu. A jej redakcyjny kolega Chris Matthews wyraził głębokie

eprasa.pl fad24d143e

rozczarowanie, że „Trumpowi i jego rodzinie się upiekło". „Jak to się stało?" – pytał zdumiony. Publicysta HBO Bill Maher podkreślił zaś, że „nie potrzebuje śledztwa, by wiedzieć, że Trump jest zdrajcą". „Mam telewizję" – dodał. Pogarda dla faktów to nic nadzwyczajnego w przypadku liberalnych mediów za oceanem. Jak zaznacza Leonid Bershidsky na łamach agencji Bloomberg, gdyby medialny mainstream w USA szanował fakty i miał „blade pojęcie o Rosji", nie uwierzyłby „w ten cały nonsens". „Ludzie, którzy w tej narracji występują w roli emisariuszy Kremla, nimi ewidentnie nie są. Nie mają żadnego wpływu na politykę Kremla ani nie zostali upoważnieni przez Putina" – zaznacza Bershidsky. Jego zdaniem najciekawszym momentem śledztwa Muellera były zarzuty wobec rosyjskiej grupy hakerów. „Zhakowanie kont e-mailowych i przekazanie ich zwartości mediom pokazuje, że działania Rosji były mało subtelne. Była to najłatwiejsza rzecz, jaką można było zrobić. Kreml nie wykazał się tu dużym wysiłkiem ani oryginalnością [...] To, że Trump nie prowadzi po wyborach polityki prorosyjskiej, samo w sobie pokazuje, że żadnej zmowy nie było" – wyjaśnia publicysta.

Jego słowa raczej nie trafią do demokratów, którzy wciąż żywią nadzieję, że 400-stronicowy raport specjalnego prokuratora, gdy już zostanie w całości opublikowany, pokaże, że nieudolne próby ustanowienia przez otoczenie Trumpa, w tym jego syna Dona juniora, kanału komunikacyjnego z Kremlem, były tak naprawdę elementami spisku przeciwko Clinton, a tym samym całej liberalnej Ameryce. Zapowiadają kolejne przesłuchania w Kongresie. „To jest tylko streszczenie wyników trwającego prawie dwa lata dochodzenia" – mówił demokrata Jerry Nadler, przewodniczący Komisji Sprawiedliwości w Izbie Reprezentantów. Jego zdaniem raport nie oczyszcza Trumpa i jest zbyt ogólnikowy. Również przewodnicząca Izby Reprezentantów Nancy Pelosi i lider demokratów w Senacie Chuck Schumer w wywiadzie dla stacji telewizyjnej CNN apelowali, aby pełny raport Muellera został jak najszybciej opublikowany, a prowadzący dochodzenie zostali przesłuchani w Kongresie. A Benjamin Wittes z centrolewicowej Brookings Institution ostrzegł Trumpa przed „przedwczesnym odkorkowaniem szampana". Pojawił się też zarzut stronniczości wobec prokuratora generalnego Williama Barra.

> Koszt trwającego 22 miesiące dochodzenia wyniósł aż 34 mln dolarów. I nic. Rosyjsko-amerykański spisek okazał się najdroższym fake newsem w historii

Tymczasem Trump, Kushner i Don junior od początku utrzymywali, że większość spotkań z rzekomymi przedstawicielami Rosji, jak to w czerwcu 2016 r. w Trump Tower z rosyjską prawnik Natalią Weselnicką, „były bezowocne, w skrócie: zwyczajną stratą czasu". A śledztwo w sprawie „Russiagate" to polowanie na czarownice ludzi, którzy „nie potrafią się pogodzić z wyborczą porażką i od 675 dni okłamują Amerykanów". A za ingerencje w wybory w 2016 r. odpowiada poprzednik Trumpa – Obama.

ZNALEŹĆ HAKI

Wynik śledztwa Muellera to cios tym boleśniejszy dla przeciwników Trumpa, iż zwiększa on jego szanse na reelekcję w 2020 r. Demokraci są coraz bardziej podzieleni – co najmniej kilkanaście osób będzie walczyło o nominacje w prawyborach partii, z Joe Bidenem, Berniem Sandersem i Elizabeth Warren na czele. „Wynik śledztwa Muellera to moment resetu dla Trumpa. Ma on szansę nawiązać na nowo więź z Amerykanami" – uważa Matt Schlapp z Amerykańskiej Unii Konserwatywnej. „Ludzie są tak zdegustowani tym całym cyrkiem, tym niepotrzebnym śledztwem, że zapewne dadzą temu wyraz przy urnach" – wtóruje mu były doradca Trumpa Corey Lewandowski. Sam prezydent oskarżył demokratów o to, że usiłowali pozbawić go w „nielegalny sposób prezydentury". Ci nie zamierzają się jednak poddawać.

Obecnie toczy się jeszcze co najmniej tuzin różnych prokuratorskich śledztw dotyczących m.in. finansowania kampanii Trumpa, a demokraci zapowiedzieli, że wznowią starania o udowodnienie, że prezydent miał romans z gwiazdą porno Stormy Daniels, a następnie zapłacił jej za milczenie. Będą także blokować jego legislacyjne starania w Kongresie. Wszystkie chwyty są dozwolone w – jak podkreśla portal The Hill – „coraz bardziej podzielonej Ameryce". Można by sądzić – jak zauważa Wesley Pruden na łamach „The Washington Times" – że każdy amerykański patriota i zwolennik praworządności powinien czuć ulgę, że prezydent jego kraju nie jest zdrajcą, a system sprawiedliwości działa bez zarzutu. „Tymczasem liberalne kręgi, z celebrytami na czele, dalej nazywają Trumpa zdrajcą i marzą o postawieniu go wraz z rodziną przed sądem" – zaznacza Pruden. Kongresmen demokratów z Teksasu Joe Castro wysłałby Trumpa do więzienia już dziś, bo „ma uczucie, że dowody są na to wystarczające". Po co jakieś śledztwo? Oficjalne zarzuty? Przeczucia szeregowego kongresmena starczą w zupełności do wszczęcia procedury impeachmentu. Lub postawienia prezydenta przed plutonem egzekucyjnym.

„Demokraci wyraźnie strzelili sobie w stopę. Zamiast tracić czas na »Russiagate«, mogliby się skupić bardziej na takich kwestiach, jak nierówność, opieka zdrowotna, epidemia uzależnienia od opioidów, zmiany klimatu. Mają jeszcze szansę to zrobić teraz, gdy śledztwo Muellera się skończyło – ale ten błąd będzie wisiał nad nimi już zawsze, tak jak wojna w Iraku wciąż wisi nad republikanami" – podkreśla Leonid Bershidsky na Bloombergu. Jeśli jednak dalej będą pompowali balon rzekomej współpracy Trumpa z Rosją, to przegrają wybory w 2020 r. W tradycyjny sposób. Tak jak Hillary Clinton w 2016 r.

eprasa.pl fad24d143e



Rewolucja cywilizacyjna w trzech krokach

Kiedy Paweł Rabiej powiedział, iż najpierw trzeba przyzwyczaić ludzi, że związki partnerskie nie są złem, a w końcu dojdzie się do adopcji dzieci przez gejów, odwołał się do wypróbowanej już strategii. Ten scenariusz zrealizowano we Francji. Każdy etap pociągał za sobą następny, każde ustępstwo na rzecz środowisk LGBT prowokowało kolejne żądania. A gdy Francuzi zrozumieli, że chodzi o rewolucję cywilizacyjną, było już za późno

MAJA NARBUTT

Francuscy geje i lesbijki w czasie dorocznych parad Gay Pride gniewnie skandują: „Żądamy naszych praw". Wydaje się to absurdalne. Osiągnęli przecież wszystko. Mogą zawierać małżeństwa i adoptować dzieci. Okazuje się jednak, że to ciągle za mało – lesbijki domagają się teraz zagwarantowania przez państwo tzw. medycznie wspomaganej prokreacji. A geje – usankcjonowania „brzuchów do wynajęcia", czyli zgody na korzystanie z usług zagranicznych surogatek, czego nie przewiduje francuskie prawo. W praktyce oznacza to, że dziecko stałoby się towarem zamawianym i dostarczanym każdemu, kto za to zapłaci.

Nikt nie przewidział takiego rozwoju sytuacji, gdy 20 lat temu Francja wprowadziła związki partnerskie. Miało być to rozwiązanie pragmatyczne, które zapewni konkubinatom ochronę prawną podobną do tej, z jakiej korzystają małżeństwa. Nie było przewidziane wyłącznie dla homoseksualistów, choć oczywiste było, że podpisanie cywilnej umowy zwanej PACS to dla nich jedyny możliwy sposób legalizacji związku. Ale wzruszające opowieści, że chodzi tylko o to, by homoseksualiści nie byli wyrzucani na bruk i pozbawiani wspólnego majątku po śmierci partnera, a także by traktować ich jak rodzinę, gdy partner trafi do szpitala, okazały się zasłoną dymną.

Ustawa o związkach partnerskich była jak walizka z podwójnym dnem. Przeszmuglowano w niej trudne do zaakceptowania wówczas treści, które zamierzano ujawnić dopiero później. Jak przyznają teraz socjolodzy, dla lobby LGBT od początku było oczywiste, że to tylko pierwszy krok, za którym muszą pójść następne.

Pierwszy sygnał, że we Francji mają zostać wprowadzone małżeństwa homoseksualne, przeszedł właściwie bez echa. Zapowiedział je socjalistyczny kandydat na prezydenta François Hollande podczas kampanii wyborczej w 2012 r. Mogło się wydawać, że albo Francuzi uznali to za jedną z wielu obietnic wyborczych, które nie zostaną zrealizowane, albo liberalne społeczeństwo milcząco zaakceptowało mające nadejść zmiany, uznając je za nieuniknione.

Kiedy jednak kilka miesięcy później okazało się, że gotowy jest już projekt ustawy „małżeństwo dla wszystkich", firmowanej przez minister sprawiedliwości Christiane Taubirę, reakcja była gwałtowna. Wyzwoliła się niezwykła energia społeczna. Pod sztandarem walki przeciwko małżeństwom homoseksualnym zgromadziły się różne środowiska, przedstawiciele wszystkich wielkich religii, a nawet zdeklarowani ateiści. Na ulice francuskich miast wyległy setki tysięcy demonstrantów, wielu miało świadomość, że walczą nie tylko o przyszłość rodziny, lecz całej

Fot. Shutterstock

eprasa.pl fad24d143e



Fot. Bambax/Shutterstock.com

cywilizacji. I chociaż to starcie przeciwko „ustawie Taubiry" przegrano, to desperacka walka Francuzów przeciw homoseksualnym małżeństwom była we współczesnej Europie bez precedensu.

MANIFA DLA WSZYSTKICH

Jak należało oczekiwać, to Kościół katolicki zainicjował ruch sprzeciwu wobec „małżeństwa dla wszystkich". Rozegrał to w sposób wręcz mistrzowski. Zwierzchnik francuskiego Kościoła kard. André Vingt-Trois zaczął kampanię spokojnie i dyplomatycznie, prowadząc dyskretne konsultacje z przedstawicielami innych chrześcijańskich wyznań oraz wielkich religii monoteistycznych. Zostali jego sojusznikami. Kolejno oświadczali publicznie, że z punktu widzenia judaizmu, islamu i buddyzmu „małżeństwo dla wszystkich" jest niemożliwe do zaakceptowania, bo małżeństwo to zawsze związek kobiety i mężczyzny.

Potem przyszedł czas na mocne uderzenie i sygnał dla rządzących socjalistów. W kościołach całego kraju rozpoczęto narodową modlitwę za Francję. Sięgnięto w ten sposób do starej tradycji, z czasów Ludwika XIII, zarzuconej po II wojnie światowej. Wierni modlili się, by dzieci „nie były przedmiotem pragnień i konfliktów dorosłych i mogły w pełni cieszyć się miłością matki i ojca".

Kampania sprzeciwu wobec ustawy Taubiry nabrała jednak prawdziwego rozmachu, gdy do organizowania sprzeciwu wobec małżeństw homoseksualnych włączyły się osoby świeckie.

Kluczową rolę odegrała jedna kobieta. Charyzmatyczna pięćdziesięciolatka Frigide Barjot. Pod tym pseudonimem – w sposób oczywisty nawiązującym do Brigitte Bardot – kryje się absolwentka ekskluzywnego Instytutu Nauk Politycznych, żyjąca w wieloletnim związku małżeńskim, matka dwojga dzieci. Jej znakami firmowymi są różowa minispódniczka i różowy skuter, a także przekonanie, że w kwestii nauczania Kościoła nie może być żadnych kompromisów.

Doskonale zrozumiała, jakie reguły obowiązują we współczesnym świecie. Liczy się wizerunek, to on staje się przekazem. W mediach wizerunkowo wygrywali zawsze zwolennicy małżeństw homoseksualnych. Zdjęcia z demonstracji kiss-in, podczas których jednocześnie całowały się setki par gejów i lesbijek, trafiały na czołówki gazet i budziły często sympatię dla mniejszości seksualnych. Przeciwnicy byli za to obsadzani w innej roli. Przedstawiano ich jako nudnych i sztywnych „katoli", którzy nieufnie patrzą na zmieniający się świat. A ludzkim emocjom mogą przeciwstawić tylko jakieś niezrozumiałe dla wielu religijne dogmaty. Ten schemat należało przełamać. I udało się to zrobić skutecznie.

Po pierwsze, Frigide Barjot zorganizowała ruch społeczny Manif pour Tous (Manifa dla Wszystkich), co było odpowiedzią na ustawę „mariage pour tous" („małżeństwo dla wszystkich"). Zjednoczyła w nim różne środowiska, które teoretycznie wszystko powinno dzielić. Przyciągnęła katolików i ateistów, chrześcijańskie stowarzyszenia rodzinne i laickich merów stojących na straży Kodeksu cywilnego. A nawet tych gejów, którzy uznali, że adopcja dzieci to zdecydowanie krok za daleko. Po drugie, nie zawahała się użyć tego samego narzędzia, co środowisko LGBT, czyli prowokacji i łamania obyczajowego tabu. Otwierając demonstracje, krzyczała: „Dziecko to owoc orgazmu kobiety i mężczyzny", a w studiu telewizyjnym, mówiąc o adopcji dzieci przez gejów, potrafiła wypalić: „Moja macica woła »nie«".

To we Francji wywierało wrażenie, przyciągało tłumy. Podczas gdy na manifestacjach organizowanych przez katolickie stowarzyszenia pojawiało się kilka tysięcy osób, Manif pour Tous wyprowadzała na ulice setki tysięcy.

BIBLIA I PSYCHOANALIZA

Czy można być gejem i zostać uznanym za homofoba? Brzmi to absurdalnie, ale właśnie tak środowiska LGBT określiły homoseksualistów, którzy ośmielili się skrytykować pomysł adopcji dzieci przez gejów. Linia podziału zwolenników i przeciwników „małżeństwa dla wszystkich" przebiega także przez środowiska homoseksualne. Można przypuszczać, że podobnie jest i w innych krajach, ale we Francji było to wyjątkowo wyraźne, przede wszystkim dlatego, że małżeństwa homoseksualne stały się tematem wyjątkowo gwałtownej publicznej debaty.

eprasa.pl fad24d143e

Argumenty gejów, którzy przystąpili do Manif pour Tous, były racjonalne: małżeństwo jest kontraktem, który ma zapewnić ochronę rodziny i dzieci. Każde dziecko ma prawo do posiadania ojca i matki, tak jak miały je poprzednie pokolenia. Twierdzili też, że większość gejów preferuje hedonistyczny tryb życia i wcale nie zależy im na małżeństwie ani posiadaniu dzieci. Nie wszyscy są jednak skłonni wyznać to publicznie, presja ze strony aktywistów LGBT jest zbyt silna.

Właśnie adopcja dzieci przez homoseksualistów była tą linią graniczną, której – jak wynika z sondaży – większość Francuzów nie chciała w żadnym wypadku przekroczyć. Scenariusz, w którym dziecko mogłoby mieć „rodzica A" i „rodzica B", jak początkowo określano to we Francji, przypomina filmy science fiction. To koniec cywilizacji, jaką znamy.

Wyjątkowo zgodnie przyznawali to zarówno hierarchowie Kościoła, jak i protestujący na łamach prasy czołowi psychoanalitycy, którzy uznali, że oznacza to ulegnie przez państwo terrorowi mniejszości i symboliczne uśmiercenie matki oraz ojca. Niezależnie od tego, czy krytycy adopcji dzieci przez homoseksualistów powoływali się na Biblię, czy na antropologię i psychologię, dochodzili do tych samych wniosków: to skrajnie instrumentalne traktowanie dziecka. Sprowadza się je do roli fetysza, przedmiotu, który ma zapewnić egoistycznym dorosłym poczucie szczęścia.

Burzliwe protesty we Francji nie odniosły jednak żadnego skutku. Prezydent Hollande oświadczył, że nie ugnie się pod presją ulicy, i odrzucił postulat narodowego referendum. Oponenci „małżeństwa dla wszystkich" walczyli desperacko do końca – chcąc zablokować ustawę, zgłosili kilka tysięcy poprawek. Niektóre z nich były świadomie prowokacyjne, jak propozycje małżeństw poligamicznych czy kazirodczych. Zdominowane przez socjalistów Zgromadzenie Narodowe działało jednak jak sprawna maszynka do głosowania i przepchnęło „ustawę Taubiry".

Burzliwe protesty we Francji nie odniosły żadnego skutku. Prezydent Hollande odrzucił postulat narodowego referendum. Mimo że oponenci „małżeństwa dla wszystkich" walczyli desperacko do końca, zdominowane przez socjalistów Zgromadzenie Narodowe przyjęło nowe prawo

CO DALEJ

Od tego czasu minęło sześć lat. Pierwsze homoseksualne małżeństwo zawarto w Montpellier, mieście znanym z tego, że socjalistyczny mer postawił w nim pomniki Lenina i Mao Zedonga. Część francuskich merów, zwłaszcza z małych miejscowości, powołując się na klauzulę sumienia, nadal odmawia udzielania homoseksualnych ślubów.

Ruch Manif pour Tous nie rezygnuje, działa nadal w obronie tradycyjnej rodziny, choć na jego czele nie stoi już Frigide Barjot. Jego zwolennicy mają nadzieję, że w przyszłości możliwa jest zmiana prawa i uchylenie „ustawy Taubiry".

Nie rezygnują też aktywiści LGBT. Domagają się, by państwo poszło o krok dalej i zagwarantowało im prawo do posiadania dzieci, finansując zabiegi związane ze wspomaganą medycznie prokreacją. A także zgodziło się na adopcję przez gejów dzieci urodzonych przez wynajęte surogatki. Argumentują, że to przecież logiczne. Skoro ideą „małżeństwa dla wszystkich" jest zagwarantowanie absolutnie wszystkim równych praw do małżeństwa i do posiadania dziecka, to wcześniej czy później musi zostać wprowadzone takie rozwiązanie.

Mają też nowy projekt – tzw. wielorodzicielstwa. Przewiduje on, że dziecko mogłoby mieć czworo rodziców: biologicznych i tzw. rodziców społecznych. Trudno wątpić, że to element niezwykłej inżynierii społecznej, która miałaby zniszczyć dotychczasowe podstawy cywilizacji i zbudować nowy, dziwny świat.

REKLAMA



RADIO Warszawa 106,2 FM

106,2

www.radiowarszawa.com.pl

45/0219/F

eprasa.pl fad24d143e



Orbán gra na wielu fortepianach

Nie jest łatwo połapać się w meandrach polityki Viktora Orbána, jeśli nie śledzi się ich z nadzwyczajną uwagą. Tezę taką potwierdzają nieczytelne okoliczności zawieszenia członkostwa rządzącego na Węgrzech Fideszu w Europejskiej Partii Ludowej (EPP)



JAN ROKITA

Upowszechniony przez media zdecydowanie jednostronny ogląd wydarzeń, do jakich doszło w Brukseli 20 marca, w przeddzień krytycznego unijnego szczytu na temat brexitu, wygląda na pozór dość czytelnie. Oto europejska centrochadecka międzynarodówka bardzo długo tolerowała różne „wybryki" Orbána i trzymanego przezeń twardą ręką Fideszu, ale w końcu miarka się przebrała.

Najpierw zatem, we wrześniu 2018 r., znacząca większość należących do EPP europosłów (wśród nich także deputowani z PO) poparła wszczęcie przeciw Węgrom procedury karnej na podstawie sławetnego art. 7 traktatu lizbońskiego, co miało być jakąś formą ostrzeżenia. Ale Orbán się nie tylko nie poprawił, lecz nawet poszedł dalej. Władze Węgier najpierw nasiliły presję na wyprowadzkę z Budapesztu Uniwersytetu Środkowo-Europejskiego George'a Sorosa, łamiąc podstawową dla Europy swobodę nauczania i badań naukowych. Następnie spektakularnie złamały partyjną lojalność obowiązującą wewnątrz EPP, propagując na Węgrzech plakat przedwyborczy, na którym znienawidzony przez Orbána żydowsko-węgierski finansista Soros i szef Komisji Europejskiej Juncker występują jako „dwa diabły wcielone", spiskujące na rzecz zalania Europy afroislamskimi imigrantami.

W takich okolicznościach Orbán zaczął gwałtownie tracić sojuszników w EPP, czego owocem stał się wniosek kilku mało znaczących partii o relegowanie Fideszu. Na stronę jego przeciwników przeszła nawet tradycyjnie związana z Fideszem bawarska CSU, której wiceszef i kandydat na przyszłego szefa KE, a do tej pory także polityczny druh Orbána – Manfred Weber – opowiedział się za wprowadzeniem partyjnych sankcji wobec Węgrów. Krótko przed brukselskimi decyzjami Weber odbył podróż do Budapesztu, ale jak się publicznie zarzekał: „Nie po to, by cokolwiek negocjować z Węgrami", ale by sprawdzić, czy Orbán dokładnie wypełnia warunki pozostania w EPP, jakie wcześniej wymyślił i publicznie postawił Weber.

Węgrzy mieliby – po pierwsze – zagwarantować trwałą obecność w Budapeszcie uniwersytetu Sorosa, z inicjatywy CSU wspartego teraz finansowo przez rząd Bawarii i zintegrowanego z monachijskim Uniwersytetem Technicznym. Po drugie – mieliby niezwłocznie zaprzestać oskarżeń pod adresem Sorosa i Junckera, co zwłaszcza w przypadku tego ostatniego stanowi akt braku partyjnej dyscypliny i lojalności względem EPP (Juncker pełni funkcję szefa KE właśnie z ramienia tej międzynarodówki). A po trzecie – Orbán miałby przeprosić za to, że gdy pojawiły się pierwsze wnioski małych partii ze Skandynawii i Beneluksu o relegowanie Fideszu, określił ich autorów znanym z historii i dosadnym mianem „użytecznych idiotów".

Co prawda Orbán przeprosił, tłumacząc rozgniewanym nań Flamandom, iż cytował tylko sławne leninowskie określenie: „полезные идиоты", ale tłumaczenia (tak pisała prasa

eprasa.pl fad24d143e

niemiecka) wydały się adresatom jeszcze bardziej obelżywe. Dość, że efektem stały się decyzje z 20 marca. Na wniosek politycznego kierownictwa europosłowie EPP przegłosowali ukaranie Fideszu przez zawieszenie jego praw członkowskich na bliżej nieokreślony czas, a także powołali specjalną komisję do monitorowania dalszego postępowania węgierskiej partii.

Szef EPP Francuz Joseph Daul informował na Twitterze, że oznacza to przede wszystkim trzy konsekwencje praktyczne. Odtąd Węgrzy nie mogą brać udziału w zebraniach międzynarodówki, tracą w niej prawo głosu, a członkowie Fideszu nie mogą się z jej ramienia ubiegać o żadne funkcje publiczne. Sankcje mogłyby więc okazać się dotkliwe, gdyby miały się rozciągnąć na czas kształtowania się po wyborach 26 maja nowych struktur Parlamentu Europejskiego.

PRAWIE WSZYSCY ZADOWOLENI

Taki obraz zdarzeń dotarł do opinii publicznej. I można powiedzieć, że byłby on w zasadzie prawdziwy, gdyby nie kilka szczegółów, które media w większości pomijają, a które zamazują dość wyraźne – wydawałoby się – kontury tej historii. Jak można się dowiedzieć z przecieków z brukselskich obrad kierownictwa EPP, Orbán początkowo przeciwstawiał się wnioskom o relegację Fideszu. Jednak kiedy na stole z inicjatywy Niemców pojawiła się propozycja zawieszenia partii i stworzenia trzyosobowej rady mędrców, która mogłaby wnioskować o odwieszenie, a z projektu uchwały usunięto wszystkie stwierdzenia, które mogłyby urazić Orbána – ów nie tylko przystał na taki plan, lecz nawet uznał go za optymalny, gdyż w obliczu bliskich wyborów europejskich ocalał jedność pokłóconej o Węgrów międzynarodówki. Obrażone przez Orbána mało znaczące na co dzień partie z krajów skandynawskich i Beneluksu poczuły bowiem wiatr w żaglach i nie zamierzały rezygnować ze swego żądania karnego usunięcia Fideszu. Na zebranie przyleciała osobiście nowa szefowa CDU Annegret Karrenbauer, która zgodnie z całą dotychczasową polityką kanclerz Merkel i niemieckiej chadecji także i tym razem ze wszystkich sił ratowała członkostwo Węgrów w EPP.

Rezultat tych wysiłków okazał się zaskakujący. W głosowaniu nad zawieszeniem delegaci Fideszu poparli decyzję kierownictwa EPP, w efekcie czego zapadła ona de facto niemal jednomyślnie, a przeciw głosowali nie Węgrzy, ale trzy radykalne partie, niemogące się pogodzić się z faktem, że Fidesz nie zostanie jednak wyrzucony. Po tym głosowaniu zaś sam Orbán oznajmił zdumionym dziennikarzom, że to nie EPP zawiesiła Fidesz, ale Fidesz „sam się zawiesił w członkostwie w EPP", a także że Węgrzy nadal w pełni popierają Manfreda Webera jako najlepszego kandydata na przyszłego szefa KE. „Po wyborach możemy swobodnie zdecydować o wzajemnych relacjach" – dodał jeszcze węgierski premier.

WĘGIERSKIE ECHA

Niezwykle ciekawy jest w tym kontekście spór o interpretację brukselskiej decyzji, jaki na drugi dzień rozgorzał w Budapeszcie. Opozycyjna lewica byłego premiera Gyurcsánya, a także prawicowy Jobbik oskarżyły Orbána, iż ten skrycie przygotowuje wyjście Węgier z Unii. Polskim wzorem węgierska opozycja przypuszcza, że takim oskarżeniem odbierze Orbánowi jakąś część poparcia w wyborach europejskich, w których na Fidesz, wedle ostatnich sondaży, chce głosować aż 54 proc. Węgrów. Czołowy liberalny tygodnik „HVG" (wzorowany na „Economiście") zaś uznał, że po zawieszeniu w EPP Orbán znalazł się w defensywie, zmuszony na przykład zadeklarować w liście do Webera, że zapewni na przyszłość ochronę prawną Uniwersytetowi Środkowo-Europejskiemu, należącemu przecież do jego śmiertelnego politycznego wroga – Sorosa. Wedle „HVG" karanie Fideszu przez instytucje europejskie jest zatem jedyną skuteczną metodą oddziaływania Europy na węgierską politykę.

Radykalnie odmiennie interpretują te zdarzenia węgierskie media prorządowe. Dziennik „Magyar Hirlap" argumentuje, że dramatyczna mediacja niemiecka dowodzi, iż EPP bardziej potrzebuje dziś Orbána niźli Orbán EPP. Idzie bowiem nawet nie o to, że chadecy są dziś w Europie w defensywie i chcą unikać w związku z tym wszelkich podziałów, ale w znacznie większym stopniu o strach szefostwa EPP przed zrobieniem sobie z Orbána prawdziwego wroga i skłonienia go tym samym do znacznie bardziej zdecydowanych akcji wymierzonych w obecny unijny establishment.

Cała prasa prorządowa uważa, że Orbán odniósł w Brukseli sukces, pozostawiając sobie na czas po wyborach europejskich otwarte drzwi zarówno do pozostania w międzynarodówce, jak i do opuszczenia jej, jeśli tylko będzie mieć na to ochotę. Attila Ballai, naczelny „Magyar Nemzet", wzywa Orbána do tego, aby pryncypialnie porzucił europejskich chadeków, którzy jego zdaniem „zdradzili trzy naczelne wartości chadecji: chrześcijaństwo, konserwatyzm i naród".

DECYZJE PO WYBORACH DO PE

Te radykalnie sprzeczne interpretacje tego, co wydarzyło się w Brukseli, są tylko po części wynikiem politycznej orientacji ich autorów. W istocie bowiem to sam Orbán, uprawiając po raz kolejny politykę jednoczesnej gry na kilku fortepianach, wprowadza dezorientację co do swoich prawdziwych intencji. Na dobrą sprawę nikt przecież dziś nie wie (mam wrażenie, że nie wie tego także sam premier Węgier), czy Orbán planuje wyprowadzenie Fideszu z EPP po to, by stać się spiritus movens nowej konserwatywnej międzynarodówki, zapewne wtedy z udziałem PiS. Czy też w istocie rzeczy zamierza nadal grać na nosie europejskim centrochadekom, pozostając w ich szeregach, a jednocześnie krytykując za odstępstwa od ideowych zasad i nazbyt kosmopolityczną politykę.

W każdym razie jedno jest pewne. Tym razem między Orbánem i Niemcami z CDU doszło po raz kolejny do pragmatycznego układu, który co prawda jest prestiżowo nie całkiem przyjemny dla Orbána, ale w gruncie rzeczy nie zmienia status quo aż do majowych wyborów europejskich. Po tych wyborach to Orbán, a nie EPP, zdecyduje, czy nadal chce tam prowadzić dotychczasową grę na kilku fortepianach. Czy też raczej uzna, że nadszedł już wymarzony czas, w którym Węgrzy mają wystarczająco silnych europejskich partnerów, aby zbudować własną konserwatywną międzynarodówkę.

Fot. Shutterstock

eprasa.pl fad24d143e

Smok ma poważny problem



Byłem świadkiem obchodów waszego święta Żołnierzy Wyklętych, którzy walczyli z komunizmem. Marzy mi się taka uroczystość w Pekinie, kiedy już upadnie ten reżim. Wierzę, że wkrótce my też uczcimy ludzi walczących z komunizmem na podobnej uroczystości na placu Tian'anmen w Pekinie

Z Erpingiem Zhangiem, amerykańskim ekspertem od Chin, dyrektorem Stowarzyszenia Badań nad Azją, publicystą „The Epoch Times", rozmawia Andrzej Rafał Potocki

Co to są Chiny?

Erping Zhang: Chiny dosłownie znaczą – Państwo Środka. Jest to pojęcie, które ma 5 tys. lat. Rządziły nami różne dynastie. Jednak pierwszy cesarz był taoistą. Przez lata wszystkie małe królestwa się złączyły. Nastąpiło to 221 lat p.n.e. Wtedy po zjednoczeniu zaczęła się też centralizować kultura konfucjańska oparta na filozofii tego myśliciela. Konfucjusz na Zachodzie, ale i we współczesnych Chinach, jest błędnie rozumiany. Obecnie w Chinach rządzą komuniści, którzy nie mają wiele wspólnego z kulturą Chin, a więcej ze Związkiem Radzieckim z lat 20. To Rosjanie przywieźli do Chin swoją rewolucję, niszcząc 5 tys. lat tradycji i kultury chińskiej. Wprowadzili komunistyczne „wartości", takie jak walka, rewolucja, przemoc. Tradycja chińska mówi natomiast o miłosierdziu, miłości i tolerancji, prawdzie i dobroci. Jest więc przeciwieństwem komunizmu. Dlatego po przejęciu władzy komuniści rozpoczęli walkę z chińską tradycją, czego najlepszym przykładem jest słynna rewolucja kulturalna lat 50. i 60. Burzyli świątynie taoistyczne i buddyjskie, by przygotować grunt pod ideologię Mao. Przeszłość zastąpili jego czerwoną książeczką.

Sądząc po filmowych superprodukcjach, można zaobserwować powrót do przeszłości. Czyżby reżim postanowił wrócić na ścieżkę tradycji?

Oni pokazują tylko część historii. Głównie skupiają się na przesłaniu lojalności poddanych w stosunku do władz. Tylko tej części używają. Najlepszym przykładem jest stosunek rządzących do Konfucjusza. Przedstawia się go jako filozofa, ale on był przede wszystkim nauczycielem duchowym. Mówił o niebie, woli bożej i humanizmie oraz o tym, że ludzie mają iść w ślad woli bożej. Komunizm usunął tę część o Bogu i zastąpił ją pojęciem „przywódca". Dla Konfucjusza „przywódcą" były niebiosa, a nie Mao.

Wydaje się, że komunistycznym przywódcom Chin nie brakuje pragmatyzmu. Mówiło się o szybkim rozwoju gospodarki i o bogaceniu się Państwa Środka. Czy dalej trwa ten „chiński cud gospodarczy", bo dochodzą już słuchy o zbliżającym się kryzysie? Czy system wprowadzany przez komunistów funkcjonuje prawidłowo?

Zależy, z kim się rozmawia. Jeśli zapytasz rządzących, to wśród nich opinia jest jedna: ekonomia kwitnie. W ich kieszeniach i na kontach bankowych. Jest kilka sposobów na sprawdzenie, jak funkcjonuje gospodarka kraju. Jednym z nich jest tzw. wskaźnik Giniego, zwany inaczej „wskaźnikiem nierówności społecznej". W dużym skrócie definiuje stosunek średniego dochodu pewnego procentu najbogatszych do takiego samego procentu najbiedniejszej części ludności danego kraju. Mieści się on w przedziale od 0 do 1. Jeśli mamy „0", to dochód rozkłada się w społeczeństwie po równo. W przypadku „1" – całe bogactwo kraju skupia w swoim ręku jedna osoba, niekoniecznie rząd. Wynik „0,4" oznacza, że danemu państwu grozi społeczny problem. W Chinach jest to liczba „0,53", czyli więcej niż wspomniane „0,4". Jest tam niewielu bajecznie bogatych, mała klasa średnia i cała rzesza biedaków. Sytuacja w Państwie Środka grozi wybuchem społecznym.

Czyli przeciętny Chińczyk niewiele korzysta na zmianach.

Oczywiście, że nie. Według Banku Światowego Chiny są 71. krajem na świecie pod względem PKB przypadającego na jednego mieszkańca. Według Pekinu 30 mln ludzi, a według zachodnich analityków 80 mln, żyje za 1,5 dolara dziennie, a więc poniżej granicy ubóstwa. Większość specjalistów zajmujących się Chinami przewiduje perturbacje społeczne jeszcze w tym roku.

Dlaczego rząd nie przeprowadza sprawiedliwszej dystrybucji dóbr?

To są komuniści. Kiedyś wszystko było państwowe i pod kontrolą. Tylko rządzący mogli jeździć samochodami. Są przyzwyczajeni do takiego stylu życia i uważają, że ludziom należy się tylko niezbędne minimum albo jeszcze mniej.

eprasa.pl fad24d143e

Czy Chińczycy są w stanie długo to wytrzymać?

Już nie. Chris Buckley, wieloletni korespondent w Pekinie i ekspert od Chin, opublikował ostatnio artykuł w „New York Timesie", w którym stawia tezę, że Państwo Środka obecnie zmaga się z dwoma kryzysami. Politycznym i ekonomicznym. Poważnym problemem stała się też edukacja. Chiny wydają tylko 2634 dolary na wykształcenie jednego studenta. Według Organizacji Współpracy Gospodarczej i Rozwoju średnia wydawana na edukację ucznia w krajach rozwiniętych wynosi ponad 10 tys. dolarów przez dziewięć lat. Idźmy dalej: zdrowie. Wydatki Chin w tej dziedzinie sięgają 5 proc. PKB. Dla porównania w innych krajach jest to 9–12 proc. Przy 30 proc. w USA. Powagę sytuacji pokazują wydatki na służby, których zadaniem jest „nadzorowanie porządku społecznego". W ubiegłym roku sięgnęły one 830 mld dolarów i przekroczyły budżet przeznaczony na obronę narodową. Te liczby mówią same za siebie. Partia komunistyczna uważa, że większe zagrożenie czai się od wewnątrz niż z zewnątrz. Wiedzą, że coś się stanie i nie czują się bezpiecznie.

Fot. Shutterstock

Czyżby więc Ameryka i Donald Trump wykorzystywali tę sytuację do rozegrania karty chińskiej?

Jeśli chodzi o USA, to są tam rozbieżne zdania w wielu kwestiach. Ale w tej jednej – chińskiej – się zgadzają. Ameryka ma wiele powodów, by się złościć na Chiny. Pekin przez lata czerpał olbrzymie korzyści z grabieży technologicznego know-how zarówno z USA, jak i z Zachodu. To dawało dużą nadwyżkę handlową. 152 mld dolarów rocznie na rzecz Państwa Środka. Jeśli chodzi o kradzież technologii, to przynosiła ona roczne straty Stanom Zjednoczonym rzędu 600 mld dolarów.

Z perspektywy m.in. karnych taryf i ceł wprowadzonych przez USA chiński rynek ucierpiał. Ich gospodarka opiera się przede wszystkim na eksporcie. Efektem jest spowolnienie. W ubiegłym miesiącu Pekin był zmuszony wyciągnąć 116 mld dolarów z rezerw banku centralnego, aby ustabilizować i pobudzić swoją gospodarkę. Stosunek zadłużenia Chin do PKB przekroczył 300 proc., podczas gdy stosunek zadłużenia przedsiębiorstw do PKB wyniósł tam 160,3 proc. Sum tych długów nie można porównać z żadnym zachodnim krajem. Są one alarmujące. Chiny to duża gospodarka, której specyfika polega na tym, że rząd występuje w roli pożyczkodawcy i pożyczkobiorcy, a co dziwniejsze, również organu regulującego rynek. Chiński system banków państwowych nie jest zrównoważony, a to ostatecznie może doprowadzić do jego niewypłacalności. W tym tempie niebawem długi sięgną poziomu stratosfery, a kraj pogrąży się w kryzysie podobnym do greckiego.

Polska znalazła się w kręgu zainteresowania chińskiego kapitału. Co radziłby pan naszym decydentom w rozwijaniu kontaktów z Pekinem?

W 2012 r. Warszawę odwiedził sekretarz generalny Komunistycznej Partii Chin Hu Jintao. Celem jego wizyty było uruchomienie kolejnego odcinka jedwabnego szlaku. Cel: nawiązać współpracę z 16 krajami Europy Środkowej, by



Erping Zhang

Fot. Mat. prasowe

tą drogą wejść do zachodniej Europy. Coś w rodzaju korytarza utworzonego z tych państw. Jednak trzeba uważać na ekonomiczną pułapkę. Pekin daje pożyczki, sam robi infrastrukturę, żeby zyski z niej płynęły do nich. W taką pułapkę wpędzili m.in. Sri Lankę, która, by wypłacić się z długów, musiała oddać Chinom swój port Hambantota w dzierżawę na 99 lat. To chińskie modus operandi. Do tego dochodzi transfer informacji do Państwa Środka z każdego komputerowego urządzenia wyprodukowanego przez chińską firmę, a pracującego za granicą. Zresztą do transferu danych obliguje je prawo ustanowione przez Pekin.

Chiny przygotowują się do wejścia na rynek środkowoeuropejski różnymi metodami. Weźmy np. centra Konfucjusza działające na każdym uniwersytecie w Polsce. W Stanach zostały one uznane za służby wywiadu. Trzeba zadać sobie podstawowe pytanie. Czy chcesz założyć firmę w partnerstwie ze złodziejem, którego wszystkie pieniądze są skradzione? Prędzej czy później złodziej zostanie złapany i skazany, a przy okazji ty wszystko stracisz. Tak samo jest z krajem, w którym partia komunistyczna ukradła wszystkie pieniądze.

Wszyscy mówią tylko o chińskiej gospodarce. A nie zapominajmy, że Chiny handlują ludzkimi organami o wartości 9 mld dolarów rocznie. Są tam obozy pracy. Nie możesz konkurować z wyrobami robionymi w takich miejscach, bo koszty ich produkcji są żadne. Firmy powinny się kierować odpowiedzialnością społeczną.

Byłem świadkiem obchodów waszego święta Żołnierzy Wyklętych, którzy walczyli z komunizmem. Marzy mi się taka uroczystość w Pekinie, kiedy już upadnie ten reżim. Wierzę, że wkrótce my też uczcimy ludzi walczących z komunizmem na podobnej uroczystości na placu Tian'anmen w Pekinie.

eprasa.pl fad24d143e



O zmianach w prawie i w stylu prowadzenia rozmów

Jak kluczowi inwestorzy postrzegają możliwe kierunki budowania konkurencyjności w Polsce? Jaki wpływ zagraniczne inwestycje miały na polską gospodarkę? Co wynika dla biznesu z dobrych doświadczeń i przykładów współpracy z administracją centralną i samorządową – to najważniejsze problemy, nad którymi zastanawiali się uczestnicy kolejnej debaty Forum wGospodarce.pl

Organizowane przez spółkę Fratria Forum wGospodarce.pl ma służyć wymianie doświadczeń między wiodącymi inwestorami, ekonomistami, statystykami, ekspertami zarządzania oraz przedstawicielami administracji centralnej i samorządowej. Ostatnia debata „Wpływ globalnych inwestorów na polską gospodarkę – eksport produktów, import technologii, badania i rozwój – na przykładzie branży tytoniowej" pozwoliła skonfrontować kilka ciekawych obserwacji i doświadczeń.

W debacie udział wzięli: Anna Rusiecka – naczelnik wydziału w Departamencie Innowacji w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii; Maciej Ptaszyński – dyrektor generalny Polskiej Izby Handlu; Dawid Piekarz – prezes Instytutu Staszica; Adrian Jabłoński – kierownik ds. korporacyjnych i komunikacji w JTI Polska; Katarzyna Starmach – head of external affairs w British American Tobacco; oraz Wojciech Niewierko – członek zarządu ds. relacji zewnętrznych Philip Morris Polska.

Instytut Staszica we wstępie do debaty wskazał na kilka ważnych faktów. Jak wynika z danych Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych CASE, pod względem wartości Polska jest drugim producentem wyrobów tytoniowych w Unii Europejskiej. Wartość eksportu papierosów z Polski w 2018 r. wyniosła 3,12 mld euro. 75 proc. produkcji trafia na eksport. Każdego roku branża tytoniowa zapewnia wpływy budżetowe na poziomie ok. 25 mld zł (z tytułu akcyzy, VAT, PIT oraz CIT). Dochody z podatku akcyzowego na wyroby tytoniowe w Polsce w 2018 r. mogą wynieść nawet 19,5 mld zł (brak danych za grudzień 2018), czyli mowa o blisko 20 mld zł, które rocznie zasilają budżet Polski – jest to bez wątpienia strategicznie ważna branża.

W 2016 r. wpływy z tytułu akcyzy, VAT, PIT oraz CIT wyniosły blisko 25 mld, co stanowiło 8,9 proc. dochodów podatkowych państwa ogółem. W ciągu ostatnich lat produkcja surowca tytoniowego w Polsce ustabilizowała się na poziomie ok. 30 tys. ton rocznie. Taki poziom plasuje Polskę między drugim a piątym miejscem w UE (w zależności od sezonu). Zatrudnienie w tej branży znajduje ok. 560 tys. osób – są to miejsca pracy w pełni lub częściowo związane z tym sektorem. Dane te pokazują, jak ważną gałęzią polskiej gospodarki jest branża tytoniowa, a jednocześnie, że rozwija się ona niezwykle dynamicznie.

– Od 10 lat Polska dla Grupy Japan Tobacco jest miejscem strategicznych inwestycji. Dzięki dobremu klimatowi biznesowemu zainwestowaliśmy w naszym kraju ponad 800 mln dolarów, wykorzystując najnowocześniejsze dostępne technologie – powiedział Adrian Jabłoński, kierownik ds. korporacyjnych i komunikacji, JTI Polska. – Ważny jest dla nas także dialog z administracją państwową. Jego efekty widać doskonale na przykładzie walki z szarą strefą. To właśnie m.in. dzięki współpracy branży z władzą centralną

Zdjęcia: Andrzej Wiktor

eprasa.pl fad24d143e

w ciągu niecałych czterech lat udało się ograniczyć udział nielegalnych papierosów w polskim rynku z 19 do 11 proc. W tym czasie legalny rynek się ustabilizował, a wpływy z tytułu akcyzy zaczęły rosnąć. Wszystko wskazuje na to, że za 2018 r. były one najwyższe w historii i wyniosły ponad 19,5 mld zł – dodał.

SZARA STREFA I CZARNY RYNEK

Dużym wyzwaniem dla służb celnych, skarbowych i budżetu państwa będzie jednak unijny zakaz sprzedaży mentolowych wyrobów tytoniowych, który zacznie obowiązywać od maja 2020 r. – można się spodziewać, że tego typu wyroby będą dostarczane na polski rynek z nielegalnych źródeł.

Zdaniem przedstawicieli branży należy wciąż pracować nad kolejnymi pomysłami, które pozwolą utrzymać dobre tendencje w walce z szarą strefą. Z tego względu tak ważne będzie kontynuowanie współpracy administracji państwowej i producentów wyrobów tytoniowych.

„Prowadzona na przestrzeni lat polityka podatkowa w obszarze podatku akcyzowego od wyrobów tytoniowych w połączeniu z efektywnymi działaniami w obszarze walki z szarą strefą zaowocowała wzrostem dochodów budżetowych w tym obszarze" – ocenił minister Leszek Skiba, podsekretarz stanu, główny rzecznik dyscypliny finansów publicznych w Ministerstwie Finansów w przesłanym do redakcji stanowisku resortu finansów. „Istotnym elementem dialogu pomiędzy podmiotami akcyzowymi a administracją jest możliwość czynnego udziału zainteresowanych podmiotów w procesie stanowienia prawa, zarówno co do proponowanych zmian legislacyjnych rangi ustawowej, jak i w odniesieniu do rozporządzeń wykonawczych. Otrzymywane w toku konsultacji publicznych i opiniowania uwagi i opinie podmiotów są szczegółowo analizowane. Wzmacnianiu współpracy pomiędzy administracją a podmiotami branżowymi służą także spotkania ukierunkowane na konkretne obszary tematyczne. Przykładowo w ostatnim czasie odbywały się spotkania związane z wprowadzaniem Systemu Śledzenia Ruchu i Pochodzenia Wyrobów Tytoniowych – Track & Trace, do którego ustanowienia obliguje kraje członkowskie unijna dyrektywa. Spotkania służyły wymianie informacji oraz wyjaśnianiu kwestii problemowych związanych z wdrażaniem tego systemu. Udostępniona została też strona dotycząca systemu na portalu Podatki.gov.pl oraz skrzynka mailowa dedykowana do komunikacji z podmiotami: T&T@mf.gov.pl" – dodał minister w przesłanym do nas komentarzu.

– BAT od początku funkcjonowania w Polsce zainwestowało ok. 2,5 mld zł. Półtora roku temu ukończony został wart 450 mln zł kolejny etap rozbudowy fabryki w Augustowie. Jesteśmy jednym z najważniejszych pracodawców w regionie, w którym występuje od lat niekorzystna struktura zatrudnienia. To dzięki naszej obecności powstało wiele lokalnych polskich firm, które cały czas się rozwijają. Na przestrzeni ostatnich sześciu lat zatrudnienie w BAT wzrosło z 1,1 tys. do 3,8 tys. osób. Polska zajmuje priorytetowe miejsce w naszej strategii inwestycyjnej. BAT jest pierwszą międzynarodową firmą, która zainwestowała w produkty o potencjalnie obniżonym ryzyku. W 2015 r. BAT przejęło polską firmę – Grupę CHIC – lidera na rynku papierosów elektronicznych, właściciela największej sieci sprzedaży papierosów elektronicznych eSmoking World. To licząca ok. 650 punktów sprzedaży sieć, z nowoczesną fabryką płynów nikotynowych w Ostrzeszowie i centrum badawczo-rozwojowym zlokalizowanym w Poznaniu, gdzie przeprowadza się 15 tys. testów i analiz rocznie oraz rozwija nowe produkty, w tym rozwiązania chronione prawem patentowym. BAT jest przykładem firmy, która nie tylko inwestuje w produkcje w Polsce, nie tylko transferuje tutaj najnowsze technologie, lecz także wspiera rozwój innowacji „made in Poland" – podkreślała Katarzyna Starmach, head of external affairs w BAT Polska.

Choć zwyczajowo strona publiczna zwykła raczej unikać bezpośrednich kontaktów z przedstawicielami branży, stały dialog ma nie tylko sens, lecz jest również sprawą fundamentalną – twierdzą przedstawiciele producentów działających w Polsce od wielu lat.

BRUKSELA + ZERO

Przedstawiciele sektora prywatnego zwracali także szczególną uwagę na problem przewidywalności prawa – koniecznej do rozwijania firm. Proponowali, by nie doprowadzać do nadregulacji w unijnych przepisach przy ich wdrażaniu do polskiego prawodawstwa, stosując zasadę „Bruksela + zero".

– Dla przedsiębiorców niezwykle ważne jest, aby stanowione w Polsce prawo było przewidywalne i przyjmowane w takim czasie, który umożliwia wszystkim zainteresowanym podmiotom odpowiednie dostosowanie się do niego. Na pewno krokiem w dobrym kierunku było wprowadzenie tzw. Konstytucji Biznesu i określenie w niej zasad opracowywania aktów prawnych. Niestety nadal zdarza się, że np. unijne dyrektywy są w Polsce nadinterpretowane, a ich wdrażanie odbywa się ze sporym opóźnieniem – komentował Adrian Jabłoński z JTI Polska.

Obecnie sporym wyzwaniem dla branży tytoniowej jest duże opóźnienie w implementacji systemu śledzenia paczek legalnych papierosów, pod nazwą Track & Trace. To bardzo skomplikowany system pozwalający na pilnowanie każdej paczki papierosów. Przedstawiciele hurtowni i sklepów wskazują wręcz, że ten jeden projekt, który leżał za długo w czyjejś szufladzie, może wkrótce doprowadzić do dramatu tysięcy punktów handlowych.

– W Polsce handlem tymi wyrobami zajmuje się ponad 100 tys. punktów sprzedaży, czyli sklepów, kiosków, saloników prasowych, punktów związanych z cateringiem, z hotelami itd. Jest to niezwykle rozbudowana struktura. Cała branża to ok. 560 tys. pracowników. Duża część z tej grupy to właśnie pracownicy tych punktów. To ponad 900 hurtowni. Dla wielu z nich ponad 50 proc. towarów to wyroby tytoniowe. W sklepach to od 15 do 40 proc. obrotów. Im mniejszy sklep, tym większy udział w obrotach mają wyroby tytoniowe. Małe sklepy jęczą pod naciskiem dyskontów, a wyroby tytoniowe pomagają im przetrwać, budując obrót, często przyciągając klientów na inne artykuły – powiedział Maciej Ptaszyński, dyrektor generalny Polskiej Izby Handlu. – Za dwa miesiące, jeśli ten system

eprasa.pl fad24d143e



nie zadziała, hurtownie wyprzedadzą się z zapasów papierosów w ciągu dwóch tygodni, a kilka chwil potem zapasy stopnieją w sklepach. To palący problem polskiego handlu i pytanie co dalej. Tej sytuacji można było uniknąć – dodał.

Nowy system zacznie obowiązywać od 20 maja 2019 r., a dostosować się do niego muszą wszystkie podmioty zajmujące się produkcją i dystrybucją wyrobów tytoniowych. W wyniku opóźnienia prac nad polską ustawą większość małych i średnich przedsiębiorców może się nie zdążyć przygotować do nowych przepisów na czas. Muszą się oni bowiem wyposażyć w odpowiedni sprzęt do skanowania wyrobów, dostosować lub stworzyć infrastrukturę informatyczną oraz przeszkolić pracowników. Po 20 maja tego roku za ewentualne uchybienia w działaniu systemu mogą być nakładane wysokie kary, nawet do 200 tys. zł. Jedyną sposobem, który umożliwi dostosowanie się najmniejszym podmiotom do nowego systemu i pozwoli uniknąć zaburzeń w funkcjonowaniu polskiego rynku wyrobów tytoniowych, byłoby wprowadzenie np. rocznego okresu przejściowego, w którego czasie nie stosowano by sankcji karnych – wskazywali podczas debaty przedstawiciele branży.

PRAWO GONI TECHNOLOGIĘ

W kontekście dynamicznego rozwoju rynku innowacyjnych produktów tytoniowych dużym problemem wciąż jest prawo. Nie nadąża ono za postępem technologicznym. Dwie największe firmy opracowały nowe, znacząco mniej szkodliwe – w świetle wyników badań naukowych – produkty alternatywne dla papierosów (IQOS produkowany przez Philip Morris International oraz Glo od British American Tobacco). W prace naukowe zaangażowani byli również Polacy – np. zaawansowane badania nad IQOS przeprowadzili także naukowcy z Polskiej Akademii Nauk, którzy stwierdzili, że generowany przez niego aerozol zawiera zdecydowanie mniej szkodliwych substancji w porównaniu z dymem papierosowym. Niestety, brakuje obecnie w Polsce rozwiązań prawnych i instytucjonalnych umożliwiających określenie poziomu szkodliwości produktów na podstawie wyników badań naukowych. Choć na świecie coraz więcej krajów wprowadza takie rozwiązania i wpisuje wyroby alternatywne do narodowych strategii zwalczania epidemii papierosowej.

Raport Public Health England z 2018 r. wskazuje, że papierosy elektroniczne są o 95 proc. bezpieczniejsze od papierosów tradycyjnych i mogą być w rzeczywistości ważnym narzędziem pomagającym ludziom rzucić palenie. Do podobnych wniosków doszły The UK Royal College of Physicians, University College London czy Amerykański National Academies of Sciences, Engineering and Medicine (NASEM). O produktach podgrzewających tytoń i o ich potencjale w walce ze szkodami związanymi z paleniem tradycyjnych papierosów wypowiadał się niemiecki BFR, wskazując na zdecydowanie niższe poziomy substancji szkodliwych.

– Produkty, w których substancji szkodliwych jest znacznie mniej, to ważny i innowacyjny kierunek. Producenci ponoszą gigantyczne koszty związane z rozwojem nowych technologii, tylko w BAT to 2,5 mld dolarów w ciągu sześciu lat. Jednocześnie warto podkreślić, że są kraje, np. Wielka Brytania, w których rozróżnia się produkty o niższej szkodliwości – oceniła Katarzyna Starmach z BAT.

– Rosnąca liczba krajów na świecie dostrzega potencjał tych produktów jako narzędzia w realizowaniu strategii redukcji szkód wywołanych paleniem tytoniu, a w konsekwencji – zwalczania epidemii papierosowej. W Polsce mamy 9 mln palaczy. Oczywiście najlepiej jest nigdy nie zaczynać palenia bądź jak najszybciej je rzucić, ale część pełnoletnich palaczy kontynuuje palenie, i to właśnie dla nich przeznaczone są te wyroby. Wyniki zaawansowanych badań naukowych, przeprowadzonych również przez niezależne instytuty naukowo-badawcze na całym świecie wskazują, że produkty te zawierają zdecydowanie mniej szkodliwych substancji w porównaniu z dymem papierosowym. [...] Do tej pory w badania, rozwój oraz produkcję tych produktów zainwestowaliśmy 6 mld dolarów – powiedział Wojciech Niewierko, członek zarządu ds. relacji zewnętrznych Philip Morris Polska.

Chodzi też o możliwość informowania potencjalnych klientów o obiecujących wynikach badań. Instytut Staszica podkreślał, iż z opublikowanej analizy IS wynikało, że konsumenci chcą i powinni mieć prawo do informacji o niższej szkodliwości niektórych produktów. Jednak – jak argumentowano w czasie debaty – po stronie administracji państwowej potrzebna byłaby zmiana kultury tworzenia prawa – z kultury zakazu, którą Dawid Piekarz, prezes Instytutu Staszica, ocenił jako życzeniową i magiczną (od zakazów ludzie nie przestają palić), na kulturę strategii. Jak podkreślił, oczywiście, że najlepiej byłoby, gdyby ludzie rzucili palenie, ale dla wielu jest to niemożliwe. Z myślą o takich ludziach, jak zaznaczył prezes Instytutu Staszica, prawo powinno zezwalać na informowanie o niższej szkodliwości.

NIE DOWIESZ SIĘ...

Innowacyjne produkty zmieniają definicję wyrobów branży tytoniowej na znacznie mniej szkodliwe. Przedstawiciele branży twierdzą, że istnieje wiele niezależnych badań, które potwierdzają wyniki tych zrealizowanych przez firmy. Badania dotyczące niższej szkodliwości nowatorskich wyrobów tytoniowych to dość karkołomne przedsięwzięcie: urzędnicy podważają wiarygodność wyników prac naukowców (mimo iż w przypadku PMI badania prowadziła Polska Akademia Nauk), argumentując, że skoro zlecały je koncerny tytoniowe – nie można im ufać. Co więcej,

Autopromocja

eprasa.pl fad24d143e

jak usłyszeliśmy, urzędnicy próbują zablokować prace naukowców nad takimi badaniami. Producenci IQOS i Glo rozkładają ręce.

– Cieszy bardzo to, że w ostatnich latach przyjęto w Polsce wiele proinnowacyjnych rozwiązań regulacyjnych. Biorąc pod uwagę liczbę palaczy w naszym kraju, jak również dostępne produkty alternatywne wobec papierosów, warto byłoby, gdyby polski rząd zastosował takie podejście również w sektorze tytoniowym – skomentował Wojciech Niewierko z Philip Morris Polska.

Na przykładzie innowacyjnych wyrobów branży tytoniowej prześledzić można różnicę między oczekiwaniami a rzeczywistością w walce o innowacje w Polsce. Uczestnicy debaty pytali retorycznie, czy innowacyjne mają być tylko maszyny do wyrobu tytoniu, czy też same produkty i zmiana całego biznesu. Polska chciałaby innowacyjnych rozwiązań, także w branży tytoniowej, lecz nie wszystkie resorty mówią w tej sprawie jednym głosem – wynikało z wypowiedzi panelistów.

KONSULTACJE I DIALOG

– Czy dialog z branżą ma sens? Oczywiście, że ma! – powiedziała Anna Rusiecka, naczelnik wydziału w Departamencie Innowacji w Ministerstwie Przedsiębiorczości i Technologii. – Tworzone przez nas prawo to nie jest prawo tworzone dla urzędników. To jest prawo tworzone dla gospodarki, dla osób, które funkcjonują później w tym prawie. My, jako MPiT, zawsze staramy się nasze regulacje konsultować ze wszystkimi interesariuszami na rynku. Wiemy, że nie zawsze jest to równe, bo są różne sprzeczne stanowiska i różne interesy, ale myślę, że ten wyważony dialog może przynieść pożądane efekty. W naszym resorcie zawsze jest to dostrzegane – dodała.

Czym w takim razie są dobre regulacje prawne? MPiT uważa, że na problem należy patrzeć szeroko, a dobre rozwiązania to takie, które dają korzyści jak najszerszemu gronu interesariuszy. Również całemu łańcuchowi firm powiązanych z branżą, nie tylko producentom. Dobre regulacje to też sprzyjający system podatkowy dla wydatków na badania i rozwój, udaną działalność badawczo-rozwojową (B+R). Za przykład przedstawiciele MPiT podają Ustawę o innowacyjności. – Nigdzie w Europie nie mamy takich możliwości zastosowania ulg podatkowych na badania i rozwój jak w Polsce – podkreśliła Anna Rusiecka.

Mimo niezwykle ożywionej i emocjonalnej debaty pytania, jakie postawiliśmy przed panelistami, wciąż pozostały otwarte. Jak skutecznie prowadzić dialog dotyczący rozwoju innowacji, jak im sprzyjać i jak premiować badania, których wyniki mogą zmienić nie tylko gospodarkę, lecz i wpłynąć na nasze zdrowie – te pytania z pewnością wracać będą w kolejnych rozmowach inwestorów z administracją publiczną. Debatę w ramach Forum wGospodarce.pl należy zatem uznać jedynie za początek potrzebnego, choć długiego i – jak wierzymy – korzystnego dla wszystkich dialogu.

Maksymilian Wysocki

Forum wGospodarce.pl

PATRONAT HONOROWY:

Ministerstwo Cyfryzacji
MINISTERSTWO INWESTYCJI I ROZWOJU
MINISTERSTWO PRZEDSIĘBIORCZOŚCI I TECHNOLOGII
Minister Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej PATRONAT HONOROWY
Minister Rolnictwa i Rozwoju Wsi
Polska Agencja Inwestycji i Handlu Grupa PFR

PARTNERZY STRATEGICZNI:

JTI
PHILIP MORRIS POLSKA

PARTNERZY GŁÓWNI:

SAMSUNG

PARTNERZY WSPIERAJĄCY:

British American Tobacco Polska
Coca-Cola
Deloitte.
Pfizer
POHiD
STRABAG

Więcej informacji na **www.wGospodarce.pl/sektory/forum-wgospodarce**

eprasa.pl fad24d143e

Strefa euro nie dla Polski

Przedwyborcza debata w Polsce zbiega się z 20. rocznicą utworzenia strefy euro i 10. rocznicą przystąpienia do niej naszego południowego sąsiada – Słowacji. Polski rząd nie bierze jednak pod uwagę wejścia do tej strefy w perspektywie najbliższych lat, co jasno wynika z deklaracji premiera Mateusza Morawieckiego. Dlaczego?





JERZY BIELEWICZ

Nie zachęca do tego choćby to, że kraje strefy euro doświadczają właśnie spowolnienia gospodarczego: Włochy znalazły się w stanie technicznej recesji, Francja i Niemcy balansują na granicy zerowego wzrostu gospodarczego. Co więcej, ekonomiści wskazują sytuację w strefie wspólnej europejskiej waluty jako jeden z najpoważniejszych czynników zagrożenia dla globalnej gospodarki.

20 LAT PROBLEMÓW

1 stycznia 1999 r., zgodnie z zapisami traktatu z Maastricht, powstaje strefa wspólnej waluty – euro, a w jej skład wchodzą państwa założyciele: Niemcy, Francja, Włochy, Hiszpania, Portugalia, Holandia, Belgia, Austria, Luksemburg, Grecja, Finlandia i Irlandia. Jej mechanizmami i polityką monetarną ma pokierować Europejski Bank Centralny, który formalnie utworzono sześć miesięcy wcześniej. Jednak już od 2008 r. zarówno UE, jak i strefa euro zmagają się z kolejnymi wstrząsami zapoczątkowanymi przez światowy kryzys finansowy.

W 2010 r. Grecja ujawnia rzeczywisty stan zadłużenia, co prowadzi do interwencji tzw. Trojki, czyli Międzynarodowego Funduszu Walutowego, Europejskiego Banku Centralnego i Komisji Europejskiej. Trojka w zamian za kolejne pożyczki, które sięgają na przestrzeni lat prawie 300 mld euro, zmusza władze w Atenach m.in. do głębokich cięć w wydatkach socjalnych, programach emerytalnych i budżecie, a także prywatyzacji przedsiębiorstw kontrolowanych dotąd przez państwo. PKB Grecji u szczytu kryzysu kurczy się aż o 30 proc., a bezrobocie sięga, bagatela, 50 proc. wśród młodych. Mimo tych zabiegów zadłużenie Grecji wzrasta ze 130 w 2010 r. do 180 proc. PKB z końcem 2018 r.

Finansowe wsparcie uzyskały również Irlandia i Portugalia, które musiały się zmagać z kryzysem w systemach bankowych, a Cypr skorzystał z europejskich gwarancji depozytów bankowych. Hiszpania i Włochy okazały się zbyt duże i zbyt zadłużone, by skorzystać w pełni z międzynarodowej pomocy, choć Hiszpanii udaje się zrestrukturyzować własny system bankowy. Problemy Włoch i systemu bankowego w tym kraju w praktyce zostają zamrożone przez EBC, który po prostu refinansuje na dogodnych warunkach kolosalne zadłużenie Republiki Włoskiej, zgodnie ze słynnym stwierdzeniem Mario Draghiego: „EBC will do, whatever it takes!".

WIDMO RECESJI

Spowolnienie gospodarcze czy nawet recesja znaczą co innego w Niemczech, a co innego w państwach południa Europy, takich jak Włochy, Hiszpania, Portugalia, Grecja czy nawet Francja. Niemcy mogą się cieszyć ciągle z najniższego w historii bezrobocia i rekor-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl fad24d143e

dowo wysokich nadwyżek w budżecie, wymianie handlowej i na rachunku bieżącym, a także rosnących dochodów ludności.

W krajach południa Europy wysoki poziom bezrobocia, rosnące zadłużenie, deficyt w finansach publicznych, cięcia wydatków socjalnych i spadek realnych dochodów obywateli powodują niepokoje społeczne, często zamieszki i walki uliczne, czego doświadcza właśnie Francja, a poprzednio na jeszcze większą skalę doświadczała Grecja.

Problem polega na tym, że obecnie strefa euro weszłaby w recesję z bagażem długu o wiele większym niż w 2008 r. Skrajnym przykładem jest oczywiście Republika Włoska, która od 2008 r. powiększyła swój dług publiczny aż o 30 proc. – z poziomu 103 do 133 proc. PKB. We Francji dług publiczny przekroczył 100 proc. PKB w 2018 r., a więc niemal dokładnie poziom zadłużenia Włoch z 2008 r., czyli sprzed światowego kryzysu finansowego. Podobnie Hiszpania. Inne gospodarki, w których zadłużenie pozostaje w „górnej strefie stanów alarmowych", to stosunkowo małe kraje Unii: Grecja – 180 proc. PKB, Portugalia – 126 proc. i Belgia – 106 proc. Podczas gdy średnie zadłużenie w strefie euro wynosi 87 proc. PKB, to w przypadku Polski jest to jedynie niepełne 50 proc. PKB na koniec 2018 r.

Gdyby nasz kraj wszedł do obszaru wspólnej waluty, to wcześniej czy później odpowiadałby solidarnie za długi innych państw, takich właśnie jak Grecja, Włochy, Portugalia, Belgia, Francja i Hiszpania. Ta odpowiedzialność to wymierny i namacalny koszt. W przypadku Słowacji rachunek wyniósł 2,7 proc. PKB na spłatę i refinansowanie zadłużenia Aten oraz 7,1 proc. jako wkład własny do Europejskiego Mechanizmu Stabilności, a więc razem prawie... 10 proc. PKB tego kraju. W warunkach polskich ten jednorazowy wydatek urósłby aż do 200 mld zł, gdyby Polska znalazła się w owym czasie na miejscu Słowacji.

BILET W JEDNĄ STRONĘ?

Nikt dotąd nie wyszedł ze strefy euro, choć chętni już byli. Choćby na Słowacji, postawionej przed nadmiernymi rachunkami za długi innych, czy we Włoszech przed ostatnimi wyborami parlamentarnymi. Okazuje się, że strefa euro ma swoich dłużników i wierzycieli, a nad całością rozliczeń czuwa Europejski Bank Centralny. Wątpliwości w tej sprawie nie pozostawił wiosną 2017 r. szef EBC, Włoch Mario Draghi, odnosząc się do zapytania prawników z własnego kraju. Odpowiedź brzmiała: „W razie wyjścia któregoś z państw ze strefy euro bank centralny tego kraju musiałby uregulować zobowiązania wynikające ze wzajemnych przepływów finansowych ujętych w pozycjach bilansowych systemu Target 2". I tak niemiecki Bundesbank posiada należności na kwotę 941 mld euro w systemie banków centralnych strefy euro, a na Banku Włoch ciążą zobowiązania sięgające 492 mld euro na koniec listopada 2018 r. O taką kwotę w sposób skokowy zwiększyłoby się formalne zadłużenie publiczne Republiki Włoskiej w dniu opuszczenia obszaru wspólnej waluty. Dług wzrósłby o ok. 28 proc., do 161 proc. PKB!

Przed kilkoma tygodniami niemiecki think tank, Centrum Polityki Europejskiej (CPE) we Fryburgu, przedstawił raport „20 lat euro: zwycięzcy i przegrani", który łamie polityczną poprawność obowiązującą dotąd w UE. Wspólna waluta miała być przecież panaceum na wszelkie bolączki unijnych krajów, a przede wszystkim na nie dość sprawną integrację państw członkowskich – twierdzenie, w którym celuje zwłaszcza opozycja w Polsce przed wyborami do Parlamentu Europejskiego. Tymczasem analiza CPE wskazuje, że w wyniku wprowadzenia euro skumulowany PKB Francji do 2017 r. był niższy o 3,6 bln euro od hipotetycznej wartości skumulowanego PKB w przypadku, gdyby ten kraj pozostał przy własnej walucie. Przegranymi strefy euro według CPE są również Włochy – 4,3 bln euro strat w przyroście PKB, ale też Portugalia, Belgia i Hiszpania. Kto okazał się zwycięzcą? Niemcy i Holandia, które zyskały odpowiednio 1,893 bln euro i 224 mld euro, co razem daje 2,1 bln euro.

Najważniejszy wniosek, który wynika z omawianej analizy, jest taki, że strefa euro stanowi swoistą czarną dziurę dla pieniądza czy – jak kto woli – dla waluty euro. Okazuje się bowiem, że rachunek nawet w przybliżeniu się nie bilansuje, gdyż wygrani zyskali 2,1 bln euro, a przegrani stracili po wielokroć więcej, bo aż 8,6 bln euro. Gdzie się zatem podziało 6,5 bln euro?

MIEJSCE POLSKI

Rozwój sytuacji międzynarodowej nie uprawnia do podejmowania pochopnych i nieodwracalnych decyzji, które określiłyby na dziesięciolecia miejsce oraz sztywne ramy polskiej polityki. Chodzi m.in. o napięcie na osi Waszyngton–Berlin związane ze ścisłą współpracą Niemiec z Rosją w sektorze energetycznym, a także względy bezpieczeństwa i obronności naszego kraju oparte na Sojuszu Północnoatlantyckim i ścisłej współpracy z USA. Gdyby Polska przystąpiła do strefy euro, byłby to niewątpliwie sukces niemieckiej dyplomacji, która przykładowo kontestuje stałą obecność wojsk amerykańskich na terytorium naszego kraju. Polska, wchodząc do strefy euro, utrwaliłaby rolę Niemiec jako hegemona UE, stawiając pod znakiem zapytania bliskie stosunki oraz współpracę z USA w obszarach obronności i sektora energetycznego.

Przystąpienie do strefy euro wiązałoby się także z nadmiernym ryzykiem finansowym i ekonomicznym wynikającym z rozwoju sytuacji w samej strefie, czyli rosnącym ryzykiem recesji i rozpadu obszaru wspólnej waluty na skutek narastających nierównowag w systemie banków centralnych i wymianie handlowej między krajami północy a południa Europy.

Polski złoty pozwala zachować suwerenną politykę monetarną i fiskalną, która okazuje się skutecznym buforem przed negatywnymi impulsami płynącymi zarówno z eurostrefy, jak i z innych regionów świata. Taką też funkcję spełnia tzw. piątka Kaczyńskiego – to impuls fiskalny, który może ochronić naszą gospodarkę przed spowolnieniem i skutkami potencjalnej recesji właśnie w strefie euro.

eprasa.pl fad24d143e

Polska już jest spóźniona we wdrażaniu technologii 5G

Technologia 5G, umożliwiająca błyskawiczny przesył ogromnych ilości danych w mobilnym internecie, zmieni świat oraz Polskę. Ale konieczne są decyzje rządu i regulatorów, aby nasz kraj dogonił liderów, którzy tę technologię zaczynają już wdrażać – wynika z debaty redakcyjnej tygodnika „Sieci”





Fot. Andrzej Wiktor | 30/0319/F

Od lewej: Sławomir Chmielewski, członek zarządu KIGEiT i dyrektor Zarządzania Zgodnością i Bezpieczeństwa Korporacyjnego Orange Polska, Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców, Martin Mellor, prezes Ericsson Poland

Technologia 5G, czyli nowy standard mobilnej telekomunikacji, zmieni świat. Niektóre kraje już zaczynają ją wdrażać. O tym, jak to wdrożenie może wyglądać w Polsce, jakie zagrożenia przed rozwojem technologii, która zmieni świat, widać w naszym kraju i jakie skutki ten nowy standard telefonii komórkowej przyniesie, rozmawialiśmy w redakcji tygodnika „Sieci”.

– Z raportów, które analizowaliśmy, wynika, że najbardziej zaawansowane są Korea Południowa i USA. W Europie nieźle pod względem przygotowania do wdrażania technologii 5G wypada Hiszpania – mówił Sławomir Chmielewski, członek zarządu Krajowej Izby Gospodarczej Elektroniki i Telekomunikacji oraz dyrektor Zarządzania Zgodnością i Bezpieczeństwa Korporacyjnego Orange Polska, podczas debaty poświęconej nowej technologii. – Nasz kraj nie jest prymusem. Aby ułatwić wprowadzenie technologii 5G w Polsce, należy uporządkować kwestie częstotliwości oraz dostosować przepisy związane z promieniowaniem elektromagnetycznym. Bez tego rozwój 5G będzie bardzo trudny – dodał.

Także Martin Mellor, prezes Ericsson Poland, uznaje, że najbardziej zaawansowani pod względem wprowadzania 5G są Amerykanie.

– Widzimy także, że mocno zaawansowane są Korea Południowa, Chiny, Australia, a w Europie Szwajcaria i kraje skandynawskie. Wszystkie te państwa mają już przygotowane częstotliwości pod 5G – mówił. – Część Europy narażona jest na opóźnienia we wdrożeniu 5G. Częstotliwości 5G muszą być uwolnione, aczkolwiek nie we wszystkich krajach Europy tak jest. Mamy nadzieję, że częstotliwości zostaną uwolnione nie później niż w 2020 r. – powiedział.

Wspomniał również o potrzebie harmonizacji przepisów dotyczących gęstości mocy z regulacjami UE oraz uznał, że jest to konieczne, aby ułatwić budowę nowych stacji bazowych, a tym samym uprościć system przyznawania pozwoleń budowlanych.

Tego, że kwestie legislacyjne będą hamować wprowadzanie nowych technologii do Polski, obawia się Cezary Kaźmierczak, prezes Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

– Obawiam się problemów legislacyjnych, bo regulacje nie są naszą najmoc-

eprasa.pl fad24d143e

niejszą stroną. Będą próby ingerencji w te przepisy ze strony różnych lobby, jako że na tych nowych rozwiązaniach wielu może stracić – mówił. – Przykładem może być forsowana obecnie próba zakazania wyliczania opłaty za kurs przy użyciu aplikacji, co jest absurdem. Oczywiście, próby przeciwstawienia się zmianom są rzeczą normalną, ale sądzę, że reakcja rządu w takich przypadkach powinna być bardziej stanowcza i ostra. Zapowiedzi gabinetu Mateusza Morawieckiego są dość buńczuczne w zakresie polskiej cyfryzacji. Ale – jak mawiał Jack Welch z General Electric – wierzymy Panu Bogu, a w pozostałych przypadkach prosimy o pokazanie dokumentów. Czekamy, aż rząd te dokumenty pokaże – dodał.

Zmiany, które ułatwią i przyspieszą tworzenie sieci 5G, są konieczne, bo wartość inwestycji w tę technologię będzie liczona w miliardach. Pojawiają się różne kwoty, niedawno jedna z analiz mówiła, że w zależności od technologii, sposobu rozbudowy sieci i stopnia wykorzystania już istniejącej infrastruktury koszty mogą sięgnąć od 3 do 6 mld zł.

– W celu osiągnięcia maksymalnego zasięgu i najlepszej wydajności przy zoptymalizowanym koszcie nowe pasma częstotliwości 5G powinny być używane w agregacji z istniejącymi niskimi pasmami przy współdzieleniu widma 4G/5G. W przypadku Ericssona jest to Ericsson Shared Spectrum (ESS). Krajowy zasięg 5G zostanie osiągnięty w Polsce za trzy lub cztery lata – mówił Martin Mellor.

Nieco bardziej ostrożny był Cezary Kaźmierczak, szef ZPP.

– Nie jestem specjalistą od kwestii technologicznych. Myślę, że koszty będą zależeć od bardzo wielu czynników, choćby politycznych czy ekonomicznych, kto dostarczy technologię, kto będzie providerem – mówił. – To jest bardzo skomplikowany proces, ale tej zmiany nikt nie zatrzyma.

Jedną z cech 5G jest to, że to chyba pierwsza powszechna technologia komunikacyjna, którą w pełni ma wykorzystać nie społeczeństwo, ale biznes. Wszyscy spodziewają się, że tak jak LTE zmieniło nasze społeczeństwo, tak 5G zmieni przemysł, handel i usługi. A więc dostęp do możliwości 5G będzie decydował nie tylko o możliwości skorzystania z informacji lub rozrywki, lecz przede wszystkim – o konkurencyjności firm i gospodarki jako całości. To zaś oznacza, że wszystkie białe plamy będą jeszcze bardziej dotkliwe niż w przypadku LTE.

– Prywatnego biznesu nikt nie zmusi do budowania sieci tam, gdzie nie ma klientów. Myślę, że jeśli rząd zechce temu przeciwdziałać, to musi zaproponować zachęty dla firm albo coś w tym rodzaju, bo dobrowolna budowa sieci tam, gdzie nie przyniesie ona zysków firmom, jest po prostu sprzeczna z Kodeksem spółek handlowych – mówił Kaźmierczak. – Tam gdzie biznes będzie potrzebował 5G, to ono tam powstanie – dodał.

– Potrzebna jest równowaga pomiędzy opłatami za pasma częstotliwości a tym, że operatorzy telekomunikacyjni muszą inwestować w budowę sieci – wyjaśnia Martin Mellor. – W 2016 r. Komisja Europejska przyjęła „Plan działania 5G dla Europy", którego celem jest rozpoczęcie świadczenia usług 5G we wszystkich państwach członkowskich UE najpóźniej do końca 2020 r., wraz z szybką rozbudową infrastruktury radiowej w celu zapewnienia nieprzerwanego zasięgu 5G na obszarach miejskich i wzdłuż głównych dróg transportowych do 2025 r. – dodał.

Ale na to, jak budować i z jakim rozmachem, wpływa także dostępność urządzeń oraz zapotrzebowanie społeczne.

– Przede wszystkim trzeba pamiętać, że standard 5G został ustalony dopiero pod koniec zeszłego roku. Teraz zaczynają się pojawiać urządzenia, które działają w tej technologii, przeznaczone zarówno do wykorzystania przy budowie sieci, jak i dla klientów – powiedział Sławomir Chmielewski. – Z naszych doświadczeń wynika także, że aby technologia się przyjęła i był popyt na urządzenia, potrzebna jest otwartość gospodarki na innowacje. Wierzymy, że polska gospodarka ją ma – dodał.

Zawsze jest coś, co tej otwartości pomaga. W przypadku LTE magnesem, który sprawił, że klienci zapragnęli mieć i korzystać z aparatów wykorzystujących tę technologię, było wideo – zarówno w postaci filmów odtwarzanych z serwisów, jak i w postaci transmisji na żywo. To właśnie popularności wideo zawdzięczamy tak codzienny już widok ludzi wpatrzonych w ekrany komórek, niezwracających uwagi na to, co się dzieje wokół. Zmiany na pewno przyniesie technologia 5G. Zapytaliśmy ekspertów o to, w jakiej dziedzinie te zmiany będą największe.

– Myślę, że największe zmiany zajdą w sferze przemieszczania się i komunikacji oraz zakupów. Jednym z głównych zastosowań 5G mają być samochody autonomiczne, a to zasadniczo zmieni podejście m.in. do kupowania aut. Już teraz widać, że jest wiele rzeczy, które ludzie wolą wypożyczać czy kupować, w przyszłości to się jeszcze nasili – powiedział Cezary Kaźmierczak. – Poza tym zmieni się model kupowania w internecie, jako że ta nowa technologia umożliwi lepsze dopasowanie kupowanej rzeczy do zamawiającego, i to już na poziomie produkcji tej rzeczy – dodał.

O samochodach wspomniał także Sławomir Chmielewski.

– 5G z ultraszybkim transferem i niewielkimi opóźnieniami umożliwi rozwój pojazdów autonomicznych, które z kolei pozwolą np. na bardziej efektywne wykorzystanie naszych dróg – powiedział. – Poza tym rozwiną się inteligentne miasta, oparte na internecie rzeczy. Chodzi m.in. o sterowanie ruchem, aby nie tworzyły się korki, czy inteligentne liczniki, które będą same decydować, kiedy i gdzie kupić energię – tłumaczył.

Martin Mellor przyznał, że dojdzie do przełomu w sferze motoryzacji ze względu na rozwój aut autonomicznych. Podkreślił również, że nowa technologia zaoferuje rozrywce nowe możliwości.

– Jestem wielkim fanem piłki nożnej i myślę, że 5G może zmienić sposób, w jaki kibice oglądają mecze – zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz stadionu. Może to być rzeczywistość wirtualna, gdzie fani poza stadionem mogą się stać częścią wydarzenia i mocniej odczuwać związane z tym emocje. – Wczesne przypadki użycia 5G będą przeznaczone dla konsumentów i stały dostęp bezprzewodowy, a następnie będą wykorzystywane przez przemysł – dodał.

Debatę prowadził Marek Siudaj

eprasa.pl fad24d143e

Nowe pomysły na energię

Ładowarka do samochodów na wyciągnięcie ręki? Superwydajna bateria wodorowa? Potężne magazyny energii? Instytuty naukowe mają laboratoria pełne pomysłów, a biznes już się szykuje, by zrobić z nich użytek

Z jednej strony dziesiątki pracowników naukowych najwybitniejszych polskich instytutów, eksperci z Polski i z zagranicy, a z drugiej – biznes na wielką skalę, obracający miliardami, grający pierwsze skrzypce w krajowej energetyce. W Krynicy-Zdroju przedstawiciele Grupy PGE rozmawiali ze światem nauki o przemianach dokonujących się w sektorze energetycznym. Podczas dwudniowej konferencji (21 i 22 marca) „Polska energetyka w obliczu innowacji” koncern zaprezentował swoje najnowocześniejsze dokonania, a świat nauki – własne pomysły i analizy. Współpraca między instytutami badawczymi a PGE nabiera tempa.



Mariusz Bednarski i Mirosław Cielecki ze spółki PGE Obrót

Fot. PGE | 55/0319/F

POTRZEBA MATKĄ WYNALAZKÓW

Minister energii Krzysztof Tchórzewski napisał do uczestników konferencji, że rosnąca popularność paliw alternatywnych oraz odnawialnych źródeł energii stawia pod znakiem zapytania dominację węglowodorów w gospodarce zarówno światowej, jak i polskiej. „Nakładają się na to aspiracje polityczne i społeczne oraz modele regulacyjne, zmieniając tradycyjny model funkcjonowania przedsiębiorstw energetycznych” – stwierdził Krzysztof Tchórzewski. Zależność gospodarek od surowców nie jest już tak jednoznaczna jak jeszcze kilka lat temu, a ekspansja internetu, telekomunikacji i cyfryzacji daje konsumentowi narzędzia pozwalające na odgrywanie nowych ról w zakresie wytwarzania i optymalizacji zużycia energii. Wszystko to sprawia, że innowacje stają się nieodzownym elementem rozwoju gospodarczego. „Innowacyjność wymaga współpracy sektora badań i rozwoju, przemysłu, finansów i administracji publicznej” – uważa Krzysztof Tchórzewski.

Według minister przedsiębiorczości Jadwigi Emilewicz energetyka to jeden z sektorów gospodarki, które najsilniej potrzebują innowacji. Do uczestników konferencji mówiła, że w energetyce doskonale sprawdza się powiedzenie potrzeba matką wynalazków. Na polskie decyzje w tym sektorze mają wpływ zobowiązania europejskie, zielone technologie energetyczne, zdrowy rozsądek i wymagania wobec przyszłych pokoleń. „To nie jest tak, że Polska wybrała węgiel z miłości” – mówiła Jadwiga Emilewicz. „To nie był wybór Polski. Mieliśmy ograniczony wpływ na nasz miks energetyczny. To nie był wybór władz w Warszawie, że w Polsce nie powstała elektrownia jądrowa, tylko na Węgrzech i w Czechosłowacji. Podejście do transformacji musi być rozsądne. Energetyki węglowej nie da się zmienić w dzień czy rok”.

Według Jadwigi Emilewicz obszary atrakcyjne z punktu widzenia energetyki to prosumenci, rozwój zielonej technologii, magazynowanie energii i elektromobilność. Minister przypomniała, że poszukiwanie zielonych technologii jest cechą charakterystyczną dla wszystkich gospodarek, niezależnie od tego, czy interesowały się nimi już wcześniej, czy nie.

Jaka rola przypada na tym rynku najmocniejszemu graczowi w Polsce, jakim jest Grupa Kapitałowa PGE? Według Henryka Baranowskiego, prezesa PGE, koncern chce być kreatorem zmian i pionierem na polskim rynku

eprasa.pl fad24d143e

energetycznym. Uważa on, że to właśnie innowacje są kluczowe dla przyszłości naszej branży i to one determinują dynamikę transformacji. Według Pawła Śliwy, wiceprezesa PGE, innowacje są zaszczepione w każdym elemencie łańcucha wartości grupy, od wydobycia paliwa, przez wytwarzanie i dystrybucję energii, do jej sprzedaży klientom.

OD PIENIĘDZY UNIJNYCH PO VENTURES CAPITAL

Jakie są szanse wykorzystania środków krajowych i europejskich dla innowacji w energetyce? Możliwości jest wiele, pieniądze również nie są małe. Sam program Energia+, który Narodowy Fundusz Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej uruchomił w marcu tego roku, dysponuje budżetem sięgającym 4 mld zł. Jak mówił Artur Michalski, zastępca prezesa NFOŚiGW, finansuje on wszystko, co jest związane z efektywnością energetyczną. Program Ciepłownictwo powiatowe ma budżet 500 mln zł. Przedsiębiorcy związani z energetyką i współpracujące z nimi ośrodki badawcze mogą liczyć m.in. na fundusze z Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko, z NCBR (w ramach Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój) czy z różnego rodzaju funduszy zagranicznych.

Temat finansowania przedsięwzięć innowacyjnych pojawiał się regularnie podczas obu dni konferencji. Mówiono o tym przy okazji paneli poświęconych wydobyciu, ciepłownictwu i kogeneracji, a także dystrybucji, energetyce odnawialnej czy obrotowi. Finansowanie było ostatnim, mocnym domknięciem konferencji, kiedy pojawił się temat inwestycji kapitałowych w innowacje, szczegółowo omawiany przez szefa kapitałowego ramienia koncernu – Piotra Czaka z PGE Ventures. Rynek kapitałowy ma szczególne predyspozycje do tego, by inwestować w innowacje i wspierać start-upy. Takie przedsięwzięcia jak PGE Ventures to oczy i uszy koncernu, które mogą wynaleźć nieszablonowe, odważne, ale i potencjalnie najbardziej zyskowne, pomysły. Niebagatelną rolę w tym procesie odgrywa Akcelerator PGE, który wspiera młode firmy technologiczne we wczesnej fazie ich rozwoju. W pierwszej kolejności na celownik trafiają start-upy działające na niedużą skalę, które jednak dysponują rozwiązaniami mogącymi wesprzeć działalność dużego koncernu energetycznego, takiego jak PGE. Takie poszukiwania miały miejsce na przykład podczas hackathonu, czyli konkursu dla programistów, zorganizowanego we współpracy z Interdyscyplinarnym Centrum Modelowania Matematycznego i Komputerowego Uniwersytetu Warszawskiego. Celem tego konkursu było stworzenie prototypów narzędzi, które w przyszłości pozwolą klientom PGE efektywnie zarządzać energią elektryczną w domu. Z efektów współpracy Akceleratora PGE ze start-upami korzystają już klienci PGE Obrót, największego sprzedawcy energii w Polsce. Przykładem jest pilotażowy projekt „Mam Ciepło" czyli optymalizacja poboru energii – Mini DSR, który umożliwia zdalne zarządzanie energią wykorzystywaną do ogrzewania wody użytkowej.

MAGAZYNY PEŁNE PRĄDU

Okazuje się, że oferta naukowców i wizjonerów – zarówno z Polski, jak i z zagranicy – jest dla PGE oraz dla całej naszej gospodarki wyjątkowo bogata. Wiele skomplikowanych pomysłów opartych na zaawansowanej matematyce może mieć zastosowanie w biznesie. Na przykład Michał Ramsza i Mariusz Kozakiewicz z SGH przedstawili wyliczenia, według których wystarczy zachęcić odbiorców do większego korzystania z prądu w godzinach nocnych, by zwiększyć wykorzystanie energii wiatrowej. Poza matematykami, informatykami czy ekonomistami wiele do powiedzenia mieli również fizycy i chemicy. Michael Anderson z University of Stanford mówił o baterii wodorowej, która jest o niebo lepsza od obecnych ogniw litowo-jonowych. Działa już na statkach kosmicznych, ale jest tak droga, że nie ma szans, by wprowadzić ją do masowej produkcji. Czy można zrobić ją taniej? Anderson twierdzi, że tak. I że można dokonać tego w Polsce.

Baterie i magazynowanie energii to jeden z wiodących tematów współczesnej energetyki. W Krynicy mówiono o tym zarówno przy okazji OZE („Magazynowanie energii pozwoli ustabilizować źródła OZE" – stwierdził Szymon Kowalski, dyrektor Biura Rozwoju i Innowacji w PGE Energia Odnawialna), jak i aktualnych dokonań PGE. Koncern pracuje nad ośmioma projektami dotyczącymi magazynowania energii, o łącznej szacowanej mocy ok. 40 MW, realizuje Program Magazynowania Energii, którego częścią jest m.in. budowa pierwszego w Polsce magazynu energii elektrycznej zintegrowanego z blokiem konwencjonalnym w Elektrowni Bełchatów.

Z energetyką niekonwencjonalną związane są dwa projekty magazynowe: pierwszy ma powstać przy instalacji fotowoltaicznej na Górze Żar, drugi – przy farmie wiatrowej Karnice I. Magazyny energii to także ważny element zapewniający stabilność sieci dystrybucyjnej, dlatego spółka PGE Dystrybucja przygotowuje się do opracowania koncepcji budowy magazynów energii elektrycznej w czterech lokalizacjach: pierwsza ma powstać w sąsiedztwie stacji elektroenergetycznej Przemyśl, do której bezpośrednio przyłączona jest farma wiatrowa Galicja, kolejne dwie przygotowuje oddział białostocki, a jedną – rzeszowski (w okolicy bieszczadzkiej wsi Rzepedź). Jak mówił przedstawiciel spółki, PGE Dystrybucja realizuje ponad 20 projektów innowacyjnych, posiada własne zaplecze kadrowe, współpracuje z jednostkami naukowymi. Poza projektami związanymi z magazynami energii pracuje nad dwoma przedsięwzięciami dotyczącymi elektromobilności (jeden z pomysłów polega na ładowaniu aut zintegrowanym z infrastrukturą oświetleniową).

Pierwsza stacja ładowania samochodów elektrycznych PGE została uruchomiona w grudniu 2017 r. w Łodzi. Kolejne powstały w miejscowościach uzdrowiskowych – w Krynicy-Zdroju, Lądku-Zdroju, a także w Zakopanem, gdzie w planach jest postawienie dodatkowych pięciu stacji do końca 2019 r. Kolejne lokalizacje w miejscowościach uzdrowiskowych są uzgadniane z samorządami. Grupa PGE posiada obecnie 11 stacji ładowania samochodów w siedmiu miastach w Polsce, a w najbliższym miesiącu zostaną uruchomione stacje w Bełchatowie, Nowym Sączu, Arłamowie i kolejne w Rzeszowie.

Sk

eprasa.pl fad24d143e



Hit tygodnia

Samsung Galaxy S10

Smartfony południowokoreańskiego producenta, zwłaszcza te z najwyższej półki, niejednokrotnie wyznaczały trendy, wywoływały głębokie westchnienia, nie dziwi więc wypowiedź prezesa i dyrektora zarządzającego IT & Mobile Communications Division, Samsung Electronics, pana o nazwisku DJ Koh: „Od chwili rynkowego debiutu dziesięć lat temu seria Galaxy S stała się synonimem innowacji, oferując użytkownikom niesamowite wrażenia i możliwość wyboru urządzenia, które idealnie zaspokaja ich potrzeby". I tak też będzie z nowym flagowcem S10 – czy w wersji z plusem, czy nieco okrojonej i oznaczonej jako S10e. Czym się może pochwalić nowy flagowiec? Przede wszystkim dynamicznym wyświetlaczem AMOLED, i to z certyfikatem HDR10+, ultradźwiękowym skanerem linii papilarnych, który odczytuje trójwymiarowy, fizyczny kształt odcisku palca – a nie jego dwuwymiarowy obraz. Baterie mają pojemność 3 400 mAh oraz 4 100 mAh. Jeśli chodzi o możliwości fotograficzne i filmowanie, to chyba nikt nie będzie rozczarowany – wideo w jakości 4K, choć to w sumie już nic nowego, trzy aparaty o różnych ogniskowych. Wydajność? 8-rdzeniowy procesor Samsung Exynos 9820 (8 nm) i 8 GB pamięci RAM. Jeszcze raz zacytujmy DJ Koha: „Galaxy S10 bazuje na tej wspaniałej tradycji, zapewniając przełomowe rozwiązania w zakresie wyświetlacza, aparatu i wydajności". Tym razem nie jest to typowa wypowiedź marketingowa. **Premiera**

Plusy i minusy

+ po prosty smartfon z górnej półki
– na razie trudno powiedzieć, ale jak to w przypadku flagowców pewnie cena, choć chyba powinniśmy już przywyknąć, że topowe smartfony kosztują tyle, ile dobry laptop czy aparat fotograficzny

Pilot Sony RMT-P1BT



Drobny gadżet dla zwolenników fotografii. Nowy pilot bezprzewodowy RMT-P1BT wykorzystuje do działania łącze Bluetooth, a sprawdzi się podczas fotografowania krajobrazów, architektury, nocnego nieba, sekwencji still motion, portretów grupowych itp. Weryfikację stanu połączenia z aparatem umożliwia migająca lub zapalona kontrolka LED. Dodatkową zaletę stanowi odporność urządzenia na pył, wilgoć oraz wysoką i niską temperaturę. Pilot może więc pracować w różnych środowiskach i warunkach pogodowych. RMT-P1BT jest wyposażony w przyciski do ręcznego wprowadzania niewielkich korekt ostrości oraz zdalny przycisk C1, którego działanie można dostosować do własnych potrzeb. Umożliwia też rozpoczynanie/zatrzymywanie filmowania, elektryczną regulację zoomu i sterowanie zoomem cyfrowym, dzięki czemu znakomicie się sprawdzi podczas nagrywania filmów. Z myślą o fotografach, którzy używają migawki w trybie B (Bulb), umożliwiono otwieranie i zamykanie migawki przez naciśnięcie głównego przycisku, bez potrzeby trzymania go przez cały czas ekspozycji. **Premiera**

Mio Cyclo 215HC

Mio przedstawia swój najnowszy model nawigacji rowerowej z serii 215. To kontynuacja bardzo popularnego modelu 205, który w nowym wydaniu 215 otrzymał mapy całej Europy oraz kilka innych funkcjonalności. Dzięki obsłudze protokołu ANT+ do urządzenia można podłączyć pulsometr i czujnik kadencji oraz prędkości, by w ten sposób monitorować swoje postępy treningowe. Nawigacja ma czytelny 3,5-calowy wyświetlacz. Wytrzymała obudowa



pozwala na jazdę w trudnych warunkach pogodowych, wbudowana mocna bateria o dużej żywotności zapewnia do 10 godzin nieustannej pracy. Dzięki aplikacji komputerowej Mio Share umożliwia zapisywanie treningów, zarządzanie nowymi trasami, tworzenie ich, a także udostępnianie znajomym. Model Mio Cyclo 215HC z całym zestawem czujników służących do szczegółowego pomiaru rowerowego treningu kosztuje 999 zł. Model Mio Cyclo 215 bez dodatkowych czujników ma cenę 799 zł. **Cena: 999 zł**

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

32/0219/F

eprasa.pl fad24d143e


Kraków
JACEK MAJCHROWSKI
PREZYDENT MIASTA KRAKOWA
ZAPRASZA
kbf
RMF Classic
12.
FESTIWAL
MUZYKI
FILMOWEJ
W KRAKOWIE
14–21.05.2019
FMF Gala: The Glamorous Show
Disney in Concert: The Magic of Music
Dracula Live in Concert
Birdman Live in Concert
KUP BILET
biurofestiwalowe.pl
InfoKraków
salony Empik
salony MediaMarkt
eventim.pl
www.fmf.fm
KRAKOWSKIE BIURO FESTIWALOWE – INSTYTUCJA KULTURY MIASTA KRAKOWA
Organizatorzy:
kbf
RMF Classic
Partner dla Krakowa:
BUKOVINA RESORT
Sponsor główny:
TAURON

AŁBENA GRABOWSKA*

Pozytywna intensywność

Pierwszy bardzo konkretny smak i zapach, który zapamiętałam z dzieciństwa, łączy się z czubrycą, ponieważ moje korzenie są w połowie bułgarskie. Mam z Bułgarii wiele wspaniałych wspomnień.

Czubryca to bardzo charakterystyczna mieszanka cząbru górskiego z różnymi przyprawami [m.in. papryką: słodką i chili, czosnkiem, kozieradką, odrobiną soli i pieprzu – przyp. red.]. Podaje się ją praktycznie do wszystkiego. Pamiętam biały, wypieczony, jeszcze ciepły chleb z masłem i czubrycą właśnie.

Bardzo lubię kuchnię bałkańską – za jej różnorodność, wyrazistość przypraw, dużą ilość warzyw; za całą paletę smaków i zapachów. Mam wrażenie, że pozytywna intensywność, w której – także kulinarnie – wyrosłam, pomagała mi też wychodzić z życiowego tła. Smakować nowe wyzwania.

Wobec wielkiego sukcesu „Stulecia Winnych" – rosnącej oglądalności serialu i liczby książek w sprzedaży – mogę powiedzieć, że od dłuższego czasu życie na co dzień smakuje mi lepiej i bardziej wyraziście. Mam wrażenie, że więcej mogę, więcej chcę i wszystko ładnie się układa.

Od kiedy pamiętam, ciężką pracą udawało mi się dojść wysoko. Nie pochodzę z lekarskiej rodziny, więc od zera zaczynałam w medycynie. Nie miałam też nic wspólnego z rynkiem wydawniczym: musiałam go poznawać od podstaw, ale miałam szczęście i coś do zaproponowania, więc teraz mogę się cieszyć z sukcesu, mając nadzieję, że i czytelnik, i widz nadal tak ciepło będą przyjmowali moją pracę.



Do pewnego momentu w kuchni rodzinnego domu królowała mama – oboje z tatą uwielbialiśmy jej bałkańskie dania (mama jest Bułgarką, ojciec był Polakiem, poznali się na wakacjach w Bułgarii, zamieszkali w Polsce, gdzie ja się urodziłam). Jednak mama, która z zawodu jest muzykiem, często wyjeżdżała na tournée. Zostawiała nas z zapasami w lodówce. Któregoś roku (byłam wtedy w szkole podstawowej) zbuntowaliśmy się z tatą, widząc ze 40 zapakowanych na kolejne dni kotletów mielonych i tyle samo schabowych. Przy następnym wyjeździe mamy powiedzieliśmy, że poradzimy sobie sami. Nie obyło się bez błędów i wypaczeń. Pamiętam np. rozklejające się w rękach kotlety ryżowe czy naleśniki zeskrobywane z sufitu, bo tak je wysoko podrzucałam. Ale od tamtego czasu gotuję. Z przyjemnością.

Z każdej podróży, w jaką się wybieram – głównie w cieplejsze rejony – przywożę przyprawy (ostatnio z Mauritiusa), a z Grecji – także tamtejszą oliwę. Gdziekolwiek jestem, próbuję różnych smaków. Od jakiegoś czasu inspiruje mnie kuchnia tajska, jeśli jednak mam podać przepis, wrócę do kuchni bułgarskiej.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna

** dr nauk medycznych, neurolog ze specjalizacją II stopnia, autorka bestsellerowej sagi „Stulecie Winnych"*

Imambajałda w uproszczonej wersji

Bardzo prosta potrawa podobna do ratatouille, ale po bałkańsku. Potrzebne: bakłażany, cukinie, pomidory (mogą być z puszki), cebula, czosnek, przyprawy. Dobrze jest też dodać sosu pomidorowego, ale z butelek, nie z koncentratu.



Proporcje składników zestawiamy według własnego uznania. Warzywa kroimy w większą kostkę. Nie obieramy ich, ale zwłaszcza bakłażany kupione w Polsce warto posypać solą i odstawić na chwilę, by puściły goryczkę.

Na patelni przesmażamy krótko cebulę z czosnkiem, pieprzem i oliwą z oliwek. Dodajemy sos z pomidorów i pokrojone warzywa, które dusimy do miękkości. Na koniec dodajemy sól do smaku. I mamy fantastyczną przystawkę albo dodatek do mięsa, do ryby, do chleba.

eprasa.pl fad24d143e

SŁODKO-SŁONY

Ślad na talerzu

ANNA MONICKA

O co chodzi z tym śladem węglowym? Jak to jest z tym awokado? Jest zdrowe czy nie? A co z ekologią? Zielona gruszka to jedzenie eko czy nie? Podobnie szparagi – już są. Zielone i chrupkie, aż ślinka cieknie na sam widok. Ale przyjechały z Meksyku, a nie z polskiego gospodarstwa. Kupować czy nie?

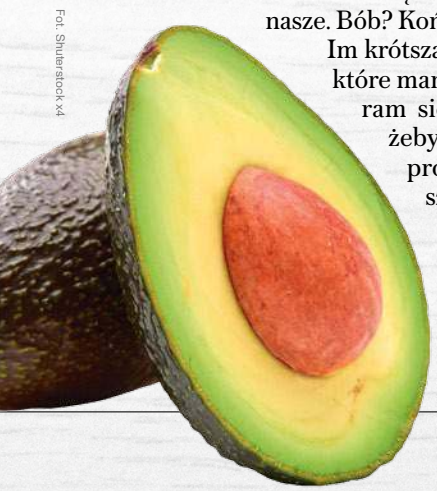
Ślad węglowy to poważna sprawa. Zostawia go po sobie każdy z nas. Jeździmy samochodami, latamy samolotami, ogrzewamy domy, korzystamy z klimatyzacji... Im rzadziej i bardziej ekologicznie, tym lepiej dla planety, na której przyszło nam żyć, bo emitujemy mniej dwutlenku węgla, gazu, który powoduje zmiany klimatu. To jest właśnie nasz ślad węglowy. Każdy może sobie sprawdzić, jak bardzo przyczynia się do emisji CO_2 – w internecie łatwo znaleźć osobiste kalkulatory.

Podobnie jest z jedzeniem. A wytworzenie bardzo zdrowego i modnego awokado pochłania mnóstwo wody, którą trzeba pompować do plantacji, często kosztem innych miejsc. Do tego pestycydy, nawozy, wycinki lasów pod uprawę, transport z innego kraju... Ślad węglowy rośnie. Produkcja tego uznawanego za superfood jedzenia wcale taka zdrowa nie jest. I tak jednak awokado pozostawia mniejszy ślad niż każdy plasterek wytwarzanej na skalę przemysłową szynki. Warto więc wybierać owoce z ekologicznych plantacji, pakowane w biodegradowalne kartoniki i dbać o to, by tak cenne jedzenie nie marnowało się w lodówce.

A szparagi? Podobnie. Lepiej znaleźć lokalnego producenta (mam szczęście mieszkać niemal po sąsiedzku z gospodarstwem państwa Majlertów, więc co roku czekam na otwarcie sezonu z niecierpliwością), niż jeść meksykańskie. Truskawki? Już są hiszpańskie, ale poczekam na nasze. Bób? Kończę zamrożony latem.

Im krótszą drogę pokonało jedzenie, które mam w domu, tym lepiej. Staram się pilnować sezonowości, żeby żyć. Już nie eko, ale po prostu dobrze, jak najmniej szkodząc planecie.

Na szparagi się jednak skusiłam. Ugotowane na parze, skropione oliwą i cytryną, przypomniały mi, że na wiosnę naprawdę warto czekać.



Fot. Shutterstock x4

WILCZYM OKIEM

Kambryjska różnorodność życia

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Lubię zaglądać w supermarketach na stoiska z rybami i innymi wodnymi stworzeniami, nawet jeżeli nie mam tam nic do kupienia. Takie stoisko jest jak port w małej nadmorskiej mieścinie. Port, w którym kołyszą się statki, swoim widokiem przywołujące wyobrażenie niezwykłości dalekiego świata.

Przystanąłem niedawno przed takim stoiskiem, a dokładnie przed ladą ze zwierzętami, które potocznie łączy się w jedną grupę określeniem „owoce morza"; określeniem w ogóle nieoddającym bogactwa grup systematycznych kryjących się za nim.

Lada wyłożona lodem była niewielka, w zasadzie wyglądała jak duża taca. Produktów było tylko sześć, na pierwszy rzut oka wybór niewielki. Przyjrzałem się etykietkom – i nagle poczułem się, jakbym był świadkiem okresu w dziejach Ziemi nazywanego „eksplozją kambryjską". Trochę ponad 500 mln lat temu, w początkach kambru, doszło do gwałtownego, wyjątkowego w historii naszej planety różnicowania się zwierząt. Jak wskazuje zapis kopalny, pojawiły się wówczas niemalże wszystkie systematyczne typy zwierząt. Ten nagły wybuch różnorodności tłumaczy się m.in. rosnącą konkurencją o pożywienie i siedliska, koniecznością uciekania coraz sprawniejszym drapieżnikom i ścigania coraz sprawniejszych ofiar. Wymuszało to zmiany w budowie ciała i trybie życia, skutkujące różnicowaniem.

Mała chłodnicza lada o powierzchni jednego metra kwadratowego zawierała: mątwy, złowione u wybrzeży Ameryki Południowej w Oceanie Spokojnym, sprzedawane w niepozornych, małych paskach – w rzeczywistości reprezentujące kałamarnice *Humboldta Dosidicus gigas*, kilkumetrowej długości inteligentne, drapieżne głowonogi, porozumiewające się zmianami barwy ciała i atakujące niekiedy płetwonurków. Obok nich leżały ośmiornice *Eledone cirrhosa* (według opisu z Oceanu Indyjskiego; tak naprawdę to gatunek atlantycko-śródziemnomorski), dalej skorupiaki – krewetki z hodowli w Panamie i krewetki z przeciwnego krańca świata, z wód indomalajskich. Obok nich duży jak talerz, brunatny krab kieszeniec *Cancer pagurus* z Atlantyku u wybrzeży Francji.

I podobnie jak w kambrze, były to wyłącznie zwierzęta morskie, wyjście na ląd nastąpiło bowiem dopiero w dewonie, ponad 100 mln lat później.

eprasa.pl fad24d143e

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Rosyjski ślad?

Eksponowanie domniemanych związków PiS z Rosją to żerowanie na prymitywnym przekonaniu o silnej antyrosyjskości Polaków



www.wojciechreszczynski.pl

Wraz z utratą władzy w 2015 r. Platforma Obywatelska wzmocniła swoją „narrację", łącząc już na siłę Prawo i Sprawiedliwość z polityką obecnej Rosji. To dziś stały element propagandowy mający na celu wmówienie Polakom politycznych i ideowych związków partii rządzącej z Rosją oraz z samym Putinem. Ten przekaz wydaje się sterowany przez jakieś doradcze gremia PO chcące za wszelką cenę stworzyć wrażenie przechodzenia partii rządzącej na rosyjskie pozycje, a choćby wywołanie takiego właśnie powszechnego efektu propagandowego w Polsce i w Europie.

Apogeum nastąpiło podczas ostatniej konwencji wyborczej PO do europarlamentu. „Przyszłość Polski jest na Zachodzie Europy, panowie z PiS-u wbijcie to sobie do głowy: tu jest Polska, a nie Rosja, tu jest Zachód, a nie Wschód. Tu nie ma miejsca na kasty, czarne sotnie, na cara, do którego przychodzi się z pieniędzmi w kopercie. Tu jest Polska, panie Kaczyński" – grzmiał lider opozycji Grzegorz Schetyna, tekstem wyraźnie przygotowanym przez kogoś ważniejszego. Być może przez samego Tuska czy jego doradców, wszak to na poprzedniej konwencji Tusk zachęcał do bezpardonowej walki ze „współczesnymi bolszewikami", czyli PiS.

Często przywołują Rosję w kontekście PiS i prezesa Jarosława Kaczyńskiego byli prominentni komuniści: Dariusz Rosati (TW Buyer) i Leszek Balcerowicz. Prorosyjskie tropy w działalności partii rządzącej upowszechnia też Radosław Sikorski, jakbyśmy nie pamiętali jego kuriozalnej i do dziś niewyjaśnionej zapowiedzi z 2010 r. o szansach przystąpienia Rosji do NATO. Na szczęście zdjęcia i filmy nie giną. I tylko dlatego, że opozycja nie rządzi publiczną telewizją, co pewien czas możemy zobaczyć Sikorskiego z ministrem spraw zagranicznych Rosji Ławrowem w czasach, kiedy ich kontakty należały do bardzo częstych. Ławrow dostąpił nawet przywileju spotkania się w Warszawie z całym polskim korpusem dyplomatycznym. Do dziś nie wiemy, jakimi to „doświadczeniami" dzielił się z polskimi ambasadorami i skąd ten wyjątkowy gest dla rosyjskiego gościa krótko przed rosyjską agresją na Ukrainę oraz tuż po tragicznej śmierci uczestników lotu do Smoleńska. Zresztą przyjaznych gestów pod adresem Rosji było wtedy znacznie więcej. Tragedię smoleńską próbowano prezentować tak, jakby miała być „nowym otwarciem", szczególną szansą na lepsze dwustronne stosunki polsko-rosyjskie. Symbolem tego politycznego etapu było spotkanie Putina z Tuskiem na sopockim molo. Spotkanie, o którym nadal nic nie wiemy. A wcześniej, jak pamiętamy ze Smoleńska, były niezwykle wymowne „żółwiki" Tuska przy Putinie i dwuznaczna polityka wobec planów NATO.

Propagandziści z PO starają się wiązać program partii rządzącej z rosyjskim autorytaryzmem i nacjonalizmem. Sikorski już widzi PiS w europarlamencie we wspólnych związkach z nacjonalistycznymi ugrupowaniami PE. Stwierdził: „Ci nacjonaliści, choć mają często sprzeczne ze sobą interesy, wszyscy z nich otrzymują czy to polityczne, czy to cybernetyczne, czy to finansowe wsparcie od prezydenta Rosji Władimira Putina". Nawet socjalne programy wprowadzane przez PiS stają się pretekstem do zestawienia ich z nowym rosyjskim programem socjalnym zaproponowanym przez Putina. Gorliwość byłych prominentnych działaczy PZPR w odcinaniu się od epoki komunizmu i klejenie związków obecnej władzy z Rosją dało się też zauważyć przy okazji ogłoszenia warszawskiej deklaracji LGBT. Krytyka z prawej strony sceny politycznej posłużyła do porównań obecnej polityki rządu z dyskryminacyjną polityką Rosji wobec seksualnych mniejszości. Choć w tym przypadku obowiązujący w Rosji zakaz propagandy homoseksualizmu może budzić w Polsce raczej pozytywne skojarzenia.

Eksponowanie domniemanych związków PiS z Rosją Putina to żerowanie na prymitywnym przekonaniu o silnej antyrosyjskości Polaków. Rosyjskie antydemokratyczne wzorce i ich sugerowane odpowiedniki w Polsce mają odstraszyć wyborców od PiS. Ten zabieg jednak nie działa, jest zbyt prymitywny, gdyż zakłada nieistniejące dziś lęki przed Rosją. Prawdziwe lęki mogą się wiązać tylko z militarystyczną polityką rosyjskiego kolosa, a jaka była polityka obronna Polski za czasów PO i PSL, ludzie dobrze pamiętają. Polska rozbrajała się na naszych oczach, a przez otwartą granicę z Kaliningradem płynęło więcej potencjalnych zagrożeń niż korzyści ekonomicznych. To PiS zamknęło tę granicę i buduje dziś nowe połączenie z Bałtykiem przez przekop Mierzei Wiślanej, dla którego, w interesie Rosji, nie było przyzwolenia za poprzednich rządów. Rusofobia i jej łączenie z obecną polską polityką to humbug, na który rozsądni Polacy z pewnością się nie nabiorą. Poza tym w tym humbugu nie ma nawet żadnych własnych ukrytych prorosyjskich sympatii, skoro w Koalicji Europejskiej znaleźli się sprawdzeni w boju dawni komuniści.

eprasa.pl fad24d143e

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Świat według Garpa



Witold Gadowski

Klimat się ociepla, grozi nam przeludnienie Ziemi, świat poddusza się dwutlenkiem węgla uwalniającym się do atmosfery w wyniku działalności przemysłu w krajach mniej rozwiniętych. Biedne zwierzątka cierpią katusze z rąk złych ludzi, należy zatem ochraniać zwierzątka, ale jednocześnie kobiety mają wyłączne prawo do swojego brzucha i jeśli ciąża godzi w plany życiowej kariery, to należy ją przerwać i nie rozmawiać o tym w żadnych kategoriach etycznych. Ludzie mają prawo wyboru, w jakim momencie chcą się rozstać z życiem, a nowoczesna medycyna powinna im to umożliwiać w najbardziej komfortowych warunkach. Małżeństwa homoseksualne są bardziej szczęśliwe niż tradycyjne – pełne przemocy i seksizmu – rodziny...

Mogę jeszcze dodać, że istnieje pięćdziesiąt kilka płci i orientacji seksualnych, dzieci powinny poznawać uroki masturbacji już od najmłodszych lat, kobiety od wieków są uciskane przez mężczyzn, religia to opium dla ludu, a Albert Einstein w istocie... była kobietą.

Ktoś z rogu sali krzyknie: „Idź się pan leczyć na korzonki, bo na rozum już za późno!". Ktoś inny dramatycznym gestem rzuci okulary na biurko. Możecie sobie protestować, ale nowa wizja świata pełnym blaskiem zaczyna oślepiać coraz to nowe zakątki ludzkości. Im nasza wiedza bardziej oparta jest na obserwacji świata i mądrości poprzednich pokoleń, tym bardziej jest ona niepoprawna i będzie zwalczana aż do krwi. Tresują już nowe pokolenie w bezbłędnym wyłapywaniu wszelkich przejawów „mowy nienawiści", „nietolerancji", „seksizmu", będą nas denuncjować jak sowiecki idol Pawka Morozow. Dzieci mają nienawidzić rodziców, ich zacofania i ciemnoty, idolami młodych zostaną kapłani nowej religii.

Im głupiej, tym mądrzej, im bardziej bezsensownie, tym bardziej logicznie. Wprowadza się logikę, która nie opiera się na żadnym wnioskowaniu, odnoszeniu do istniejących wcześniej analogii, tylko śmiało głosi, że prawdziwe jest tylko to, co eksperci od tolerancji i pokojowego współistnienia uznają za prawdę. Prawda stała się zrelatywizowana do kryteriów poprawności i zgodności z ideologią wyznaczającą jedyną drogę postępu.

Świat, jego elity mają być jak wyżymaczka do mózgu, która potrafi usunąć z niego ostatnie krople zdrowego rozsądku i logicznego osądu zdarzeń. Im bardziej głupkowate stają się nowa wizja świata i towarzyszące jej „nauki", tym lepiej – tym trudniej bowiem będzie w takim świecie znaleźć równowagę, oczywiście bez koncesjonowanych specjalistów od równowagi.

W obronie prawdy



Lech Makowiecki

Konsekwentna, zapiekła, sięgająca absurdu walka z tzw. mową nienawiści ma w zamyśle jeden cel: zastraszyć i ubezwłasnowolnić całe społeczeństwa. Wykluczenia, sankcje sądowe, represje (z wyrzucaniem z pracy i odbieraniem praw rodzicielskich) tylko za korzystanie z wolności słowa są już w krajach UE na porządku dziennym. Ludzie sparaliżowani poprawnością polityczną, stygmatyzowani epitetami „faszysta", „rasista" czy „homofob", boją się ujawniać swe poglądy nawet w kręgu bliskich znajomych. Przekazywanie w domu tradycyjnych wartości może się skończyć dla rodziców oddaniem ich dzieci na wychowanie do rodziny zastępczej, często z innego kręgu kulturowo-religijnego (również homoseksualistom). Szkoły inwigilują na potęgę.

Równolegle z tą tresurą i kneblowaniem zwykłych ludzi rozkwita agresywna „wolnościowa" ofensywa. W sztuce, edukacji, popkulturze – wszędzie dominuje hałaśliwy i wynaturzony antydekalog, zatruwający i demoralizujący młode umysły. „Moderniści" nie ograniczają się jedynie do werbalnej przemocy. Najbardziej radykalni geje, lesbijki, feministki et consortes zawłaszczają przestrzeń publiczną, by organizować wyuzdane parady i konfrontacyjne demonstracje. Sekundują im uzbrojone i brutalne lewackie bojówki, do których dołączają zwykli chuligani, wykorzystujący nawet niewielkie zadymy do rabunku sklepów i podpalania samochodów. Tymczasem to nasz dwustutysięczny, niezwykle spokojny i familijny Marsz Niepodległości okrzyknięto w unijnych mediach „faszystowskim"!

Bezkarność rozzuchwala, więc z czasem radykalizacja „totalsów" będzie się nasilać. Czy mamy pozwolić na bezczeszczenie świątyń, ścinanie krzyży, profanowanie pomników, opluwanie bohaterów itp. „happeningi"? To zamach na naszą z trudem odzyskaną niepodległość, która (cytując za Piłsudskim) nie może „kosztować dwóch groszy i dwóch kropel krwi". Czy gotowi jesteśmy bronić jej za wszelką cenę? Również siłą – tak jak nasi przodkowie?

eprasa.pl fad24d143e

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Nauka w wolnym kraju



Aleksander Nalaskowski

Mamy się godzić na tezę, że Żydów wymordowali Polacy, a stalinowskimi ubekami byli kosmici? Taka teraz będzie nauka?

Nie mam powodu, aby nie wierzyć w ustalenia Piotra Gontarczyka dowodzące, że w książce „Dalej jest noc" pod redakcją Grabowskiego i Engelking w wielu miejscach dokonano istotnej „korekty" źródeł. Do tego stopnia znaczących, że mocno deformujących sens przekazu. Tak jak nie miałem, ale do czasu, powodu, aby nie wierzyć autorom tej książki. Wszak to samodzielni pracownicy nauki. Noblesse oblige!

Pisałem ostatnio o swoim zdziwieniu, że praca ta ukazała się w instytucie panowskim, co moim zdaniem mocno podważa zaufanie do sposobu kwalifikowania tam materiałów do druku. Reperkusje tego mogą być znaczne. Potencjalni czytelnicy mogą bowiem nabrać nieufności do innych książek opublikowanych przez tę jednostkę. Bo jeśli intencjonalna nierzetelność przywoływanych źródeł (w tym cytatów przedstawianych jako dosłowne) jest w jednym miejscu, w jednym artykule czy książce, to może jest i w innych materiałach.

Instytut Filozofii i Socjologii PAN ma pełnię uprawnień naukowych. To znaczy, że może nadawać stopnie doktora, doktora habilitowanego i występować o tytuł profesora do prezydenta RP. Czy jednak i w tej sferze możemy wątpić w rzetelność procedur recenzencko-kontrolnych? Mam spore doświadczenie w tym zakresie. Jako dziekan, ale i recenzent kilkudziesięciu doktoratów, habilitacji i profesur, a także jako promotor 17 doktorów, mógłbym o tym napisać grubą książkę. Przyjrzałem się jednak tym recenzjom, które skończyłem konkluzją negatywną. Nigdy w ten sposób na to nie patrzyłem.

W 1995 r. negatywnie zaopiniowałem doktorat, w którym doszło do zmanipulowania danych liczbowych, co istotnie wpłynęło na późniejszą interpretację i wnioski. A rzecz polegała na tym, że autorka „pomyliła" dane w tabelce zaczerpniętej z rocznika statystycznego. To znaczy wskaźniki były prawdziwe, ale powpisywane nie w tych rubrykach. To, co miało być wskaźnikiem dla cechy A, było wpisane w rubryce cechy B i na odwrót. Ponieważ na tych danych owa pani oparła dalszą interpretację, uznałem, że nie może być ona właściwa. Cztery lata później napisałem negatywną recenzję habilitacji. Udowodniłem wtedy, że jej autor nie czytał prac, które przywołuje. A całkiem niedawno z moją negatywną opinią spotkała się habilitacja, w której autor powoływał się na swoje wcześniejsze publikacje, w których były rażące błędy merytoryczne. W ubiegłym roku napisałem negatywną recenzję o pewnych aspiracjach do tytułu profesora, gdyż w pracy głównej mającej o tym przekonywać odkryłem absolutną, a nawet niespotykaną, wybiórczość przywołanych źródeł. Tym samym książka była pisana pod z góry przyjętą tezę. Rzecz – nomen omen – dotyczyła mniejszości na Podlasiu. Skądinąd w pewnej szacownej uczelni kandydatura – z dużymi perturbacjami – przeszła. Człowiek czeka na wręczenie nominacji. Ale czy znaczna część środowiska potraktuje ją poważnie? Wątpię. Dodam jednak, że w żadnym z tych przypadków, może poza ostatnim, moje zarzuty nie były tak poważne i miażdżące jak dr. Gontarczyka pod adresem „Dalej jest noc". Ale zawsze chodziło o to samo – o rzetelne dociekanie prawdy będącej istotą nauki i jej niezbywalnym atrybutem. Jeśli coś nie jest prawdziwe, nie jest nauką. Każde fałszerstwo zaś jest niezbitym dowodem na dobrowolne mijanie się z prawdą, a zatem na świadome łamanie naukowych pryncypiów. To tak jakby udowodnić lekarzowi, że celowo uśmiercał pacjentów, albo nauczycielowi matematyki, że z własnej woli przekonywał uczniów, że $a2+b2=c3$.

W tym przypadku jednak zastanawia mnie jeszcze jedna kwestia. Otóż kilka lat temu zakończył się mój proces karny (art. 212) wytoczony mi przez jakąś organizację homoseksualną, której nie spodobała się fraza z mojego wywiadu, że adopcja dzieci przez pary homoseksualne będzie prowadzić do reprodukcji tej skłonności i że homoseksualizm to choroba. Sprawa ciągnęła się bodaj dwa lata. Zostałem uniewinniony, gdyż sąd nie dopatrzył się przestępstwa. W tym kontekście warto przypomnieć proces i wyrok w sprawie prof. A. Zybertowicza z oskarżenia A. Michnika. Naukowiec został tu skazany bodaj za swoją opinię o ideologicznych korzeniach redaktora naczelnego „GW". Teraz grozi mu drugi proces. Tym razem za zacytowanie A. Gwiazdy. A sprawa „grupy trzymającej władzę"? Dopisanie dwóch słów: „lub czasopisma" skutkowało komisją śledczą.

Czy dzisiaj dociekanie sprawiedliwości w sądach jest dozwolone tylko dla jednej grupy? Czy zatem obrażanie Polaków za pomocą świadomie skrzywionych danych źródłowych ma w istocie być bezkarne? Czy aby nie idzie o coś więcej niż łamanie naukowych standardów? Rzeczywiście jesteśmy bezbronni i pozostaniemy na poziomie publicystycznej dyskusji, czyli udowadniania, że nie jesteśmy hipopotamami? Mamy się godzić na tezę, że Żydów wymordowali Polacy, a stalinowskimi ubekami byli kosmici? Naprawdę? Taka teraz będzie nauka?

Autopromocja

eprasa.pl fad24d143e

PRZEZ ŚWIETLIK

1 września po europejsku

Rosyjscy politycy oburzyli się, że nie zostali zaproszeni do Polski na obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej. Obruszył się nie tylko Kreml, lecz i opozycyjny polityk Leonid Gozman. Faktycznie, coś jest na rzeczy. Wygląda na to, że będziemy mieli kolejną smutną, martyrologiczną uroczystość, do jakich przywykliśmy. A rosyjska historia i wieczna rosyjska dusza mogłyby zabarwić całe obchody zupełnie inaczej. Byłoby wesoło, rubasznie, kazaczok i piosenki zespołu Lube o bezkresnej Rosji i jej romantycznych Kozakach.

Żeby jednak radość była pełna, żeby Polacy znowu swoimi sentymentalnymi jękami, spalonymi wsiami i bezimiennymi kośćmi porozrzucanymi po lasach i polach nie zatruli całej Europy, potrzeba więcej. Do Rosjan powinni dołączyć Niemcy. To oni mogliby nie tyle obchodzić, ile świętować rocznicę 1 i 17 września. Ostatecznie kraje te wówczas w wesołej symbiozie, pokoju i współpracy rozprawiły się z bękartem traktatów pokojowych podpisanych po I wojnie światowej.

Myślę zresztą, że i niektórzy Polacy powinni dołączyć. Zwolennicy sojuszu Polski z Hitlerem, a paru takich mamy. Miłośnicy nierozdrapywania ran historycznych. Europosłanka, która chętnie występuje w niemieckich telewizjach, prezentując się na tle polskiej dziczy. Przecież dokładnie tak samo opisywali Polskę w swoich dziennikach niemieccy oficerowie, choćby Heinz Guderian. Lepianki i bieda potrzebujące odrobiny surowości, ale i germańskiego porządku, organizacji, uczestnictwa we wspólnych europejskich strukturach politycznych.



Wiktor Świetlik

Może rocznicę wybuchu wojny powinniśmy obchodzić radośnie? Wraz z Rosjanami i Niemcami

Jeszcze więcej do świętowania mieliby jednak ci, którzy z 17 września mają piękne wspomnienia rodzinne. Jakiż awans społeczny dla wielu, kontynuowany później przecież z sukcesami w formacjach zbrojnych Polski Ludowej, a w kolejnym pokoleniu na stypendiach Fulbrighta i w strukturach zjednoczonej Europy. Ileż szczęścia z pozbawienia tej zapyziałej, nienawistnej, szowinistycznej przedwojennej Polski znienawidzonego nauczyciela i zastąpienie go nieco światopoglądowo zbłąkanym, ale ideowym komunistą. Czyż takie obchody dla wielu udręczonych tym bogoojczyźnianym bigosem, tymi klaksonami w rocznicę reakcyjnego powstania, nie byłyby lepsze? Bardziej europejskie, przyjazne, radosne?

Na sam koniec obchodów wspólnie pod rękę można będzie ogłosić powstanie gazociągu Nord Stream 3 – w ramach wzajemnej współpracy i walki o europejski solidaryzm na gruzach kaczystowskiej Polski.

Autor jest dyrektorem Programu 3 Polskiego Radia





Witajcie w świecie nowego konsensu

Zgromadzenie, zbadanie i opisanie świadectw o Polakach niosących pomoc Żydom w latach okupacji jest dziś najpilniejszym zadaniem, równie ważnym jak krytyczne i profesjonalne recenzowanie publikacji „nowej polskiej szkoły badań nad historią Zagłady”

JAN POSPIESZALSKI

W październiku 2001 r. podczas uroczystego spotkania w Nuncjaturze Apostolskiej, podsumowującego pierwszy Dzień Papieski, w obecności zgromadzonych przedstawicieli Episkopatu, osobistości życia kulturalnego i naukowego, ludzi polityki nagle o głos poprosił prof. Tomasz Strzembosz. Przepraszając, że jego wystąpienie nie wiąże się bezpośrednio z uroczystością, która nas zgromadziła, zwrócił się z apelem, aby niezwłocznie wszelkimi możliwymi środkami rozpocząć ogólnopolską akcję gromadzenia świadectw o Polakach niosących pomoc Żydom w latach okupacji. W poruszającej przemowie dobitnie podkreślał, że to ostatni moment, aby uchwycić relacje i je rzetelnie zbadać. Na naszych oczach, mówił historyk, odchodzi ostatnie pokolenie tych, którzy mogą jeszcze zaświadczyć, jak było. Przez lata nie podjęto kompleksowych badań. Znamy wprawdzie jakiś fragment rzeczywistości, ale to wierzchołek góry lodowej – zaznaczył Strzembosz. – Nigdy nie poznamy całości, wiele tych historii Polacy i Żydzi zabrali do grobu, ale musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, by opisać zarówno bohaterskie, jak i haniebne postawy. Oby nie było tak, że ponura opowieść o Polakach stanie się dominująca, bo fałszywa moneta zwykle wypiera dobrą. (Było to już po opublikowaniu przez J.T. Grossa „Sąsiadów”.). Kończąc, podkreślił, że brak kompleksowego zbadania ważnej karty historii II wojny może być dla Polski bardzo brzemienny w skutkach. Jedną z istotnych cech wyróżniających człowieka mądrego jest zdolność przewidywania konsekwencji. Mądry Tomasz Strzembosz trafnie przewidział, jakie będą skutki zaniechania badań relacji polsko-żydowskich w latach Zagłady. (Jakże różni się od niego jego brat Adam, prognozując w innej kwestii, że środowisko sędziowskie „samo się oczyści!”).

Dokładnie trzy lata później, 16 października, Tomasz Strzembosz zmarł, nie doczekawszy zinstytucjonalizowania swojej idei. Istniał wprawdzie ochotniczy Komitet dla Upamiętnienia Polaków Ratujących Żydów założony przez Annę Poraj-Wybranowską. W bólach powstawał IPN, tocząc boje o budżet, siedzibę. Po latach, inicjatywę podjęło Radio Maryja, gromadząc wiele świadectw, ale opracowanie w standardach naukowych pozyskanych relacji wymaga sporo pracy. Projekt prowadzi Fundacja Lux Veritatis za pomocą powołanego centrum informacyjnego Pamięć i Tożsamość. Szanując inicjatywy fundacji, wolontariuszy i organizacji społecznych, dziś należy zaznaczyć, że przecież to właśnie Instytut Pamięci Narodowej jest w tym celu powołaną profesjonalną instytucją (z dwudziestoletnim stażem). To IPN, dysponując ogromnym budżetem, musi wziąć na siebie ciężar badań i publikacji. Zgromadzenie, zbadanie i opisanie świadectw jest dziś najpilniejszym zadaniem, równie ważnym jak krytyczne i profesjonalne recenzowanie publikacji „nowej polskiej szkoły badań nad historią Zagłady”.

Ofensywa narracji obciążającej Polaków współodpowiedzialnością za Holokaust nie jest dziś równoważona adekwatnymi środkami adresowanymi do środowisk naukowych i opiniotwórczych na świecie. Ostatnie wypowiedzi Pawła Śpiewaka dla czeskiej prasy o 200 tys. Żydów zamordowanych przez Polaków potwierdzają, że celem tych działań jest wypromowanie swoistego nowego „konsensu naukowego”. Tak jak przed laty większością głosów przegłosowano tezę, że homoseksualizm nie jest zaburzeniem (i dziś podważanie tego dogmatu spotyka się z zarzutem o „mowę nienawiści” i homofobię), tak niebawem będzie z tymi, którzy ośmielą się podważyć zmanipulowaną i oszczerczą wersję historii popularyzowaną przez Grabowskiego, Grossa, Śpiewaka i ich uczniów. Wszyscy, którzy odważą się ją zakwestionować, tak jak Paweł Lisicki, zostaną okrzyknięci antysemitami lub negacjonistami. Aby utrwalać oskarżenia wobec Polaków, pełną parą pracuje Centrum Badań nad Zagładą przy PAN, wspierane przez profesjonalnych ekspertów od PR i najlepsze międzynarodowe kancelarie adwokackie.

eprasa.pl fad24d143e

Polityka i strajk



Jerzy Jachowicz

Jeszcze przed rozpoczęciem wakacji swoje podwoje otworzy Instytut Odnowy Politycznej, którego twórcą jest były dyrektor Departamentu Psychologii Stosowanej Ministerstwa Finansów. Zatrudnienie tego rodzaju specjalistów akurat w tym resorcie wymuszała realna sytuacja. Nieustanne kłopoty państwa w sferze finansowej sprawiały, że tam właśnie zdarzały się najczęstsze przypadki załamań nerwowych pracowników wysokiego szczebla, depresji, rezygnacji ze swoich funkcji, a nawet odchodzenia od zawodu, mimo posiadanych dużych kwalifikacji. Jeden z wiceministrów finansów po przejściu załamania miał tak dosyć rachunków, że odmówił przyjęcia posady kasjera w dużej firmie bukmacherskiej mimo zawrotnie wysokiej pensji, przewyższającej dziesięciokrotnie przeciętne wynagrodzenie nauczyciela. Polscy nauczyciele o takich pieniądzach nie marzą, ale opozycja obiecała im, że gdy dojdzie do władzy, będą zarabiać dwa razy więcej niż obecnie, pod warunkiem że zastrajkują w czasie obecnych egzaminów w szkołach, co pomoże PO obalić rząd PiS.

IOP (czytaj: jop) zostanie usytuowany w nowoczesnym pałacyku, w jednym z podotwockich lasów brzozowych, gdzie oddycha się świeżym powietrzem pozbawionym smogu i szkodliwych substancji. Odizolowana i zabezpieczona ogromna działka sprzyja atrakcyjnym spacerom i medytacjom pod specjalnie zbudowanymi wiatami w stylu buddyjskim. To gwarantuje pełną regenerację fizyczną kuracjuszy, jako fundament radosnego powrotu do polityki. Oczywiście głównym zadaniem instytutu będzie skuteczne przygotowanie gości – podczas miesięcznego turnusu, liczącego nie więcej niż 15 kuracjuszy – do nowego, osobistego otwarcia w polityce.

Jeden z szefów kliniki pochwalił się, że każdy pensjonariusz będzie mieszkał w pojedynczym pokoju, z pełnym dostępem do TV, radia i internetu. Mój rozmówca zdradził też, że jednym z pierwszych gości ma być premier Kazimierz Marcinkiewicz. Kiedy usłyszał, że w powietrzu nie będzie trujących związków, mruknął pod nosem: „Oby i małżeńskich".

CO MNIE CIESZY

Polak, Węgier...



Katarzyna Łaniewska

„Polak, Węgier dwa bratanki i do szabli, i do szklanki". Bratamy się od wielu pokoleń. Różnie to nasze braterstwo jest okazywane. To, co pamiętam z czasów historii, w której uczestniczyłam, opiszę dziś w felietonie.

Oczywiście tego, który zapoczątkował nasze braterstwo narodów – polskiego generała Bema, który walczył na Węgrzech o ich niepodległość (i ma tam pomnik) – nie pamiętam. Było to dawno, długo żyję, ale nie na tyle. Pamiętam, że w czasie okupacji mówiło się, że Węgrzy, którzy byli sojusznikami hitlerowskich Niemiec, a ich wojska stacjonowały na terenie Polski, uciekali z wojska. Dezerterzy byli ukrywani przez Polaków.

Późniejszy akcent tej przyjaźni to lata 50. w PRL. U nas odwilż w polityce, a tam krwawe stłumienie powstania węgierskiego. Pamiętam, że Polacy oddawali krew dla Węgrów, która samolotami leciała do Budapesztu. To był dar wielkiej przyjaźni. Tam komunizm dał o sobie znać w najgorszy sposób.

Pamiętam swoją pierwszą podróż za granicę. Byłam aktorką Teatru Polskiego i pojechałam na Węgry chyba rok po powstańczych rozruchach. Młody Węgier, z którym porozumiewałam się za pomocą gestów i mimiki, oprowadzał nas po Budapeszcie. To był specyficzny spacer. Pokazywał nam pozostałości po walkach. Takie obrazki widziałam w zniszczonej Warszawie. Zaprowadził nas pod cokół z butami Stalina, bo pomnik został zrzucony w czasie rozruchów. Bardzo się tym chwalił.

Później wielokrotnie podróżowałam do Budapesztu i nad Balaton. Kiedyś na lotnisku osoba, która sprawdzała nam bagaże, wypowiedziała do mnie słowa: „Miłość jest czekaniem na niebieski mrok, na zieloność traw, na pieszczotę rzęs". Był to Węgier w mundurze. Zamarłam. Poezja Małgorzaty Hillar? Powiedział mi, że uczy się naszego języka w ośrodku polskim. Był na moim wieczorze poezji.

W wolnej Polsce jechały już całe pociągi przyjaźni polsko-węgierskiej. Nasza przyjaźń się rozbudowuje i trwa. Nie jest to tylko przyjaźń na pokaz. Jest wspólna myśl o gospodarce. Zazdrościliśmy, kiedy PiS nie było jeszcze u władzy, reform, jakie premier Viktor Orbán wprowadzał na Węgrzech. Szkalowano go w Unii Europejskiej i rzucano mu kłody pod nogi. Jesteśmy teraz w sojuszu gospodarczym i politycznym. Niech to tak trwa. A Europa niech tak z sobą współpracuje, jak Polska z Węgrami.

eprasa.pl fad24d143e

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

W kwestii pomyłki

Natura ludzka jest omylna, ale żeby aż tak...



Ryszard Makowski

Samolot British Airways poleciał do Edynburga. I nie byłoby w tym nic sensacyjnego, gdyby nie to, że lot miał być do Düsseldorfu. Pasażerowie, gdy przed lądowaniem dowiedzieli się, iż zbliżają się do stolicy Szkocji, byli przekonani, że to żart. Przewoźnik tłumaczył się pomyłką, bo piloci dostali ponoć niewłaściwą dokumentację, a kontrola lotu nie miała nic przeciwko temu kursowi.

My, jako Polacy, jesteśmy w znacznie gorszej sytuacji. U nas pomyłki bywają większego kalibru. Kupując bilet do Unii Europejskiej, byliśmy przekonani, że lecimy do raju. Nie wszyscy, ale większość odczuwała euforię z kierunku podróży. Gdy dziś patrzymy, dokąd lecimy, wkradają się tzw. mieszane uczucia. Europa nie może sobie poradzić z brexitem, czyli z rozpadem pięknego tworu, jakim miała być wspólnota węgla i stali. My jesteśmy w tej Unii traktowani jak krnąbrny członek rodziny i nieustannie strofowani. A za co? A za to, że opieramy się nachalnej niemiecko-francuskiej kurateli.

Przed wyborami do Parlamentu Europejskiego macki Brukseli ingerują w nastroje naszego elektoratu. Wyznacza się karcące Polskę posiedzenia ważnych trybunałów tuż przed 26 maja w celu deprecjonowania rządu. Do tego fundują nam cenzurę w internecie i morda w kubeł. Żeby było zabawniej, dozorcami w PE mają być te same komuchy, które kiedyś wysługiwały się Moskwie. Niewykluczone, że wysługują się nadal.

Pasażerów British Airways to chociaż przeprosili, nas za te pomyłki nikt nie przeprosi. Ciekawe, gdzie wylądujemy.

eprasa.pl fad24d143e

Zawistowski prezentuje: ACTA 2



Wycinki z przeszłości

Z „Pięcioletniego Ilustrowanego Kalendarza Świat i Wiedza na lata 1935–1939" wynotowujemy kilka dowcipów z tamtej epoki.



Pani Izydorowa wpada do biura zdyszana i woła:
– Mężu, nasz kasjer uciekł!
– Salciu, ty policz córki – odpowiada Izydor – a ja zrewiduję kasę.

* * *

Pan Aktorowicz opowiada, jak to on kiedyś założył teatr i zaraz pierwszego dnia tak się zdarzyło, że przed teatrem stało parę tysięcy ludzi i nie mogło się dostać do środka.
– Czy sztuka była aż tak ciekawa? – pyta ktoś.
– Nie, tylko teatr się palił.

* * *

– Panno Maniu, czy ma pani jutro wieczór wolny?
– Tak jest, panie pryncypale!
– Panno Maniu, czy aby pani na pewno ma jutro wieczór wolny?
– Jestem zupełnie wolna, panie pryncypale!
– To pani przyjdzie do biura i przepisze pani tych kilka kawałków!

* * *

– Więc to mąż pobił panią?
– Ani mnie trącił!
– Moja pani, przecież świadkowie twierdzili, że pani nawet kawałek ucha odgryzł!
– Kłamią, moja pani, to ja sama sobie odgryzłam ucho!

* * *

Pani do służącej: – Marysiu, my zawsze pijemy herbatę o ósmej rano.
– Dobrze, proszę pani, jeżeli mnie akurat nie będzie, to państwo będą łaskawi wypić herbatę sami, nie czekając na mnie. ***(mk)***

Gdy kwiecień nastaje...



Leszek Długosz

Przypowieść z fiołkami

Była sobie księżniczka
Uśmiechnięte wciąż liczko
Aż zmąciło się szczęście

Fiołków bukiecik mały
Zapragnęła koniecznie mieć
Choć już było po lecie
Nawet więcej, pod jesień

Przeszukano ogródki
Pola łąki pagórki
Fiołka pól nie uświadczysz
Aż rzecz całą objaśnił pasterz
Co przy ruczaju
Trzódkę swoją pasł właśnie
– Pasterz, co tam pasł właśnie...

Fiołki kwitną w kwietniu, w maju
To jest fiołków zwyczajem
I znikają, gdy nastaje lata skwar
Później inne są kwiatki
Róże, lilie, bławatki
Fiołka już nie uświadczysz
Choćbyś nawet bardzo chciał
Nawet i najbardziej chciał

Więc pamiętaj, księżniczko
I pomnijcie wy, dzieci
Bardzo ważne to na świecie jest:
– Pragnąć
Kiedy spełnić da się
Gdy co trzeba, jest o czasie
– Gdy pragnieniu słuszny czas

Bo gdy chce się przedwcześnie
Albo gdy już za późno
To już tak jest na świecie
Że jest wtedy: „niestety"
Lub „niestety, niestety"
Albo nawet: „cóż, trudno..."

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	69 zł	129 zł	229 zł
wSIECI HISTORII	21 zł	39 zł	75 zł
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	84 zł	158 zł	280 zł

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl fad24d143e

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Krok za krokiem

Gąszcz informacji, często zdeformowanych, jest tak wielki, że umykają nam głębsze, bardziej podstawowe procesy. Czasem trzeba „się odłączać" od ciśnienia codzienności, by w roku 30-lecia naszej wielkiej przebudowy Polski dostrzec to, co podstawowe.



BEZPIECZNI DZIĘKI NATO

Po niedawnej serii imprez akcentujących 20-lecie członkostwa Polski w Sojuszu Północnoatlantyckim widać, że Polacy, którzy są tak wielkimi (często nadmiernie bezkrytycznymi) zwolennikami Unii Europejskiej, słabo dostrzegają, iż znacznie bardziej podstawową ramą wolności od UE jest właśnie NATO.

To ten sojusz, często trafnie określany najpotężniejszą organizacją militarną w dziejach ludzkości, przez ostatnie dekady współtworzył przestrzeń bezpieczeństwa globalnego. To dzięki NATO projekt Wspólnoty Europejskiej mógł być poszerzany, pogłębiany *oraz* mógł się zanurzać w swoich kryzysach – euro, migracyjnym, a także kryzysie... solidarności, o tym za chwilę.

To dzięki ogromnym wydatkom militarnym USA Sojusz Północnoatlantycki parasolem nuklearnym chroni nie tylko region euroatlantycki.

WZROST GOSPODARCZY DZIĘKI UNII

Rzeczpospolita rozwija się przede wszystkim dzięki pracy, przedsiębiorczości i pomysłowości wielu Polaków. Jednak nasza kreatywność przynosi znacznie lepsze owoce, kiedy możemy swobodnie uczestniczyć w szerszej przestrzeni współpracy. NATO współtworzy globalny *ład* międzynarodowy, a Unia, m.in. dzięki swobodom rynku wewnętrznego – przepływu osób, kapitału, towarów, świadczenia usług – przynosi tzw. efekty skali, np. obniżenie kosztów, lepsze rozmieszczenie środków produkcji.

Polska skorzystała z tych swobód w dużym – choć nieoptymalnym – stopniu. Kapitał zagraniczny tworzy u nas miejsca pracy, przynosi nowe technologie, ale też nierzadko dokonuje wątpliwych z punktu widzenia uczciwego biznesu transferów. Mimo to Polacy zakochali się w Unii, ciesząc się jej swobodami. Chętnie korzystamy nie tylko z udogodnień związanych z prowadzeniem biznesu, lecz również z możliwości studiowania za granicą czy podróżowania w ogóle.

SOLIDARNIEJ DZIĘKI DOBREJ ZMIANIE

Bezpieczeństwo dzięki NATO, rozwój gospodarczy dzięki Unii nie przyniosły jednak solidarności społecznej. Tej przez małe „s", tej codziennej, gdzie ci, którym wiedzie się lepiej, mają nawyk wspierania słabszych. Nie tylko w trybie troski orkiestrowo-odświętno-akcyjnej.

Jednym z celów dobrej zmiany (to przecież poza walką polityczną także konkretny projekt społeczny) jest codzienna troska o słabszych. Owoce rozwoju gospodarczego ostatnich dekad dzielono bowiem tak, że spora część Polaków była z nich wykluczona. Nie tylko w subiektywnym odczuciu, lecz również obiektywnie, np. przez wykluczenie komunikacyjne wynikające z zamykania sieci kolejowych i autobusowych albo wykluczenie edukacyjne spowodowane np. likwidowaniem małych wiejskich szkół.

Dopiero po roku 2015 uczyniono to, co społeczeństwo na obecnym poziomie gospodarki powinno zrobić wcześniej. Dokonano transferów socjalnych, dzięki którym liczne środowiska uzyskały podmiotowość konsumencką, a dzięki niej odzyskały poczucie codziennej godności. Wiele rodzin dopiero dzięki programowi 500+ pieniądze wydaje na coś więcej niż tylko na towary niezbędne do codziennego przeżycia. Wiele dzieci dopiero dzięki 500+ wyjeżdża na wakacje, jest lepiej ubranych i ma gadżety, na które do niedawna stać było tylko tych lepiej sytuowanych.

PO KOLEI

Bezpieczni dzięki NATO, żyjący dostatniej dzięki Unii. I wreszcie budujący solidarność dzięki dobrej zmianie. A dalej? To przecież nie jest koniec. Przyjdzie pora na reformę instytucji państwa. Ale musi się dziać po kolei. Aż trudno uwierzyć, że nauczyciele tego nie rozumieją.

Nawet jeśli obecnie rządzący popełniają błędy, to totalna opozycja od początku zrezygnowała z rzeczowej, twórczej dyskusji i wspierania działań dla dobra wspólnego. Zamiast tego zdaje się nieustająco mieć jeden cel: wniwecz obrócić to, co kojarzy się z dobrą zmianą, a na zgliszczach promować swój nowoczesny świat. Tylko dla kogo – dla wąskiego elektoratu?

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl fad24d143e



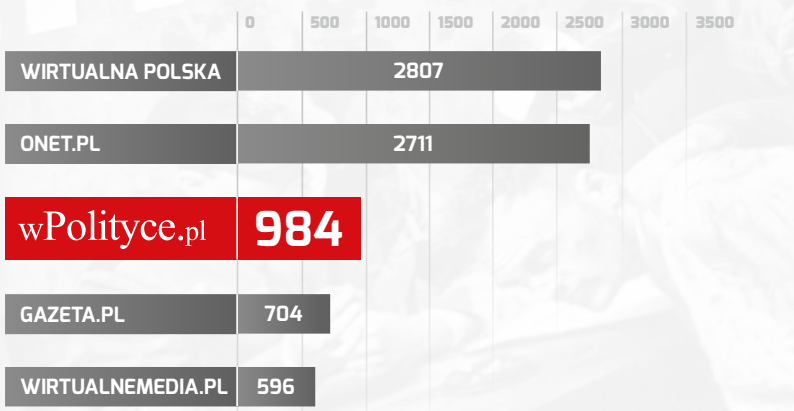
Najbardziej opiniotwórcze tygodniki i dwutygodniki



NAJBARDZIEJ OPINIOTWÓRCZE MEDIA W POLSCE

Najbardziej opiniotwórcze portale internetowe





ŹRÓDŁO: IMM, LUTY 2019

eprasa.pl fad24d143e

Prenumerata

SIECI + wSIECI HISTORII

z prezentem



koszulka z kultowym powiedzeniem

Koszulki damskie w rozmiarach: **S, M, L**

Koszulki męskie w rozmiarach: **M, L, XL, XXL**

Zamawiając prenumeratę, podaj rodzaj i rozmiar koszulki, np. męska L

40% TANIEJ

~~463,80 zł~~

280 zł

PRENUMERATA ROCZNA

Wpłat za prenumeratę prosimy dokonywać na konto: **91 1240 5354 1111 0010 7713 6290**,
Fratria Sp. z o.o., ul. Legionów 126-128, 81-472 Gdynia, w tytule wpłaty wpisz rodzaj oraz rozmiar koszulki (np. męska L) i pełne dane adresowe do wysyłki. Szczegóły w regulaminie promocji: www.wsieciprawdy.pl/prenumerata i pod tel. 22 616 15 70